

NS



2

3

4

5

6

7

IZABELA
SOWA
PODRÓŻ
POŚLUBNA

Podróż poślubna

Izabela Sowa

Nowy Świat (2009)

Paloma, typowa przedstawicielka pokolenia loreal, wspina się po szczeblach kariery. Poradniki, uczące jak żyć, zna na wyrywki. A jednak nie czuje się szczęśliwa. Mąż nie dość, że od dnia ślubu cierpi na bezsenność, to jeszcze podejrzenie ociąga się z zaplanowaniem miodowego miesiąca. Lektury specjalistów nie są wystarczająco pomocne, więc Palomie pozostaje tylko zdać się na niekonwencjonalne metody jedynej w swoim rodzaju pani detektyw. Dokąd zaprowadzi Palomę tydzień

w towarzystwie ekscentrycznej Matki Polki, znanej również jako Brzytwa?

Izabela Sowa

Podróż poślubna

Konwersja do formatu EPUB: Virtu-
alo Sp. z o.o.

virtualo.eu

Spis treści

Cytat

Tekst

Cytat

*Nawet najodważniejsze krewetki
nigdy nie wyskakują ze swojej rzeki*
- PRZYSŁOWIE JAPOŃSKIE

Zwykle dostaję afobam albo pernazynę, ale tym razem w przychodni był nowy lekarz. Niby nowy, a już sponiewierany przez mroczne historie pacjentów i własny kompleks Edypa. Posłuchał, ziewnął, przetarł wielkie okulary w stylu Yves Saint Laurenta, upił łyk zimnej kawy, ziewnął, przyjrzał się fotografii matki straszącej z ekranu starego monitora, znowu łyk zimnej kawy, i wreszcie wypisał receptę. Sajlentnajt. Nowy, bezpieczny, całkiem tani. Uzależnia dopiero po miesiącu. Kupiłem, a co tam! Jestem otwarty na nowe doświadczenia.

- Wie pan, jak zażywać? - spytała farmaceutka, zmierzyszy mnie wzrokiem argentyńskiej dożycy.

- W zasadzie...

- Nic pan nie wie - warknęła. -

Jedna tabletką, kwadrans przed snem, prosto do łóżka i nie otwierać oczu, bo będzie się działo. Sny panu wyjdą na kołdrę jak żywe.

Wieczorkiem wskoczyłem w piżamę i pyk: od razu dwie tabletki. Jak szaleć, to szaleć. Leżę pod kołdrą, czekam na błogi sen i nagle mi się przypomina, że przecież jeszcze nie jadłem kolacji. Co tu zrobić, myślę, przecież miałem się nie ruszać. A w pustych kiszkiach hulają wiatry. E tam, szybko pobiegnę do kuchni, zdążę przed snem. W try miga dopadam lodówki i buszuję. Pierwsza półka - zimno, druga - coraz zimniej, zamrażalnik - lód. Jeszcze się nie

poddaję. Pojemniki na jajka, na warzywa, kosz na śmieci, wreszcie chlebak. Hurra - z boku po lewej wymacałem trzy małe bułki. Niby świeże, ale pulsujące błękitnym światłem. Wziąłem tę najmniej niebieską i szukam sosu. Jest sos, wprawdzie podany na gazecie, ale ja snob nie jestem, z porcelany jeść nie muszę. Ważne, że sam sos całkiem OK, z dużą ilością pieprzu i krwistego mięsa. W tym „Przekroju” to naprawdę pichcą! Dokończyłem bułkę i wracam do pokoju. Ale już widzę, nie będzie tak łatwo. Najpierw muszę odkleić pośladki od stołka. Zasały się cholery jak dwa glonjady do szyby akwarium i nie puszczają, choć ciągnę z całych sił. Będę musiał pomóc

sobie cedzakiem. Podważyłem lewy pośladek i biorę się za prawy. A prawy też jakiś lewy! Koniec świata! Udało się wreszcie, ale wolę nie myśleć, jak teraz wygląda mój tyłek. Zwisa do kolan, będę musiał iść na jakiś lifting. Ale to jutro, dziś mam ważniejsze sprawy.

Najpierw przeprawa przez korytarz, dodam najdłuższy w nowoczesnej Europie. Przez kwadrans biegnę, ile tchu, wreszcie wpadam na chodnik i dopiero się zaczyna. Bunt kwiatów! Wynurzyły się nagle z tapet i falują. A razem z nimi ściany, sufit, nawet podłoga. Nie dam się sprowokować, myślę, zamknę oczy i przemknę po omacku. Ale gdzie tam!

Ledwo przymknąłem lewe oko, powieka odjechała mi na pół metra, tuż przed gałkami pojawił się gość ulepi-ony z budyniu i zaczyna mnie łaskotać po źrenicy. Aż się popłakałem! No nie, taki kontaktowy to ja nie jestem, żeby mnie gilgał nieznajomy barbapapa. Koniec igraszek! Strzepnąłem łobuza dłonią, wdeptałem w chodnik i rura do pokoju. Szybko, szybko, myślę, bo kwiaty nie żartują, wręcz przeciwnie: pozwalają sobie coraz bardziej. Oplatają kostki, syczą niczym żmije, kłują tandetnymi barwami. Zziajany wpadam wreszcie do sypialni i z hukiem zatrzaskuję drzwi. W ostatniej chwili, bo kwiaty już zaczęły szczypać futrynę.

Co tu zrobić? Muszę koniecznie z kimś pogadać, żeby się uspokoić. Z kimś przyjaznym, bezpiecznym, miękkim. Mam! Pogadam z jaśkiem! Sam zresztą przypelźł mi pod nogi i ociera się jak kot mojej ciotki, gruby Zygmunt. Wygina grzbiet, mruczy, nastawia rożki do głaskania. I prosi, żebyśmy popatrzyli w telewizor. Dobra, tylko gdzie pilot? Rozglądamy się z jaśkiem gorączkowo. Pod gumowym stołem nie ma, za krzesłem z półnut też nie. Tu go mamy, krzyczy jasiek, za doniczką. Wszystko jasne: pilot wstydzi się, bo strasznie spuchł i wygląda jak ogromna kajzerka, a przyciski ma z ziarenek czarnuszki. Czy można trafić w taki przycisk? Można,

językiem pod warunkiem, że jest grubości zapałki. Włączam Polsat, a tam specjalny komunikat. Dla mnie i jaśka. Uwaga na grochy czające się pod łóżkiem! Skąd się tam wzięły? Uciekły z piżamy i teraz dokazują, wyjadając plastikowe sęki z paneli. Hałasują przy tym, o trzeciej w nocy! I co ja powiem jutro sąsiadce z dołu? Że gości miałem? A sen nie nadchodzi! Nie ma rady, trzeba wziąć trzeci sajlentnajt. Łyknąłem na sucho, bo do kuchni po wodę jakoś nie bardzo. A nuż znowu dopadnie mnie stołek? Więc łyknąłem, dopychając językiem, aż do żołądka. Jedną tabletkę podrzuciłem jaśkowi, chytry nie jestem, jak kogoś lubię, umiem się podzielić.

Potem hop, pod kołdrę i leżymy. Może by tak jeszcze sprawdzić pocztę? Coś mi się widzi, że dostałem maile od księcia Karola. Miał napisać, kiedy do mnie wpadnie na pierogi. Wyciągnąłem nogę spod jaśka i stopą sięgam do laptopa stojącego w drugim kącie pokoju. Włączam dużym palcem „start”, gotowe: z ekranu wysypują się na biurko zielone koperty. A w każdej wiadomość od groszków: „Nadchodzi...” i właśnie wtedy dopadł mnie sen.

Obudziłem się osiem godzin później. Biorąc prysznic, zrobiłem bilans ostatniej nocy. Nowe doświadczenia kulinarne, półgodzinny jogging przez korytarz, walka z kwiatami,

integracja z jaśkiem. Dwa tysiące spalonych kalorii. Emocje jak po skoku z mostu. A ponadto byłem wyspany.

*

Ale Paloma nie uznaje rozwiązań na skróty. Chemia to ostateczność, powtarza zawsze koleżankom łykającym tony prochów na dzień dobry, na dobranoc, na wszystko. Najpierw warto zmierzyć się z problemem, wykorzystując własne zasoby. I wsparcie specjalistów. By znaleźć właściwego, Paloma zaliczyła już kontrowersyjny klub przy Gazowej. A teraz jedzie busikiem do Myślenic, czekając na odpowiednią chwilę, by zagadnąć kierowcę o wskazówki. Na razie nie

było okazji; zbyt wiele ciekawskich uszu, a i sam informator zajęty konwersacją. Temat: uroki rodzicielstwa.

- Najpierw, jak są małe, to by je człowiek jadł łyżkami, takie się wydają słodkie - sapnął kierowca, zerkając w boczne lusterko. - A dziesięć lat potem żałuje, że tego nie zrobił.

- Ot, dzieci - westchnęła pasażerka w skórzanej kurtce z „Tandeta Center”. - Chwilami se myślę, że jedyna z nich korzyść to wnuki.

- Jedyna - zgodził się kierowca. - Ale zasadnicza. Kiedy się już pojawią małe, wtedy wiadomo: wszystko idzie jak należy. Ród zachowany, można się rozglądać za sosnową garsonką.

Wszystko jak należy, powtórzyła w myślach Paloma. Ale co to właściwie oznacza? Dla kierowcy, wielbicielki skórzanych kurtek i dwudziestu milionów im podobnych – dzierganie życia według dokładnej instrukcji przekazywanej przez rodziców, wraz z motkiem. A dla niej? Nie umiałyby sprecyzować. Nie ma do tego głowy; znowu za krótko spała. Z powodu okruszków. Małe, ale irytujące, dlatego Paloma szuka eksperta, który się z nimi rozprawi. A wtedy w jej małżeństwie wszystko się unormuje. Będą z Norbertem sypiać, jak należy. I wreszcie się wybiorą w wymarzoną podróż. Bo na razie im się nie udaje.

Kiedy rano pytała męża, czy ma jakieś pomysły, odparł:

- Zwiedzanie przydworcowych barów Polski „B”, połączone z konsumpcją fasolki po bretońsku, bigosu i ciepłej oranżady.

- Uwielbiam twoje poczucie humoru - skwitowała, podając mu razowy tost z kozim serem i suszonymi oliwkami.

Kwadrans później wyruszyła do Borku, wyjątkowo tramwajem. Nie z oszczędności, każdemu potrzeba odmiany. I szczypty miejskiej egzotyki, uznała Paloma, energicznie wpychając się do wagonu pełnego nie tyle ludzi, co zapachów. Aromat świeżego chleba, bladych zimowych jabłek

i mokrych beretów w nucie głowy. Cierniaki zapach świeżo wydrukowanych ulotek z Tesco i zamszowych rękawiczek w nucie serca, a w nucie bazy - kozaczki skąpane w błocie i skarpety z trzeciego obiegu. Niezwykły bukiet, oceniła Paloma, ale lepiej nie przesadzać z aplikacją. Zwłaszcza po sześciu godzinach snu. Nie może sobie fundować migreny, czeka ją przecież pracowita środa. Jak pracowita, to zależy od inwencji kierowcy. Poda jej właściwy adres czy wyśle w następną podróż? Tak czy inaczej Paloma nie odpuści. Kobiety często zatrzymują się w pół drogi, by po latach żałować, jak jej matka. Ona chce sobie powiedzieć, że dotarła do mety. A na razie postój

w Myślenicach. Odczekała, aż wyjdą wszyscy pasażerowie i zaczęła się przeciskać między fotelami.

- Za daleko żeśmy pojechali? - spytał kierowca, widząc jej niepewną minę.

Bezwiednie przytaknęła.

- Nie każdy wie, kiedy wysiąść - skwitował, sięgając po paczkę ekstramęskich. - Ale nie ma zmartwienia. Za kwadrans wracam na trasę i będziemy szukali.

Posłała mu lekki uśmiech, na zachętę. Podziałało.

- Lubię pomagać zagubionym gąskom - pochwalił się kierowca, odgarniając bujną grzywę w kolorze spieczonego sernika.

- To się dobrze składa, bo szukam pani Tosi.

Kierowca skulił się. Natychmiast. Jak za dotknięciem magicznej różdżki, pomyślała. Albo policyjnej pały.

- Skąd... jak... po kiego... i czemu ja? - wykrztusił wreszcie.

- Podobno pan wie. Tak mi przekazano w Coconie.

- Ciszej! - syknął, drżącymi palcami zapalając papierosa (o dziwo, od właściwej strony - w filmie wyglądałoby to znacznie efektowniej).

Zapalił, łapczywie się zaciągając, zatrzasnął drzwiczki auta, zamknął nawet boczne okienko. Najwyraźniej i on nie dzierga życia zgodnie

z instrukcją, pomyślała Paloma. Pozory mylą.

- Kto pani powiedział?

- Barman na małej sali.

- A to mściciel - rozsierdził się kierowca, wzięwszy porządnego macha. - A przecież mówiłem, tłumaczyłem od samego początku, że mam dom, rodzinę, dzieci. Że to nie wypada się tak obnosić.

- Nie wypada - przytaknęła, by wzbudzić jego zaufanie.

- A poza tym kredyt z żoną spłacamy. Chałupa dopiero co wymurowana. Pani wie, jak to trudno podzielić?

- Nawet sobie nie wyobrażam - skłamała, zastanawiając się, którą poprowadziłyby linię podziału.

A może oddałyby swoją część mężowi, zatrzymując w zamian ulubione miejsca w restauracjach i pubach? Po co o tym myśli? Przecież dopiero wzięła z Norbertem ślub, nie minęły nawet trzy tygodnie! Zresztą gdyby chciała się rozstać, nie siedziałyby teraz w zadymionym busie.

- Do tego budynek gospodarczy, garaż i pół hektara ziemi pod lasem - ciągnął kierowca. - Tylko głupi by rezygnował. Głupi i naiwny. Bo i tak by nam nie wypaliło. Dwajścia lat różnicy. Tylko gwiazdy mogą sobie na to pozwolić. Albo jaki dyrektor.

- Nie wypala nawet dyrektorom - wtrąciła Paloma, niechętnie wracając pamięcią do starej przygody z dawnym szefem.

- Więc od razu mu wyjaśniłem, że to tylko na wakacje. Ot, tak dla odprężenia. - Znowu głęboko się zaciągnął, mrużąc przy tym oczy. - I żeby było co wspominać na stare lata. A on co? Niby się zgodził. A teraz mści się, ludzi na mnie nasyła. Opowiada ze szczegółami.

- Mnie nic nie mówił.

Kierowca aż przeklął. Na złodzieju czapka gore, pomyślała natychmiast. A może... to on nie potrafi zapomnieć? I w ten paradoksalny sposób próbuje sobie radzić z tęsknotą?

- Ja też nikomu nie rozpowiem. Potrzebuję tylko namiarów do pani Tosi.

- Starła się, by nie zabrzmiało tak jak szantaż. No może odrobinę, w celu zmotywowania.

- Domowego nie znam, ale wiem, gdzie pracuje - szybko zapisał Palomie telefon i adres. - Niedaleko Alei Róż. Drugi dom po lewej. Wiem, bo tam dorabiałem, jako milicjant. Fajna fucha, ale się zdarzył wypadek z kawą. I po robocie. - Zapalił drugiego papierosa. - Więc tak, zadzwoni pani na ten numer i jeszcze dziś umówi się na wycieczkę „Czar PRL-u”. Koniecznie wersję deluks, z kryzysowym obiadem ekstra. W innych mają komplety aż do

wakacji. Ale w deluksie trafia się czasem wolne miejsce.

- Myślałam, że jest na odwrót. - Ludzie na pewnym poziomie, można by rzec oswojeni z pieniędzmi, na ogół wybierają wersje wzbogaczone.

- Chodzi o ten obiad ekstra. Wielu turystów boi się biegunki - wyjaśnił kierowca, rzucając długopis pod siedzenie. - I słusznie, jak ktoś latami wciągał atrapy, w kontakcie z prawdziwym kapuśniakiem może się posrać. Nie tylko ze szczęścia.

- Czyli deluks - powtórzyła, żeby lepiej zapamiętać.

- Z kryzysowym obiadem ekstra. Autorką tych pyszności jest oczywiście pani Tosia.

Podał karteczkę, Paloma podziękowała, zapewniając kierowcę, że może liczyć na jej dyskrecję. Zresztą komu mogłaby opowiedzieć? Norbertowi? Wcześniej musiałyby wytłumaczyć, czego naprawdę szukała w Coconie. A na to jeszcze nie pora.

- Tylko niech jej pani nie wspomina, że ma adres ode mnie - rzucił na pożegnanie. - Bo nie zechce rozmawiać, taka jest cięta za te poplamione kryminały.

Ani mru-mru, obiecała i pobiegła w stronę myślenickiego ryneczku. Mogłaby wracać tym samym busem, uznała jednak, że to zbyt krępujące. Zwłaszcza w godzinie szczytu. Przyjemniej przesiedzieć porę korków

w uroczej kawiarence, niż nasiąkać oparami mokrych od deszczu włosów, starych skarpet i smażonej kiełbasy. A swoją drogą dziwne, że ktoś taki jak kierowca cieszy się wzięciem. Ani ciekawy, ani zbyt pewny własnej atrakcyjności. Pachnie też byle jak, tanimi fajkami. A przecież to trzy najważniejsze, zdaniem profesor Miriam Barbitelli, czynniki (intrygująca osobowość, właściwy zapach i pewność siebie) sprzyjające powodzeniu, również u płci przeciwnej. Więc gdzie tkwi tajemnica? Czy to ważne? pomyślała nagle, stając przed uroczą kamienicą w kolorze zgaszonego beżu. Nie lepiej zwiedzić miasteczko? Skoro już się tu znalazła...

Paloma nie lubi marnować okazji. Ani czasu. Dlatego stara się wykorzystać każdy dzień. „Wykorzystać” to niezbyt ładne słowo. Już woli stare dobre ła-cińskie *carpe diem*. Chwytaj, zanim ucieknie. Co nie znaczy, że trzeba pędzić z wywieszonym jęzorem. Prawdziwa sztuka polega na tym, by śpieszyć się powoli. *Festina lente*, bo jak mawiają Japończycy *seite-wa koto-o shisonjiru* („ci, którzy się śpieszą, popełniają błędy”). Tego właśnie się nauczyła na ostatnich warsztatach „Wolno żyć”. Dlatego zamiast męczyć się w korku, Paloma siada właśnie w maleńkiej cukierni. Zaraz zamówi moccacino bez cukru. Ponoć najlepsze w mieście, jak z dumą zaznaczono

w karcie. I rzeczywiście, pachnie wspaniale, prawdziwą kawą. Co do smaku, Paloma potrafi odróżnić jabłko od drożdżówki, ale w sumie to bez znaczenia. Wybierając żywność, kieruje się składem chemicznym oraz opiniami ekspertów, w restauracji zaś ilością gwiazdek. Im więcej gwiazdek, tym łatwiej o zachwyty. Na szczęście Norbert ma podobny stosunek do jedzenia, dlatego w ich menu króluje sushi, a nie ma tam pospolitych marmolad ani dżemów. Wyjątek stanowią słynne angielskie konfitury z imbiru i cytryn. Numer jeden na liście Petuli Clarks, angielskiej gwiazdy programów kulinarnych.

A zatem pierwszy stopień pokonany, wyszeptała Paloma, odstawiając błękitną filiżankę. Wybierze się na dziwną wycieczkę, gdzie dostanie dalsze wytyczne. A potem? Kolejna trasa? Dionizy, kolega z sąsiedniego pokoju, uprzedził, że tak to właśnie wygląda.

- Od Annasza do Kajfasza. - Umilkł, uśmiechając się do własnych myśli. - A kiedy wreszcie odnajdziesz Brzytwę i zaczniecie wspólną podróż.... dopiero cię wytrzęsie.

- Ale warto? - spytała, już w progu jego gabinetu.

Powoli przytaknął.

- Choć na początku żałujesz. I to bardzo.

Zawsze mogę się wycofać, pomyślała wtedy. Mogę, ale chcę dojechać do samego końca. Żeby nie było wątpliwości, Paloma docenia całą tę (nieco dziwną) podróż. Każdy jej odcinek i zakręt. Ale liczy też na rozwiązanie, bo tylko wtedy pchnie sprawy na właściwe tory. Najpierw musi odnaleźć Brzytwę i dowiedzieć się, co poszło nie tak. Na razie wie tylko, kiedy w ich sypialni pojawił się pierwszy okruszek. Już w noc poślubną.

- *Jaki ogromny! Gigantyczny! Czy na pewno się zmieści?* - wyszeptała strwożonym głosem Paloma i leciutko ugryzła Norberta w ucho.

Postaw na sprzeczne komunikaty, powtórzyła za mistrzynią gier i zabaw okołoweselnych, Wendy O'Neal (a wcześniej Adams, Jonas, Richardson i trzykrotnie Bailey). Dziewczęce zawstydzenie i wyuzdane pozy. Śmietankowa niewinność sukni i diabelski urok kabaretek. Listek świeżej mięty w winylowych ustach. Weselny koktajl serwowany pół żartem pół serio czyni cuda, obiecywała Wendy. Zaczaruje nawet twojego družbę. A Norberta?

- Wyrasta mi kaktus saguaro - oznajmił, zaglądając sobie do spodni.

- Robi się gorrrąco - zagruchała, nie przestając majstrować mu przy uchu.

- I niebezpiecznie. Więc zanim stracę przytomność z niedotlenienia, może przejrzymy prezenty?

Na taki rozwój wypadków czy raczej jego brak Paloma też była przygotowana. Przecież słyszała od Margo, że upalna noc poślubna często zmienia się w wieczór świętego Mikołaja.

- Zresztą nie ma czego żałować - zdradziła kumpela, krzywiąc się na wspomnienie własnego wesela. - Szampan z wódką to równie kiepskie połączenie, co lód z pawiem.

A jednak reakcja Norberta sprawiła Palomie przykrość. Dlaczego? Zastanowi się jutro, teraz musi, to znaczy chce się skupić na przyjemnościach. Prezenty.

- Zajmiesz się pieniędzmi? - poprosiła. - Mam dosyć cyferek w pracy.

Skwapliwie przytaknęła, biorąc ze stosu pierwszą kopertę. Przez chwilę pracowali w milczeniu.

- Wspaniała lampa - odezwała się wreszcie Paloma. - Od siostry z Kalabrii. To dopiero niespodzianka!

Ostatni raz rozmawiały w kwietniu tamtego pamiętnego roku, kiedy cały świat bratał się ze sobą, zapominając o dawnych urazach.

- A u ciebie? - zwróciła się do męża.

- Tysiąc po raz trzeci. I życzenia długich, długich lat w szczęściu, zdrowiu, dobrobycie. Od stryjenki

Gabrysi. - Sięgnął po następną kopertę. - Znowu tysiąc. W złotej kartce, z wierszykiem. „Dziś wchodzicie w nowe życie. Każdy o tym marzy skrycie. Każdy chciałby tak jak wy, przy ołtarzu ronić łzy”. Podpisano, Miśkowie.

- Słodkie - rozczuliła się Paloma.

- Trzysta dolarów - wyliczał dalej. - Od ciotki z Moskwy. Mogłaby dorzucić jakiś brylant albo złoty ząb, byłoby bardziej stylowo. A od twojego ojca trzysta euro.

- Oraz żelazko nowej generacji - wskazała pudełko uwolnione z ogromnych kokard w czerwone serduszka. - Inteligentny system aplikacji pary

wodnej. Dwadzieścia różnych programów. Fantastyczne!

Paloma nie jest wprawdzie pewna, czy w swojej garderobie znalazłaby choć dziesięć bluzek wymagających prasowania, ale lepiej mieć wybór, niż go nie mieć. Od przybytku głowa nie boli.

- Dołączył nawet wierszyk. Po niemiecku. Na pewno coś rubasznego. Ale tego nie przebije - Norbert pokazał kartkę od szwagrów. - Sama zobacz. - Zsunęła się z łóża i przysiadła na dywanie, blisko męża. Razem zaczęli czytać na głos.

- „Niechaj żyje Para Młoda, niech się każdy gość weseli. Bo Pan Młody Młodej Pani ślubną bramkę dzisiaj

strzeli. Niechaj strzela, niech się cieszy, bo to dzisiaj ślubny mecz, aż zmęczona żonka krzyknie: zejść z boiska mężu, precz”.

Wymienili się spojrzeniami. Weselne życzenia, ślubne fotografie i przesłodzony różowy tort. Festiwal kiczu, który trzeba traktować z przymrużeniem oka. Inaczej zmieni się w koszmar, pomyślała, sięgając po ogromne pudło otulone złocistą mgiełką papieru ryżowego.

- Aż żal rozwijać.

- Nie musisz, to ekspres od moich rodziców, ten, który widzieliśmy w galerii - zdradził Norbert. - A u mnie znowu tysiąc. Okraszony częstochowskim rymem. „Szłocha

mama, szłocha tata, łezki widać w oczach brata, siostra też ze szczęścia płacze, a Pan Młody w górę skacze i ogromnie się raduje, Panna Młoda mu wtóruje. Bo nim trzy kwadranse miną, jedną staną się rodziną". Rzewne.

Wypatroszył następną kopertę i zastygł w bezruchu.

- Coś się stało? - spytała.

Sam chciałby wiedzieć. Przecież nie chodzi o kopertę. Pusta trafia się każdej młodej parze. Miśkom wręczono aż cztery. Niby powinien się cieszyć, że jak na razie dostali tylko jedną, ale...

- Wszystko w porządku? - dopytywała Paloma, obserwując twarz męża.

- Tylko pusta koperta - odparł wreszcie. - Weselny standard w pakiecie z przesolonym bigosem i fałszami podchmielonego wodzireja.

- Pokażesz? - Wysunęła dłoń.

Podał jej zawartość. Dziewięć wycinków z gazet, przewiązanych czerwoną muliną. A każdy wielkości stułotowego banknotu.

- Na ogół dają tysiąc, dziwne. Ale poza tym staranna robota - oceniła. - Ciekawe, kim jest...

Urwała natychmiast. Nie ze strachu. Po prostu takie rozważania stwarzają niepotrzebne podziały na to co moje i nie moje. A przecież nie po to brali ślub, by wytyczać bzdurne granice.

- *Przynajmniej nie dołączył wierszyka - zażartowała.*

Odpowiedział jej uśmiechem. Zmęczonym, pomyślała wtedy.

*

A dziś? Wie tylko, że musi znaleźć kogoś, kto pozamiata w ich małżeńskim łóżu. By wreszcie mogli komfortowo sypiać. Dlatego wraz z grupą dziesięciu podekscytowanych polonusów czeka na rozpoczęcie przedstawienia „Czar PRL-u, wersja deluks z kryzysowym obiadem ekstra”.

- Zapraszamy! - huknął Gospodarz, otworzywszy skrzypiące wrota socjalistycznego raj. - Buty zostają na

korytarzu. Trudno dziś o porządną pastę do podłóg.

- Co robić, kryzys - podchwyciła pani Tosia vel Gospodyni, rozkładając dłonie w geście bezsilności. A może powitania? - Oto i nasze skromne progi. Po prawej stronie kuchenka, po lewej stronie łazienka. Na wprost salonik.

Identyczny jak w dawnym domu jej dziadków, ze zdumieniem odkryła Pa-loma. Ściany w kolorze kanarkowym tu i ówdzie ozdobione kolorowymi makatami. O ile nadjedzony przez mole szalik w zygzaki może cokolwiek zdobić. Pod jedną ze ścian upchnięto wypoczynkowy komplet: bordowe zapadnięte fotele i kulawą kanapę.

Identyczną jej dziadek wiózł aż z Kalwarii. Naprzeciwko kompletu straszyla gierkowska, lakierowana na wysoki połysk, meblościanka. Kilka pań od razu sprawdziło, czy można się w niej przejrzeć.

- Nie dotykać, bo paluchy zostaną - warknął Gospodarz, wzbudzając zachwyty trzech tlenionych blondynek, podobno z Vancouver. - I ostrożnie z dywanem. Staliśmy po niego dwie doby. Czterdzieści godzin na mrozie, przy ognisku ze starych łubianek.

Wskazał ogromne dywanisko w bordowe tureckie wzory. Obciachowy, ale świetnie zachowany, przyznała Paloma. Ten w salonie jej dziadków miał więcej śladów

użytkowania. A przecież babcia Dusia umiała dbać o przedmioty - dziwne...

- Pod spodem kryzysowe linoleum - kontynuował Gospodarz.

- Proszę zwrócić uwagę - wtrąciła Gospodyni - że niczego nie udaje. Ani terakoty, ani płytek.

Rzeczywiście! Prawdziwe linoleum, w czystej postaci i typowym dla siebie szarym kolorze.

Grafik z parteru, firmowy gadzciarz byłby zachwycony.

- A oto i serce każdego polskiego domu - Gospodyni postukała palcem w toporny telewizor marki Rubin, rówieśnik Palomy. A może nawet starszy brat, kto wie.

- Bardzo gorące, czasem trzeba wyłączać w połowie meczu - poskarżył się Synek, dwudziestoparoletni misiek w siatkowym podkoszulku.

- I wreszcie kryształ - zakończyła prezentację, ignorując uwagi Synka.

Całe mnóstwo ustawionych, gdzie tylko można. Za to żadnych ksiązek, a z gazet trzy pożółkłe numery „Trybuny Ludu” i „Panorama” z wiosny osiemdziesiątego czwartego.

- Ten numer czytałam tuż przed odlotem - rozczuliła się jedna z pań. - Mój Boże, to chyba jakiś znak, prawda?

Niestety nikt nie umiał jej odpowiedzieć, jaki.

- To co? - ożywił się Gospodarz. - Szykujemy się do obiadu, matka?

- A co dziś będzie? - zainteresował się Synek, zacierając dłonie o skórce tak delikatnej, że Paloma poczuła zazdrość. A przecież dba o swoje jak mało kto. Chroni, masuje, odżywia i, kiedy nie ma Norberta, zawsze śpi w bawełnianych rękawiczkach.

- Ponieważ skończyły nam się kartki na cukier, mięso i słodycze, będą - zastanawiała się Gospodyni - stare ziemniaki z kwaśnym mlekiem. Od baby - dorzuciła, przechodząc do kuchni.

- Wy tu doicie młoda matka? - dopytywał się jeden z turystów, nie

kryjąc ekscytacji. - Rękami czy maszynie?

Musiał wyemigrować bardzo dawno temu, uznała Paloma. Przecież każdy Polak wie, co znaczy mleko od baby. I jaja, bardziej cenione w tym kraju niż jakiegokolwiek inne.

- Jaka matka, Paul. Od baby znaczy, że nie jest ze shopu - wyjaśnił kumpel. - Tylko od farmera.

- Ale oklaski za jakość należą się krowie - wtrąciła Gospodyni. - Mleczko jak wino. Wczoraj wydojone, postawiłam przy kaloryferze i zaraz skisło.

- Tak samo z siebie? - przeraziły się blondynki. - To na pewno zdrowo?

- Takie właśnie pijałam u dziadków
- wzruszyła się pani od „Panoramy”. -
I siłę mam jak bizon. Cały office Jord-
acheów sprzątam w jedno
przedpołudnie.

- A na deser?

- Ciemny chleb z gryczanym mi-
odem. I gorzka gruzińska herbata ze
szklanki - oznajmiła Gospodyni,
nastawiając ogromny żeliwny czajnik.

- Parzona na chlorowanej wodzie.

- A kompot? - przypomniał Synek.

- Zrobiłabym, ale na przednówku
nie ma z czego. Z jabłek ugotowałam
już zupę. Dla odważnych - ostrzegła.

- Japcanka z kluseczkami -
ucieszyli się dwaj panowie z Welling-
ton. - Babcine delicje.

- Ale do obrania ziemniaków to potrzebuję pomocy - oznajmiła Gospodyni. - Jedną, dwie osoby, więcej kuchni nie pomieści. Kto pierwszy?

Cisza. Każdy miałby ochotę, ale trochę głupio się wyrywać z szeregu.

- Liczę do pięciu - huknął Gospodarz - potem sam za uszy wyciągnę.

Kanadyjski rynek usług sado-maso nie musi się obawiać kryzysu, uznała Paloma, obserwując zachwycone blond turystki. I natychmiast zgłosiła się na ochotnika. Niemal równocześnie z panią od „Panoramy”. Reszta grupy przyjęła to z godnością.

Usiadły w mikroskopijnej kuchence, z okienkiem wielkości lufcika umieszczonym tuż pod sufitem.

Gospodyni z Palomą wybrały miejsca przy pokrytym ceratą stoliku, pani od „Panoramy” usadowiła się w przejściu.

- Mieliśmy do wyboru balkon albo duże okno - odezwała się Gospodyni, nalewając z wiadra wodę do obtłuczonych garów. - Kiedyś żałowałam. Ale teraz to nawet wolę, jak jest ciemniej. Pajęczyn nie widać ani żył na rękach. A po żarówce człowiek nie stoi już godzinami. Ziemiaki płuczemy w łazience - poleciała ochotnicze. - Za mało miejsca. - postukała w mikroskopijny zlew ukryty między odrapaną kuchenką a laminowanym kredensem. - Ledwo szklankę można umyć. Kiedyś psioczyłam na architekta, który to zaprojektował. Nalegałam, żeby go

zesłać na trzy lata pobytu w podobnym lokalu, ze ślepą kuchnią. I niech chłopina spróbuje przygotować choć jeden obiad. Ale po rozwodzie i wyprowadzce mi przeszło.

- Jak długo tu pani nie mieszka? - spytała Paloma, kiedy zostały same.

- Dwadzieścia lat, chwalić Boga. Przychodzę tylko raz w tygodniu. Odstawiam show „komuno wróć”, czasem robię kryzysowy obiad ekstra, i jadę do siebie. A ty, kochana, skąd?

- Bronowice.

- Nasza, tak myślałam - ucieszyła się Gospodyni. - Za mało, kochaniutka, błyskasz zębami. I ekspresja też raczej stonowana. Pytanie, czego tu szukasz? Bo chyba nie drzwi do przeszłości.

Raczej do przyszłości, pomyślała Paloma, przełykając ślinę.

- Brzytwy - odparła, ściszone głośnie, bo do kuchni wkroczyła właśnie pani od „Panoramy”.

- Ziemniaki wypłukane - oznajmiła, stając na baczność.

- To teraz, kochaniutka, przynieś nam brzytwę. Chcę pokazać, czym się mój stary goli jak z żyłkami taka bieda. - Pani Tosia znowu wczuła się w rolę kryzysowej Gospodyni.

Ochotniczka natychmiast znikła w łazience.

- Chodziło mi o kobietę - sprostowała Paloma. - Podobno się panie znają.

- Jest jak rodzina, choć... ciągle nie przeszłyśmy na ty - odkryła pani Tosia ze zdumieniem.

- Może pani wie, gdzie ona bywa albo pracuje?

- Tu i tam, trudno spamiętać. Ale popytam jej chrzestną, kochana i w piątek ci powiem.

- Mam zadzwonić?

- Przyjdiesz do mnie, do biblioteki. Przy okazji się zapiszesz. No chyba że należysz do innej placówki.

Paloma z rozpedu zaprzeczyła, zaraz żałując szczerości.

- Kamień z serca, nie lubię robić konkurencji koleżankom. Więc w piątek koło południa pod tym

adresem. Ty dostaniesz dostęp do Brzytwy, a ja nową, ambitną czytelniczkę.

- Ambitną?

- Na taką mi właśnie wyglądasz, kochana. Żadnej prowizorki.

*

Racja, Paloma nienawidzi prowizorek ani działań na pół gwizdka. Jeśli już bierze książkę do ręki, czyta do ostatniej strony. Ale tak solidna lektura wymaga czasu, którego Palomie ostatnio brakuje. Dlatego prosto z Alei Róż przejechała taksówką do Alchemii. Jak wspomniał barman z Coco, w głębi drugiej sali przesiaduje Sybil,

tutejszy wieszcz i niespełniony poeta disco-polo. On też zna Brzytwę.

- Jeśli trafisz na właściwą fazę, odsłoni rąbek tajemnicy.

I Paloma nie będzie musiała odwiedzać biblioteki. Ale to nie jedyny powód, dla którego sprawdza alternatywną ścieżkę dostępu do Brzytwy. Otóż Paloma lubi mieć wybór. Im szerszy wachlarz ofert, tym łatwiej wybrać najbardziej korzystną. Jak Norbert. Zadbany, przystojny (ale nie przesadnie), dobrze wykształcony, obyty w świecie i dowcipny. Pieniądze? Ma ich tyle, by cieszyć się życiem, nie zważając na koszty. Więc gdzie tkwi problem? Nie może myśleć w ten sposób, zbeształa samą siebie.

Zamiast na problemie, musi skupić się na celu. Potem na kolejnych i tak do końca. To znaczy do rozwiązania, poprawiła natychmiast. „Koniec” to takie okropne słowo. Bez możliwości odwołania. A jednak, pomyślała po chwili, to ono nadaje życiu smak. I sens.

- Sens? - zaśmiał się Sybil. - Nasze życie nie ma żadnego. Żadnego! Napisałem o tym wiersz, ale nikt go nie rozumie. Ludzie są głupi. Skupieni tylko na konsumpcji. Wchłaniają i srają, srają i wchłaniają. A potem znowu srają byle czym. Cały świat tonie w kupie.

Krakowski spleen. Paloma mieszka tu już szósty rok i ciągle nie może się przyzwycząić. Kawiarniane Radio

Armagedon, z rozgłośnią na Kazimierzu.

- Straszne - przyznała, by zmniejszyć dystans.

- Straszne? - wykrzyknął Sybil. - Śmiechu warte! Utonąć we własnym gównie. Potop na miarę naszych czasów!

Dokończył czwarte piwo.

- Jest chyba jakiś ratunek - odezwała się Paloma, podsuwając mu kolejny kufel.

- Arka Noego? Krąży pusta: pasażerowie wybrali Titanic.

- Szukam Brzytwy - zaryzykowała.

- Lepszy jest sznur - odparł. - Albo gorący wosk, zależy czego oczekujesz.

- Rozwiązania.

- Więc sznur. Nie zostawia tyłu śladów.

- Wolałabym Brzytwę - ponowiła prośbę, lukrowanym głosikiem. Krakowscy wieszczowie też lubią słodocze.

Przez minutę siedział wpatrzony w kufel piwa jak w szklaną kulę. Nagle chwycił długopis, nagryzmolił coś na kawiarnianej serwetce, zmiął w kulkę i rzucił jej na podolek.

- Będzie bolało.

*

Ale Paloma jest przygotowana na ból. Bez bólu nie ma rozwoju. Jak mawiali starożytni: *per aspera ad astra*.

- Coś o tym wiem - podjęła Margo.
- Dwa razy w tygodniu pilates, raz w miesiącu depilacja brazylijska, a co pół roku ostrzykiwanie twarzy. Ale nic za darmo, zwłaszcza po trzydziestce.

Nic za darmo, powtórzyła cicho Paloma, przyglądając się bazgrołom na serwetce. „Pętla Borek, biały sprinter, baba z wąsem”. Najwyraźniej nie trafiła w odpowiednią fazę. Ślepa uliczka? Cóż, zdarza się w każdej podróży. I każdej nadaje sens, jak uważa autor *Zen w wielkim mieście*, Horst Schwartzer. Wydaje się niepotrzebna? To tylko my, ślepi ludzie nie umiemy dostrzec jej sensu. Paloma też nie potrafi, wierzy Horstowi na słowo. Zresztą najważniejsze, że spróbowała

różnych opcji. Tylko w ten sposób można sprawdzić, która z uliczek jest przejezdna. Jedna doprowadzi ją do Brzytwy, na pewno. Ciekawe tylko, ile to jeszcze potrwa. Cała ta podróż. Bezsenność Norberta zaczyna być problemem. Wczoraj Paloma znowu budziła się co godzinę, a to bardzo obniża nastrój w ciągu dnia. I ten irytujący brak decyzji w sprawie wyjazdu. Dziś przed obiadem usiłowała poruszyć temat.

- A Morze Martwe? Mają tam fantastyczne ośrodki SPA dla nowożeńców.

- Rozpocząć nowe, wspólne życie w Morzu Martwym. Brzmi intrygująco

- przyznał. - Szkoda, że to tak blisko Jerozolimy.

Ach, racja. Opowiadał podczas firmowej wigilii o syndromie jerozolimskim.

- *I nagle stojąc przed Grobem Pańskim zrozumiałem, że jestem... - zawiesił głos.*

- *Marią Magdaleną? - za-
rzykowała Margo.*

- *Wiadomo kim - oznajmił Szef tonem nieznoszącym sprzeciwu.*

- *Judaszem - wyjął Norbert.*

Wszyscy ucichli, nie wiedząc jak zareagować. Zdezorientowani zerkali na Szefa. Może podsunie właściwy komentarz.

- Paskudna sprawa - skwitował Szef, ukrywając konsternację w kieszeni nowych spodni od Bossa.

- Ja też byłem rozczarowany - przyznał Norbert. - Liczyłem co najmniej na rolę Jana od wizji. I gdzie się podziały te cholerne srebrniki? Przeszukałem nerwowo wszystkie kieszenie. Nic. Więc wdrapałem się na drzewo, żeby zyskać szerszą perspektywę. A ci z ochrony uznali, że chcę się powiesić.

Znowu cisza.

- Panikarze - rzuciła Margo, oburzona. - Mnie zgarnęli z Mostu Legionów Piłsudskiego. A chciałam tylko zobaczyć wschód słońca w Nowy Rok.

- Mnie wsadzili na trzy doby do izolatki. I dlatego nie zwiedziłem Muzeum Dawida.

*

Mogliby je zwiedzić teraz, pomyślała Paloma i przy okazji przepracować stare traumy. Jak czytała w znakomitej *Ścieżce mistrzów*, jej ulubionego nauczyciela, Jima Mo Fan Be, czasem warto wrócić do miejsc, gdzie doznaliśmy krzywdy albo załamania, by jeszcze raz, na spokojnie, przyjrzeć się bólowi. „Cierniowa ścieżka” (nazwa opatentowana przez Jima wiosną 2001) pomaga oczyścić stare rany, raz na zawsze. I zacząć nowe wspaniałe życie, tu i teraz. Ale

Paloma nie może robić za terapeutkę własnego męża. Zbyt ryzykowne i mało skuteczne, ostrzegał w każdej książce mistrz Jim, zapraszając na wakacyjne warsztaty dla zdezorientowanych małżonków. Zimą u siebie, w Arizonie. Wiosną na Bali. Cudowne miejsce, niestety w ich przypadku odpada. Już pytała Norberta tydzień temu, podczas sobotniej romantycznej kolacji.

- Bali? - Upił duży łyk białego wina.

- Miśkom bardzo się podobało

- Szwagierka też była zachwycona

- podjęła Paloma, nerwowo bawiąc się woskiem z zapachowej, srebrzystobiałej świecy. - Nawet Margo, która nie

lubi się ruszać poza miasto. I wszyscy z działu marketingu.

- No właśnie, wszyscy - rzucił z przekąsem. - Wolałbym coś wyjątkowego.

- Jak przydworcowe bary? - zażartowała.

Przez chwilę zastanawiał się nad czymś. Nagle przypomniała mu się ulubiona zabawa z dzieciństwa. W biedaków. Ukryty w altance dziadków wyobrażał sobie, że ma do jedzenia wyłącznie suchy chleb i zupę z gotowanych pokrzyw. Ale teraz jest już dorosły. Powinien trzymać fason.

- Na Bali nie wolno wyrażać smutku ani złości - odezwał się

wreszcie. - A wiesz, jacy jesteśmy przekorni.

- Nie chodzi o przekorę.

Czytała o tym w kultowej *Największej rewolucji*. Autor, Aaron Yansky, kontrowersyjny wykładowca z Florida University, tłumaczył, dlaczego mamy problem z przestrzeganiem dziesięciu przykazań. Otóż ludzki mózg słabo sobie radzi z konstrukcją „nie + czasownik”. Dla poparcia swych słów Yansky proponował czytelnikom, by przez minutę nie myśleli o gotowanej marchewce. Trudne, prawda? Chcąc zatem zmienić nawyki, musimy reformować język. Zamiast „nie będę jeść fast foodów” - „koniec z fast foodami”. A jeszcze lepiej: „wybieram tylko

zdrową i pyszną (dodatkowe wzmocnienie) żywność”. Jeśli słowo „fast food” zniknie z twojej głowy, przestanie bywać w innych częściach ciała, obiecywał Yansky. Postulował również, by przerobić znaki drogowe i oczywiście Dekalog. Zamiast „nie kradnij” - „uszanuję cudzą własność, także intelektualną”. Byłaby to największa rewolucja moralna, przekonywał, zyskując wielu wrogów w prawicowych kręgach uniwersyteckich. Ale i spory rozgłos gdzie indziej.

- A co z przykazaniem Jezusa? - zainteresował się Norbert. - Łamiemy je częściej niż inne.

- Yanski jest żydem - burknęła.

- A trzecie i czwarte z Dekalogu?

To się robi wyjątkowo denerwujące. Ilekroć Paloma porusza sprawę podróży, Norbert zgrabnie przeskakuje na inną ścieżkę. A potem mijają odpowiedni nastrój i Palomie brak motywacji, by nawiązać do tematu. Dlatego musi odnaleźć Brzytwę. „Muszę i znajdę jeszcze w tym tygodniu”, oznajmiła sobie i siłom wyższym, by wskazać im kierunek działania. Dla wzmocnienia przekazu powtórzyła „znajdę w tym tygodniu” siedem razy. Potem wzięła trzy głębokie oddechy i sprawdziła na mapie adres biblioteki. Ach, biblioteka. To dopiero wyzwanie! Paloma nie była w żadnej od końca studiów. Bo i po co? Wszystkie ważne poradniki zamawia w sieci, bestsellery

pożycza (rzadko) od trzech sprawdzonych kumpli z biura, a klasykę odstawiła po maturze na najwyższą półkę.

- Tam, gdzie jej miejsce - skwitowała kiedyś Margo. - Po tym można poznać prawdziwą klasykę. Każdy chce ją mieć, ale nikt po nią nie sięga. Za wysoko.

Co najwyżej cytuje wyrwane z kontekstu zdania. A do tego wystarczają google. Więc wyprawa do biblioteki to nie byle co, pomyślała Paloma, z dreszczykiem niepo... raczej ekscytacji. Tak właśnie: e k s c y t a c j i. Ale dla pewności zabierze ze sobą Margo. We dwójkę zawsze różnie. Poza tym Margo jest naprawdę znakomitą towarzyszką. Nie grymasi, nie

obwinia, nie wywleka starych błędów. Również dlatego że nie sięga pamięcią dalej niż cztery doby wstecz. Poza tym nie domaga się wyjaśnień i nie zadaje zbędnych pytań. Przyjmuje świat takim, jaki jest. I co ważne, lubi poznawać nowe miejsca. Albo odkrywać te już dawno zapomniane. A wszędzie wchodzi jak do własnej łazienki, zachowując luz, który udziela się osobom towarzyszącym. Co bywa czasem ryzykowne.

Grafik z parteru skołował trochę amfy i spytał, czy się poczęstują. Margo od razu zaświeciły się oczy. A Paloma? Nie była wtedy jeszcze adeptką trzystopniowego kursu kobiecej asertywności (ukończonego

z wyróżnieniem). Poza tym nie chciała zrażać do siebie nowych kolegów z firmy. Akceptacja grupy pomaga piąć się na szczyty. Odchrząknęła więc tylko, co uznano za zgodę. Zamknęli się we trójkę w biurowym kiblu. Grafik wyjął towar, rozsypał na wykafelkowanym blacie i biblioteczną kartą z Jagiellonki ułożył trzy w miarę równe „ścieżki”. Za pomocą rurki do drinków wciągnął swoją porcję proszku. Potem do akcji wkroczyła Margo, rozprawiając się ze środkową ścieżką. Paloma z ulgą przyjęła boczną, nieco węższą od pozostałych. Przez pół minuty przyglądała się sobie w lustrze. Nic, zupełnie. Jak dobrze, że wzięła tak niewiele. Ot tyle, żeby

wytrzeźwieć. Ucieszona wróciła na parkiet, gdzie przetańczyła dwadzieścia piosenek Madonny. Potem wykonała na stole efektowny striptiz, zyskując aprobatę kolegów z firmy. By okazać, że się integruje z zespołem, machnęła laskę grafikowi, specjalistom od marketingu i programiście. Zanim zdążyła poderwać sekretarkę prezesa, zabawa przeniosła się do klubu, skąd wymieciono Palomę tuż przed świtem. Nie czekała na tramwaj, bo i po co? To tylko osiem przystanków, przekonywała towarzyszących jej panów. Do domu dotarła w kwadrans (do dziś się zastanawia, jakim cudem). Czekaając na sen, wyszorowała wszystkie posadzki, wyczyściła

kuchenne szafki i lodówkę, z resztek piekąc niedzielne ciasto (w siedmiu wersjach smakowych, z cukrem i bez). Koło dziesiątej zabrała się za czytanie Bułhakowa. Tuż przed końcem naszła ją ochota na drzemkę. Dlaczego nie, w końcu niedziela służy szeroko pojętemu odpoczynkowi. Paloma przymknęła znużone powieki i spała smacznie aż do poniedziałku. Obudziła się zmięta jak dycha w kieszeni sprzedawcy śliwek. Obejrzała w lustrze swoje spuchnięte wargi. Przepłukała usta dezynfekującym płynem (trochę wypiła, żeby zneutralizować ciała obce). A potem machnęła trzy zdaniowe wypowiedzenie. Poszło mailem. Na więcej nie starczyło

jej odwagi. Ani energii. Cały dzień przeleżała w łóżku, gapiąc się w sufit i popijając listerynę. Wieczorem przyszła do niej Margo. Równie opuchnięta. I też bezrobotna.

- Zwolniłaś się? - spytała Paloma, poruszona tym niespodziewanym aktem solidarności.

- Skąd! Wywalili mnie, bo „w naszym zespole nie ma miejsca dla uzależnionych”. Nawet nie zdążyłam wyjaśnić, że to pierwszy raz. Może nawet ostatni.

- Skąd wiedziałaś, jak wciągać? - dopytywała zdziwiona jej sobotnią wprawą Paloma.

- Oglądałam sporo francuskich filmów. Nic, było minęło - oznajmiła,

energicznie siadając. - Znajdziemy, Laska, lepszą pracę. Jesteśmy tego warte. Bo kto jak nie my!

*

Margo umie poprawić samoocenę. I tak łatwo można zapomnieć przy niej o błędach; sama popełnia ich tyle, że aż śmiech. Bywało, że Paloma była zażenowana dosadnymi uwagami koleżanki. Spięta nie czuła się nigdy. Dlatego podczas przerwy na kawę przedstawiła „propozycję nie do odrzucenia”.

- Do biblioteki? Po co?

Przy kimś innym Paloma musiałaby się nakombinować. Ale nie przy Margo.

- Szukam specjalistki od bezsenności - odparła po prostu. - Wspomniłam ci, że Norbert ma problemy z fazą REM.

Margo gorliwie przytaknęła, udając, że pamięta.

- Babka jest świetna, ale ekscentryczna. Nie ma biura ani nie używa telefonu, nawet stacjonarnego.

- Niemożliwe!

- Ale w bibliotece wiedzą, jak do niej dotrzeć.

- To lecimy, Laska, powiedz tylko kiedy.

Cała Margo. Nie drąży, nie dopytuje. Zadowala się tym, co dostanie. Pewnie dlatego ciągle jest tą trzecią. I nigdy ostatnią. Ale mimo wszystkich

miłosnych porażek nadal tryska entuzjazmem. Wrodzonym, czego Paloma szczerze jej zazdrości. Na swój musiała pracować latami. Udało się dopiero po lekturze książek Jima Mo Fan Be. Dlatego tak go ceni. Pokazał jej, że szczęścia można się nauczyć.

- Nauczyć? - zdziwiła się Margo. - Przecież szczęście to krótkie błyski, które przychodzą znienacka jak majowy deszcz. Nie przewidzisz, kiedy znowu cię zmoczy.

Krążyły właśnie po osiedlu, szukając biblioteki. A z nieba siąpił obrzydliwy, marcowy kapuśniaczek.

- Krótkie błyski to miły bonus - odparła Paloma, cytując dla odmiany Horsta Schwartzera. - Jak prażone

migdały w gorzkiej czekoladzie. Ale liczy się całość, łącznie z papierkiem.

- A jak się trafi wyrób czekoladopodobny? - zastanawiała się Margo, dzielnie lawirując między wyszczerbionymi płytami chodnika.

Otóż to! Cała sztuka polega na tym, by w podróbce widzieć prawdziwą czekoladę. Bo innej nie dostaniemy.

- Weź mnie, Laska, nie przygnębiaj. Ja cały czas liczę na belgijskie trufelki.

- Bardzo dobry kierunek myślenia - pochwaliła Paloma. - Należy oczekiwać najlepszego, jednocześnie ciesząc się z tego, co mamy.

- To ja już nie wiem, o co kaman - poddała się Margo. - Czym całe to szczęście jest. Czekaniem czy zgodą?

Jednym i drugim w odpowiednich proporcjach. Przy czym „czekanie” nie oznacza bezruchu, na tym polega rewolucyjność teorii Schwartzera (szczegółowo przedstawionej w bestsellerowym *Zen po godzinach*). Dawniej sądzono, że szczęście to człowiek leżący na trawie. Zapatrzony w obłoki o nic nie walczy i niczego nie pragnie. „Czy nie przypomina wam to apatii?” pytał retorycznie Horst, natychmiast podsuwając własną wizję szczęścia: „wspinasz się na szczyt wysokiej góry, jednocześnie podziwiając widok, jaki się roztacza dookoła”. Nowatorskie podejście, tylko... czy Paloma tak potrafi? Nagle przyszła jej do głowy inna, równie

niekomfortowa myśl. Czy osoba naprawdę szczęśliwa błąka się po obcym osiedlu w poszukiwaniu przewodnika? Zanim zdążyła się zdenerwować, Margo wskazała jej napis.

- Nareszcie! - pisnęła, zacierając zmarznięte dłonie. - Mogę sobie wyobrazić, że ucieszy mnie tabliczka czekolady, ale tego, Laska, że będę skakać na widok biblioteki. No tego bym nie wymyśliła nigdy w życiu!

*

- Dwie nowe czytelniczki, jak miło!
- cieszyła się pani Tosia. - Dowodziki poproszę.

Margo, zaskoczona, bez słowa wyjęła dokument. Wyplącze się z tego,

uznała Paloma, w końcu jest dorosła. A może, kto wie, będzie tu wracać. Czasem przypadek otwiera nam drzwi do lepszego świata, powtórzyła za Jimem Mo Fan Be, pozbywając się resztek wyrzutów.

- Ciekawa jestem, jak się o mnie dowiedziałyście? - spytała pani Tosia, wypisując nowe karty biblioteczne.

- Od barmanów z Coconu - wyszeptała Paloma, dyskretnie rozejrzawszy się na boki.

- Ach, ci! Kochane chłopaki. Wpadają tu co tydzień po nowe powieści.

- Co tydzień? - zdziwiła się Paloma.

Więc dlaczego jeden z nich wysłał ją w niepotrzebną podróż busem? Nie,

wróć. Jaką niepotrzebną? Wszystko, powtórzyła, w s z y s t k o, co nam się przydarza, jest potrzebne. I ważne. Ma jakiś sens, który możemy odkryć. O ile tylko się postaramy. A ona bardzo się stara. Poza tym wycieczka busem to miła odskocznia od codzienności. Prawie tak samo fascynująca jak przejażdżka pełnym tramwajem. Teraz lepiej, pomyślała, odetchnąwszy z ulgą.

- Co tydzień wpadają, czasem częściej - pochwaliła chłopaków pani Tosia. - Bardzo nam podnoszą wskaźniki czytelnictwa.

- Ale nocami to chyba podnoszą co innego - wtrąciła Margo.

- Każdy ma prawo do odrobiny szaleństwa. Ja, na przykład, podczas pełni jadę za miasto do lasu i wyję do księżyca. Godzinę dwie, czasem aż po błądy świt.

- Pomaga?

- Niby w czym? - nie zrozumiała pani Tosia.

Tego Paloma się nie spodziewała. Przecież każda czynność wymagająca tyle wysiłku powinna czemuś służyć. Przynosić spokój, szczęście, radość albo chociaż ulgę. Słowem dawać korzyść. Ciału lub duszy. Ale czy musi to wszystko tłumaczyć obcej osobie?

- Podobno krzyk uwalnia od stresów - rzuciła tylko, nie wdając się w szczegóły.

- Może i tak, nigdy się nie zastanawiałam. Jadę, bo muszę. Po prostu. Nie zważając na ryzyko.

- Ryzyko? - zainteresowała się Margo, wielbicielka opowieści z dreszczykiem.

- Raz o mało nie zginęłam - wyjawiała pani Tosia, ścisząc głos. Czym natychmiast przyciągnęła uwagę staruszek wertujących kolorowe pisemka pełne równie kolorowych przepisów na życie. I smakowitych plotek.

Lubimy cudze sekrety, pomyślała Paloma. Nagle poczuła się tak, jakby ją przeniesiono do dawnego salonu dziadków. Niby wygodnie, bezpiecznie i doleję-ci-zupki-droga-wnusiu,

a jednak gdzieś po kątach czai się dziwne napięcie. Usiłując strzepnąć przykre myśli, wyraziła zainteresowanie historią pani Tosi.

- Chodziło o kleszczowe zapalenie mózgu? - Sporo się o tym mówi ostatnio w mediach.

- Gorzej - odparła bibliotekarka. - Jakiś cymbał wziął mnie za... nawet nie chcę sobie wyobrazać, za co. - Machnęła dłonią. - I ostrzelał z ukrycia. Na szczęście nie trafił, bo byśmy tu sobie nie gawędziły. Kiedy kula mi śmignęła koło ucha, dostałam szału. Dopadnę gamonia, myślę, i rozerwę na strzępy. Wydałam potężny ryk i szarżuję niczym nosorożec! Ale taki,

kochane, prehistoryczny. Jak z *Parku Jurajskiego*.

Paloma miała ochotę sprostować, że w słynnym *Parku* występowały wyłącznie dinozaury. Ale uznała, że nie ma sensu. Nie po to przyszły do biblioteki, żeby tracić czas na sprostowania.

- A myśliwy? - dopytywała Margo.

- Zwiął, porzucając dubeltówkę na poszyciu. Będzie miał co opowiadać przy kociołku innym cymbałom.

- Dlaczego cymbałom?

- A kto normalny strzela dzisiaj do zwierząt?

- Podobno to taki test na męskość - Margo zacytowała wypowiedź z pisma

dla obwieszonych gadżetami drapieżników w ludzkiej skórze.

- Szkoda, że nie zdają testów na człowieczeństwo.

- Nie lubi ich pani - skwitowała Paloma, starając się, by zabrzmiało to choć trochę jak pytanie.

- Nie lubić to mogę czytelnika, który mi wyplamił kawą nową książkę. Albo poczytny kryminał.

Umilkła, zaciskając usta tak mocno, że Paloma zrozumiała obawy kierowcy busa.

- A tych tam z lasu mi raczej żal. Jak upośledzonego, co to nawet nie wie o swoim defekcie. Za to Brzytwa jest na nich cięta. Jakby ją kto

naostrzył. Ach właśnie, miałam podać adres.

Paloma wyprostowała plecy, okazując tym samym gotowość do przyjęcia wskazówek.

- Już, już, tylko w notesiku sobie sprawdzę, bo to taka przedziwna nazwa. Niby love jak miłość, ale pisze się inaczej. Helena, to znaczy chrzestna Brzytwy trzy razy mi powtarzała. A i tak musiałam zapisać. Ile przy tym było krzyku - mruknęła do siebie, werując zeszyt. - Jakby nie dało się spokojnie, z kulturą. O, jest, nareszcie! Klub Laff - przeczytała, akcentując oba „ef”. Miniecie Młynek po prawej, schodami w dół do podziemi. A teraz

kochaniutki, zapraszam do działu książek. Mamy znakomite nowości.

- Kogo mamy pytać o Brzytwę?

- Po co pytać? Od razu ją poznacie, choćby po fryzurze - odparła pani Tosia, a widząc minę Palomy doprecyzowała. - Ogromny ul na czubku głowy, możliwe że wypchany rajstopami. Bo tylu włosów nie ma nawet Violetta Villas.

- A jeśli nie poznam? - upierała się Paloma.

- Możemy się założyć. O najnowszą powieść Houellebecqa. To jak?

- Chętnie kupię i bez zakładów - zapewniła Paloma, ale bibliotekarka już wysunęła dłoń. - Dobrze! Stoi! Mam nadzieję, że pani wygra.

- Kochana, wierz mi, nigdy nie ryzykuję. Taką mam zasadę.

- To po co w ogóle...

- Choćby dla tego - pani Tosia wskazała pełne nowości półki.

- Imponujące - przyznały obie.

- A środków na zakupy coraz mniej.

*

Ale pani Tosia znakomicie sobie radzi z brakami, przyznała Paloma, szukając w księgarni powieści Houellebecqa. Mogłaby się wstrzymać z zakupem książki, dopóki nie rozpozna Brzytwy i nie przegra zakładu. A nawet jeszcze parę dni, aż uzgodnią kontrakt. Tak by jej poradziły kobiety doświadczone tym rodzajem wiedzy,

który odziera człowieka z wszelkich złudzeń. I pozbawia resztek ufności. „Nie płąć od razu, poczekaj na przeceny. Kto się się śpieszy, ten zapeszy”. Może i racja, Paloma woli jednak przekaz nie oparty na lęku. Dlatego zamiast wysłuchiwać mądrych po szkodzie, skorzysta ze wskazówek Horsta Schwartzera. W *Zen przed śniadaniem* Horst dokonał kolejnej rewolucji, rozprawiając się z mitem kapryśnego losu. „Kaprysi, bo tego właśnie oczekujesz!” – oznajmił zdumionym czytelniczkom i natychmiast przeszedł do ulubionych metafor. „Jeśli czerpiesz wodę zardzewiałym wiadrem z dziurą, nie narzekaj potem, że nie masz czego pić”. A zatem sztuka

polega na tym, by dobrać właściwe naczynie. Dlatego Paloma kupi powieść już teraz, by wskazać losowi właściwą drogę działania. A potem... pójdzie jak z płatka. Musi pójść.

*

I rzeczywiście, ostatnie godziny mignęły szybciej, niż się spodziewała. Do wyjścia zostało tylko niecałe sześć, policzyła Paloma, malując paznokcie brokatowym lakierem (kolor „disco chic”). Co teraz? Strój już wybrany (modne dzinsy i cieniowana tunika w stylu boho), kolczyki także (sięgające ramion pawie pióra), fryzura zrobiona u najlepszego fryzjera w mieście (o czym przypominał jej co chwilę podczas stylizowania). Wystrzałowe buty

(przetestowane w czasie Sylwestra u Miśków) czekają na korytarzu. Jeszcze wyrazisty makijaż, torebka i będzie prawie gotowa.

- Szykujesz się jak na randkę - zauważył Norbert.

- Albo na spotkanie z rywalką - mrugnęła.

- A to przecież zwykłe wyjście z Margo.

- Z Margo nie ma zwykłych wyjść - odparła, znacząco zawieszając głos. - Poza tym my, kobiety jesteśmy tak socjalizowane, że musimy się podobać.

W pracy, w szkole, w kościele, na wczasach, w osiedlowym zieleniaku, u fryzjera. Wszędzie z wyjątkiem domu, pomyślała, wracając pamięcią

do czasów dzieciństwa. Matka w wymiętoszonym podkoszulku (równie szarym jak jej cera i oczy), z podobizną Bruce'a Lee i w starych kalesonach ojca. Z potarganymi włosami w kolorze żółtka (żałosna podróbka stylu Kim Wilde) i z klubowym przyklejonym do dolnej wargi. Ogarniała się dopiero na wieść o Wizycie. Raz dziadkowie przyjechali bez ostrzeżenia. Tak nie można, usłyszała matka. „Że ci źle? Po pierwsze nie bluźnij, a po drugie to żadne wytłumaczenie. Wręcz przeciwnie, im gorzej się czujesz, tym bardziej się staraj. Schludna fryzura, czysta bluzka, miły uśmiech. To działa. I siedź prosto, zamiast zwijać się w precel!” Paloma

na wspomnienie szorstkiego głosu dziadka natychmiast ściągnęła łopatki. Jeszcze bardziej niż zwykle.

Nie ma sensu do tego wracać, zdecydowała, energicznie wstając z fotela. Trzeba skupić się na tym, co za chwilę. A dokładnie za pięć godzin i dwie minuty. Powinna się psychicznie przygotować. Odprężyć przy kominku zapachowym, ułożyć dłonie w mudrze ziemi i w pozycji półłotosu dokonać rytuału „pozytywnego przyciągania”, jak radził mistrz Jim w *Ścieżce mistrzów 2*. Oczekuj najlepszego, powtarzał, bo.... zło przyjdzie samo, dokończyła wbrew sobie. Paloma lubi przysłowia, ale to budzi w niej irytację. I sprzeciw. Wiadomo, że różne rzeczy

się zdarzają, ale po co od razu straszyć! I jeszcze ta cholerna dosadność w określaniu zjawisk. Zło. Czy nie lepiej mówić o niespodziankach? Lub o ważnej lekcji, którą podaruje nam życie? Rozdrażniona zaczęła się kręcić po salonie. Powinna wrzucić na luz. Ale jak? Na wino jeszcze za wcześnie, wypije parę lampek tuż przed wyjściem. A gdyby tak znowu przeczytała listę możliwych pytań i odpowiedzi? Po co? Wszystkie wkuła na blachę już tydzień temu, kiedy postanowiła, że znajdzie Brzytwę. Zostało jeszcze prawie pięć godzin, musi jakoś zabić czas, zanim... To znaczy chce go zagospodarować, poprawiła, przypominając sobie rady Yanskiego. Dobierając

właściwe słowa, kreujemy lepszy, piękniejszy świat. Ciekawe na co Yansky zamieniłby „rozpacz” albo „zazdrość” pomyślała, nerwowo zerkając na zegarek. Nie, to bez sensu. Nie może się tak denerwować spotkaniem. Przecież Brzytwa ma jej pomóc. I pomoże, jak zapewnił Dionizy Fiotroń, kolega z oddziału. A to człowiek, który nie zmyśla ani nie upiększa. Dokładny, prawdomówny i taki zadbany. Wygląda jak trendsetter zatrudniony przez wiodące firmy odzieżowe. Przy tym ma w sobie coś szlachetnego. Pewnie dlatego Paloma była nim zainteresowana już od pierwszej firmowej imprezy. Spotykała się wprawdzie z Norbertem, ale niczego sobie nie

obiecywali. Żadnych wyznań, żadnych planów. Paloma czuła się wolna na tyle, by... uważnie rozglądać się na boki. Zresztą, jak powtarza Wendy O'Neal dziewczyna musi mieć w zanadrzu koło ratunkowe. „I kamizelkę, inaczej pójdzie na dno jak puszka z mielonką”. Dlatego Paloma chętnie chodziła na imprezy, Dionizego zaś sama zaprosiła jesienią do modnej Drukarni. Po drugim martini opowiedział jej o swoim małżeństwie, w kilku zdaniach streszczając ostatni rok.

- Straszne - szepnęła przejęta. Że też o niczym nie wiedziała. A niby tyle sobie opowiadają na służbowych

impreszach, poufale klepiąc się po ramionach.

- Byłoby gorzej, gdyby nie pomogła mi pewna Matka Polka. Zakręcona, ale skuteczna.

- A teraz?

Westchnął.

- Podobno udaje się przetrwać tchórzom - odparł wreszcie. - Ale to oni przegrywają życie. Ja straciłem już wystarczająco dużo.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu. Wreszcie Paloma poprosiła o rachunek. Nie było sensu przedłużać spotkania, skoro wszystko sobie wyjaśnili. Nie spotkali się już więcej poza firmą. Nie mieli powodu. Zresztą zaraz z Chorwacji przyleciał Norbert

i niemal w progu mieszkania poprosił Palomę o rękę.

- Daj mi tydzień - odparła, z uśmiechem Mony Lisy.

- Cały tydzień? - jęknął, teatralnie łapiąc się za serce.

- Muszę mieć pewność.

Pewność co do decyzji Norberta. Swoją przemyślała dawno temu. Ale on? Kto wie, co naprawdę myśli. Oświadczył się tak niespodziewanie. Dlatego musi mieć czas, żeby się upewnić. I docenić szczęście, które go spotyka. „Poproś o tydzień, potem wyłącz telefon i czekaj. Każdy dzień zwłoki podnosi twoją wartość, przynajmniej o jedenaście procent” - przekonywała Wendy O'Neal, na

dowód przytaczając anegdotkę z własnego życia. Otóż kiedy o jej rękę starał się Jonas, zamożny farmer z Oklahomy, spóźniła się z odpowiedzią całe dwa tygodnie! („Niewiarygodne, prawda, złotko? Ale dziewczyna musi być czasem twarda, jak afrykański diament”). Piątego dnia odwlekania mister Jonas dostał napędu. Na cztery koła! Najpierw zaprosił Wendy do kasyna w Las Vegas, potem obdarował wytworną bielizną i butami o wartości trzydziestu ośmiu tysięcy dolarów. Co wieczór jedli świeże ostrygi, deser z truskawkami oraz szampana. („Z Europy, złotko, a wiesz, ile to kosztuje, zwłaszcza w listopadzie, przed

promocjami”). Kiedy podarował Wendy prawdziwy brylant, wyszeptała „tak”. („Nie można przeciągać liny w nieskończoność, bo pęknie”). Pół roku po ślubie Wendy nakryła męża z meksykańską pomywaczką. Co zupełnie jej nie zmartwiło. Oprócz wysokich alimentów dostała na przeprosiny różowego cadillaca. A w kolejce do ołtarza czekał już nowy kandydat – mister Richardson, przemysłowiec z Teksasu. „Moje sekretne koło zapasowe”, pochwaliła się czytelniczkom Wendy, przechodząc do następnego rozdziału. Dlatego Paloma odwlekła odpowiedź o całe trzy doby (zyskując o jedną trzecią swojej wartości). Wreszcie powiedziała „tak” i poczuła

ogromną ulgę. Norbert wydawał się taki szczęśliwy. A teraz? Zapytała go o to ostatnio, kiedy surfował po telewizyjnych kanałach. Powoli odłożył pilot i głęboko odetchnął. A może to było westchnięcie?

- Jesteś? - ponowiła pytanie.

Powinien być. Przecież rozbił bank, zeniąc się z najlepszą partią w okolicy. To znaczy dziewczyną, lepiej brzmi. Wyjątkowa, efektowna, ciekawa, idealnie do niego pasuje. Ma to, o co walczył, nawet więcej. Czasem jednak wolałby to, czego nie ma.

- Szczęśliwy? Bez przerwy? Chyba bym tego nie zniósł - odparł pół żartem pół serio.

- Ale bywasz?

- Tu i tam.

Powinna go spytać, czy bardziej tu, czy tam, ale nagle straciła ochotę. Kto zadaje szczerze pytania, musi się liczyć ze szczerą odpowiedzią, powiadają Masajowie. A Paloma chyba nie jest gotowa. Zwłaszcza po wczorajszej rozmowie. Napomknęła Norbertowi, że podoba się trenerowi z klubu fitness.

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej - rzucił z łobuzerskim uśmiechem.

Niby komplement, ale Paloma poczuła się jak ciasto, które zawsze się udaje. Musi się udać, inaczej goście będą zawiedzeni.

- Nie jesteś zazdrosny? - wypaliła.

- Oczywiście, że jestem - zapewnił Norbert, patrząc jej prosto w oczy.

Oczywiście? Ktoś naprawdę zazdrosny zwykle zaprzecza albo kręci. Jeśli przyznaje wprost, to najpewniej tuż po warsztatach z komunikacji albo podczas terapii dla par. Ale przecież na żadnej (jeszcze) nie byli. Nie mogą się nawet wybrać na zasłużoną podróż poślubną. Choć powinni! Przecież Paloma tak bardzo się stara. Dziś, podczas obiadu ponowiła temat.

- Wiele osób chwali Portugalię - zaczęła, trochę zbyt ostrym tonem.

- Mają tam wspaniałe mozaiki, zwłaszcza... - umilkł usiłując przywołać nazwę miejscowości. Niestety, bez powodzenia. - I bociany w Faro.

Prawie tyle, co u nas. Za to trudno zdobyć wino półwytrawne. Ja w każdym razie nie trafiłem. No a hortensje. Wprost bajeczne, rosną w najdziwniejszych miejscach. Nawet w zaułkach ulic. Mam je gdzieś na zdjęciach. Możemy obejrzeć razem.

Przy okazji przypomni sobie... niemal wszystko, bo poza bocianami, kolorem hortensji i tandetną torbą Bonsai niczego już nie pamięta. To znaczy przechowuje całe mnóstwo wakacyjnych wspomnień. Z ostatnich dziesięciu lat. Cerkwie, meczety, synagogi, imponujące rafy koralowe i złociste plaże. Nie umie tylko przypasować obrazka do odpowiedniego napisu. Uświadomił sobie nagle, że

jego pamięć przypomina garderobę pełną markowych ubrań. Modnych, świetnie odszytych, ale tak do siebie podobnych, że trudno rozpoznać, kto je zaprojektował. Może dlatego tak dobrze pamięta przydworcowe bary. Na przykład ten w Jeleniej Górze, z szafą grającą naprzeciw wejścia. I kawą „po turecku” podawaną w szklankach z plastikowym koszyczkiem. Ale przecież nie mogą ruszyć w podróż poślubną po najbardziej obciachowych barach prowincjonalnej Polski. Może w firmie zrobiłoby to wrażenie; przechwalanie się Seszalami wychodzi z mody. Niestety Paloma jest przyzwyczajona do pewnego poziomu. Zresztą tu chodzi przede wszystkim

o niego. Pora wyrosnąć z dziecinnych zabaw.

- Slajdy? Nie lepiej obejrzeć na żywo?

- Jest to myśl - odparł wreszcie. - Tylko, że tam ciągle wieje. I o tej porze na pewno nie popływamy. Chyba, że wolisz pozwiedzać.

Wolałaby, żeby wreszcie ustalili konkrety. Biuro podróży (nigdy nie podróżują sami), miejscowość, hotel i datę. A lecieć mogą nawet jesienią. Powinnaś strzelić focha, poradziłaby jej Margo (gdyby wiedziała). Ale zdaniem Palomy na manipulację jest ciut za wcześnie. Poczekaj przynajmniej do zakończenia miodowego miesiąca. Czyli cztery dni, tak szybko

zleciało. Najgorsze, że Norbert znowu przegląda stare albumy. Wczoraj nad ranem zastała męża, jak siedział wpatrzony w wakacyjne zdjęcie. Pięć minut, dziesięć? Ileż można, sierzdziła się Paloma, zerkając na swój złoty zegarek. Po kwadransie nie wytrzymała.

- Długo jeszcze?

- Chcę to wreszcie uporządkować - odparł, nawet nie odwracając wzroku.

- W tym tempie zejda ci lata - rzuciła żartobliwym tonem, choć nie było jej do śmiechu.

Kiedy Norbert wyjechał już do Horyńca, Paloma wyjęła album i uważnie się przyjrzała fotografii. Dwa (bezdome?) psy biegające po

kamienistej plaży. Trzeba przyznać, że znakomicie skadrowane. Od razu poznać wprawne oko, pewną rękę i pierwszorzędnny obiektyw.

Ale czy warto poświęcać jednej fotce cały kwadrans?

*

- Jak opowiemy w biurze, że przetańczyliśmy razem pół nocy na disco dla les, będzie zdziwara - cieszyła się Margo, bijąc brawo, nie wiadomo, komu i dlaczego.

Paloma po raz pierwszy pożałowała, że idą razem. A przecież to ona zaprosiła Margo do Laff. To znaczy nie musiała zapraszać. Margo sama się zapaliła, przeczytawszy na

sieci, że Laff to bardzo modny klub. Idziemy w tę sobotę, oznajmiła. Teraz jednak po uwadze o biurze, Paloma poczuła irytację. Nie chodzi wcale o brak tolerancji; w jej środowisku jest on nie do pomyślenia. Zdarzają się wprawdzie głupie żarciki i komuś się wyrwie: „Taki fajny aktor i gej? Co za strata”. Szybko jednak dorzuci: „nie żebym coś do nich miał”. Wręcz przeciwnie. Parę dziewczyn (z biura reklamy) chwali się nawet, że ma homokumpla. To teraz bardziej modne niż noszenie chihuahua w różowej torebce. Każda tolerancja ma jednak granice. Co innego głosić otwartość, wyśmiewając moher otulający siwe głowy emerytek. Co innego wybrać się

z jedną koleżanką na pląsy do klubu dla lesbijek. Uszłoby jeszcze, gdyby obie były graficzkami. Artystom zawsze wybacza się drobne ekstrawagancje. Ale nie księgowej! Nawet tak kreatywnej jak Paloma.

- Nie wiem, czy warto się przechwalać - usiłowała zgasić zapal Margo.
- Jeszcze wyjdziemy na prząsne lale, które podniecają się byle bzdurą.

Słowo „prząsny” odniosło natychmiastowy skutek. Margo mogła być skandalistką, mega krejzolką, ale nie prząsną lalą! Nie w butach od Prady! Natychmiast przestała klaskać i skupiła się na schodzeniu po stromych piwnicznych schodkach, stawiając bokiem stopy.

- Niepotrzebnie wkładałyśmy takie wysokie obcasy - zauważyła Paloma, sunąc tuż za koleżanką.

Zupełnie niepotrzebnie, powtórzyła już na dole, rozglądając się po zadymionej sali. Na parkiecie nie było ani jednej osoby w szpilkach. Nawet najbardziej kobiece kobietki nosiły płaskie baleriny. Ewentualnie koturny. Większość miała na nogach zwykłe trampki. Do tego proste dżinsy, podkoszulek (często wzorowany na męskiej bokserce), i włosy obcięte na rekruta.

- Już wiem, gdzie się schowali wszyscy prawdziwi mężczyźni. Zeszli do podziemi - podsumowała Margo.

Palomę uderzyło co innego. Brak ozdób (nie licząc kolczyków na skrzydełku nosa lub w brwi) i tych wszystkich dodatków, które się składają na specyficzny klubowy szyk. Czyli: ogromna biżuteria, efektowne gorsety, wylakierowane blond loki, pierze w kolorze pink, winyl opinający pośladki, tipsy szpiczaste jak u pin up girls, ostry makijaż i sztuczna opalenizna. Tego tu nie było. Najwyraźniej styl Dody nie cieszy się w Laff powodzeniem, usiłowała zażartować. Ale nagle poczuła się jak obsypana brokatem karnawałowa maska wśród... wśród żywych ludzi. Porównanie sprawiło jej taką przykrość, że chętnie wyszłaby na zewnątrz,

w spokoju poobserwować własne emocje jak radził Jim Mo Fan Be. Kiedy coś cię uwiera, usiądź, namawiał mistrz, przymknij oczy, ustaw palce dłoni w mudrze ziemi i przyjrzyj się własnemu wnętrzu. Niech ośrodek serca zbliży się do ośrodka rozumu. Z pokorą obserwuj przepływ myśli, emocji, wrażeń. Kiedy zlokalizujesz cierń, obejrzyj go dokładnie z każdej strony. Ale bez napinania, bez stresu, można by rzec bez emocji. Przepływaj dookoła ciernia, w ciszy i spokoju. Obserwuj swój ból, zaakceptuj go, pokochaj. Wtedy zniknie.

Niestety Paloma nie może sobie pozwolić na oddalenie. Wyszłaby na tchórza. A przecież z pewnością jest

odważna, o czym świadczy choćby kolejna wyprawa do klubu dla zorientowanych inaczej. Odłożyła więc spotkanie z cierniem na ściśle nieokreślone potem, by skupić się na realizacji zadania. Przede wszystkim trzeba namierzyć Brzytwę. Nie musiała długo się rozglądać. Nieomal naprzeciwko niej w objęciach aniołkowatej blondyneczki przeginała się blada brunetka z ulem na głowie. Możliwe że wypełnionym rajstopami. Jedyna osoba z tak efektowną konstrukcją na głowie i wyjątkowym makiżem, a jednak, o dziwo, nie odstaje od reszty. I nie jest taka brzydka, jak przekonywał Fiotroń. Co od razu zauważyła Margo.

- Wyobrażałam sobie małpiszona.
A laska daje radę.

Gdyby nie dudniąca muzyka, Paloma chętnie by wyjaśniła koleżance, że Fiotroń porównując Brzytwę do bonobo, miał na myśli raczej styl życia.

- Oryginalna - przyznała po prostu.

Nieco kanciasta, zwłaszcza nogi, żałośnie chude o zbyt dużych kolanach w stosunku do całej reszty. Palomie przyszedł na myśl rozbrykany kudłaty źrebak. Z ulem na głowie.

- Daje radę - powtórzyła Margo.

- Owszem.

To typ, który podoba się bardziej dziewczynom, niż ich partnerom. Oczywiście dopóki któryś z nich nie zapala nagłym uczuciem. Wtedy

rozlegają się oburzone wrzaski: „Jak mogłeś mnie zamienić na taką wywłokę!?” Ale to takie pospolite, skrzywiła się Paloma.

- Gdyby tylko trochę się postarała - ciągnęła Margo.

- Takie jak ona mają gdzieś starania. Siadają byle jak i łożą w czym popadnie.

- Dopóki któraś nie trafi na zachwyconego Calvina Kleina. Ląduje w nowej reklamie ekstra dzinsów i nawet wtedy powtarza, że jej nie zależało. No jasne!

Przez chwilę obserwowały Brzytwę w milczeniu.

- Co robimy? - Margo przerwała rozmyślenia.

Najprościej byłoby podejść, przedstawić się i poprosić o pomoc. Najprościej i najtrudniej zarazem. Paloma wybrała opcję lajt.

- Potańczymy blisko niej i rzucimy okiem - oznajmiła wreszcie, nie precyzując dokładnego kierunku „rzucania”.

Dopiły piwo, potem następne i pełne dobrej energii weszły na środek parkietu. Margo odstawiła swój znakomity taniec robota, Paloma usiłowała zaprezentować salsę, której uczyła się zeszłej jesieni. Co chwilę przy tym zerkiała w stronę Brzytwy, przyciągając uwagę jej blond partnerki. Kiedy wreszcie Brzytwa odwróciła głowę, Paloma posłała w jej stronę

uśmiech. Tyle na początek, zdążyła pomyśleć, zanim ogłuszył ją silny cios w brodę. Kwadrans później ocknęła się na progu kamienicy. Kwadrans, a może dwie godziny, kto wie.

- No nareszcie - ucieszyła się Margo. To znaczy ktoś obdarzony jej zmysłowym głosem, bo twarz i sylwetkę Paloma widziała jak przez gęstą nowohucką mgłę.

- Co się stało? - spytała po długiej chwili, ostrożnie obmacując spuchnięte czoło. - Czemu jestem mokra?

- Polałyśmy cię zimną wodą - wyjaśniła Margo. - Choć koleżanka optowała za sztucznym oddychaniem.

- To moja wina - jęknął ktoś anielskim głósikiem. - Moja i tylko moja. Już nigdy nie będę...

- Obiecywałaś, że już nigdy pół roku temu - przypomniał ktoś inny. Sądząc po głosie wielbicielka papierosów bez filtra. Chyba, że Nina Simone wstała z martwych i spędza sobie weekend na Kazimierzu. - Pół roku temu.

- Przepraszam! - zapiszczała sprawczyni całego zamieszania.

- Nie możesz bić każdego, Aniela, kto się do mnie uśmiechnie.

- Samo mi się wymyśliło.

- Nie jesteśmy nawet parą - ciągnęła Nina Simone.

- Ale będziemy! - przekonywał aniołek. - Zrobię wszystko, co tylko zechcesz...

- Na początek popracuj nad agresją.

Paloma mrugając oczami usiłowała rozpoznać bohaterki zdarzenia. Po prawej Margo. Tuż obok - rozmazana autorka śliwy na jej czole. A po lewej Nina, czyli Brzytwa. Tak podejrzewała.

- Powinnaś śpiewać bluesa.

- Nie przepadam za słowem „powinnaś” - odparła Brzytwa. - Ale OK, przemyślę sprawę, jak mi się znudzi dotychczasowe zajęcie.

- Potrzebuję pomocy.

- Wezwę pogotowie! - zaofiarowała się natychmiast blondynka, bardzo skruszona.

- Nie takiej. Potrzebuję pomocy od ciebie - wskazała dłonią Brzytwę, okraszając prośbę motywacyjnym wabikiem - jesteś podobno najlepsza w mieście.

- Niektórzy nazywają to serią fortunnych zdarzeń - wyjaśniła Brzytwa, znudzonym głosem. - Albo niefortunnych, jak kto woli. Poza tym w czwartek wyjeżdżam.

- Mogę dużo zapłacić - kusiała dalej Paloma. - Cena nie gra roli.

- A waluta?

Paloma spuściła głowę. Fiotroń wspomniał jej co nieco o warunkach,

ale wolałaby nie wychodzić przed orkiestrę. Nikt nie lubi przepłacać, nawet jeśli ma pełne konto.

- No dobra. - Brzytwa zmiękła. -
Dziewczyny zostawicie nas na chwilkę?

- Znowu będziesz się całować -
zdenerwowała się Anielka.

- Nie całuję się z klientami, dobrze wiesz. Zaraz do was dołączymy. Chwila moment.

Przeszły w stronę fontanny. Usiadły na kamiennym brzeżku.

- Powiesz mi, co się stało?

- Dostałam na weselu pustą koperkę. To znaczy z wycinkami z gazet.

- Przyjrzałaś im się?

- Nic szczególnego. Ktoś wziął przypadkowy brukowiec i wyciął z niego prostokąty wielkości banknotu.

- Ile straciłaś?

- Dziewięćset - wyszeptała Paloma, zawstydzona. Mogłaby dodać, że nie chodzi o pieniądze, a o zasady. Tylko po co? Tłumaczą się winni. - Od tego czasu mój mąż nie może spać.

- Z powodu dziewięciu stów.

Nie zabrzmiało to jak pytanie, pomyślała Paloma. Raczej jak komentarz. Ale bardzo możliwe, że jest przewrażliwiona. Po tym, co się dziś stało, ma pełne prawo.

- Nie wiem, z jakiego powodu - odparła powoli. - Stąd moja prośba.

- Czego oczekujesz?

- Prawdy.

- Nie wystarczy porozmawiać z mężem?

- Skąd ma wiedzieć, kto nam dał...

- Paloma nagle zrozumiała. - Rozmawiałam. Bardzo dużo rozmawiamy. Ale on twierdzi, że coś mi się ubzdurało. Bo z jego snem jest wszystko w porządku.

- Nie ma pojęcia, że nie śpi?

- Otóż to! Leży na wznak z otwartymi oczami, ale kiedy go wołam, nie reaguje. Zupełnie.

- Może lepiej iść do specjalisty od zaburzeń snu. Albo do psychiatry.

- To nie jest śmieszne - zirytowała się Paloma. - Zawsze świetnie się dogadywaliśmy. Ale od czasu otwarcia

tej cholernej koperty zupełnie się mijamy. Wszystko jest nie tak! - wybuchła. - Choć pozornie nic się nie zmieniło.

- Ile to już trwa?

- Prawie cztery tygodnie. Kończy nam się miesiąc miodowy, a my nadal nie pojechaliśmy w podróż poślubną.

Paloma była pewna, że Brzytwa skwituje jej skargę jakąś złośliwością, ale nie. Rozmyślała nad czymś, wiążąc sobie tenisówki.

- Znasz zasady? - odezwała się nagle.

- Wiem, że trzeba wpłacić na konie z transportów i spędzić z tobą cały tydzień.

Już wzięłam urlop, osiem dni aż do następnej środy, miała dodać. Po namyśle zrezygnowała. Możliwe, że los lubi takie wskazówki, ale Brzytwa niekoniecznie. Może się spłoszyć, a to w obecnej sytuacji niewskazane.

- Tydzień, czasami dłużej. Ale wasza sprawa wydaje się dosyć łatwa. Możliwe, że zdążę do czwartku. - Wstała. - Muszę tylko sprawdzić parę szczegółów. Co robisz jutro w samo południe?

- To zależy... - wahała się Paloma.

- Więc przyjdź na Grodzką, pod sklep Cruelty Products. Postoimy, pogadamy i się zobaczy. Teraz wracam na parkiet. Pa!

- Pikieta? - zdziwiła się Margo.

- Przeciw futrom.

- A kto to jeszcze nosi?

Samozwańcze stylistki z Ptysiowa?

- Ja na pewno nie. - Paloma aż się wzdrygnęła. Większym obrzydzeniem napawają ją tylko przepocone peruki z komisów na Podgórzu. I stylonowe halki jej babci Dusi, które matka trzyma w komodzie na pamiątkę.

- Musisz od razu protestować?

Paloma cicho westchnęła. Nie, żeby miała coś przeciwko podobnym manifestacjom. Rozumie argumenty ekologów. A po lekturze książki Paula La Tane, *W zgodzie ze światem* sama

zaczęła dbać o środowisko. Dowiedziała się bowiem, że wszystko, co czynimy Ziemi, wraca do nas, zwielokrotnione. Jeśli uszanujemy inne istoty, one uszanują nas, twierdził Paul, na dowód przytaczając wyniki badań. Osoby wspierające przyrodę są rzadziej atakowane przez bakterie, a nawet wirusy. Jakby natura wysyłała subtelne sygnały: „Tych nie krzywdzimy, są w porządku”. Dlatego Paloma nigdy (to znaczy od dwóch lat) nie zabija pajaków. Wypuszcza na wolność każdą zabłąkaną pszczołę lub osę. Wobec komarów okazuje nieco mniej zrozumienia, tłumacząc sobie działania obroną konieczną. Umie się też zachwycić pięknym widokiem podczas

obowiązkowych wypadów na narty (zachwyty jest ważny – zdaniem Horsta Schwartzera utrwala wspomnienia). W mieście Paloma zatrzymuje się na chwilę, by podziwiać kwitnące kasztany. Realizuje przy tym zalecenia mistrza Jima Mo Fan Be („ceń chwilę, są jak przyprawy, które nadają dniu wyrazisty smak”). Potrafi się cieszyć żółknącymi liśćmi brzoź albo wiosennym deszczem. Dla porównania Margo rozpoznaje zmiany pór roku po okładkach ulubionych pism kobiecych. Znowu wiosna, oznajmia, patrząc na zdjęcie modelki w zieleni. Więc Paloma naprawdę ceni naturę. Ale czy musi to publicznie manifestować?

- Może być ciekawie - wtrąciła po chwili. Nie po to, żeby namówić Margo. Raczej przekonać samą siebie, że warto mimo wszystko.

- Nawet bym poszła, ale - Margo przygryzła usta - już się umówiłam, na obiad do Młynka.

I nie mogę odwołać. Więc musisz, Laska, iść sama.

*

Cóż zrobić. Nawet wieszcz, choć szalony, przepowiedział, że będzie bolało. Paloma potraktuje całą przygodę z dystansem. Odegra swoją rolę, jak na służbowej kolacji, postanowiła, zatrzymując się przy Placu Wszystkich Świętych. Bez entuzjazmu, ale

solidnie, w zamian egzekwując od Brzytwy to, na czym jej zależy. Jak na służbowej kolacji, powtórzyła, zerkając w prawo. Stoją, ustawieni w rządęk, z transparentami w dłoniach i jednym lichym megafonem. Na filmach wygląda to bardziej imponująco, stwierdziła rozczarowana. Czy na pewno chce wziąć udział w czymś równie skromnym? Paloma bardzo docenia minimalizm, ale od demonstracji oczekuje rozmachu, dramatyzmu, nawet efektów specjalnych. Tymczasem ci tutaj, no cóż... Gdyby nie transparenty, można by ich wziąć za licealistów szykujących uliczne jasełka. Czy dla Palomy jest miejsce w tak biednej szopce? I kogo mogłaby odegrać?

Baranka? A gdyby tak się wycofać, zastanawiała się nerwowo. Może to jest ten właściwy moment, żeby zrobić krok w tył? Nie, jeszcze może, w każdej chwili. Czy na pewno? Nagle Paloma dostrzegła, że ktoś do niej macha. Brzytwa. Więc przesądzone, wyszeptała, lekkim krokiem podbiegając do grupy.

- Mogę dołączyć? - spytała, jakby nigdy nic, i odczekawszy kilka sekund wyjawiała z nieśmiałością - jestem tu pierwszy raz. Więc trochę się denerwuję.

Mówić o emocjach. Dzielić się nimi z nową grupą, to bardzo ważne. Jak powiada profesor Miriam Barbitelli, specjalistka od procesów grupowych,

takie informacje pozwalają szybciej nawiązać nić porozumienia. Chronią przed atakiem nieznajomych, ułatwiając asymilację.

- Tylko trochę? - zażartował jej sąsiad, szczupły blondyn o sarnich oczach. - Chcesz koszulkę?

Przytaknęła, założyła t-shirt na modną kurteczkę. Potem ustawiła się w szeregu, chowając się za transparentem Brzytwy. Kiedy człowiek bierze udział w ogromnej manifestacji, może bezpiecznie skryć się tłumie, ale kiedy stoi wśród trzydziestu rozkrzyczanych dzieciaków, czuje się jak nabity na widelec. No tak, powtórzyła pod nosem, dzieciaków. Jest tu chyba najstarsza. A gdzie jej rówieśnicy?

I nagle zrozumiała: nikt ich nie nauczył protestowania. Poprzednią epokę pamiętali jak zły sen pięciolatka. Znikł, zanim się na dobre rozbudzili. Niedługo po ich Komunii padł system, zaczęło się budowanie nowego świata. Na pikietę nie było czasu. Każdy walczył o swój kawał świeżo pieczonej pizzy (pierogami wtedy gardzono). I wywalczył, nie ma zatem powodu do buntu. Zresztą chyba już za późno; pojawili się nowi młodzi gniewni. Jej pokoleniu pozostaje konsumpcja pizzy. Albo sushi. Czasem dołączają do Manify, ale raczej dla lansu. To teraz takie modne... Paloma poczuła się jak człowiek, który nie zdążył na pociąg, bo biegł

w niewłaściwym kierunku. Ale nie będzie się obwiniać, postanowiła, przełknąwszy ślinę. Nie miała przecież wyjścia. Jest tylko dzieckiem swojej epoki. Ci tutaj, ciągnęła, gdyby urodzili się dziesięć lat wcześniej, nie staliby w pikiecie, tylko zamawiali na Rynku coś wykwintnego. Do trzystu kalorii. Niemal poczuła ulgę. Niemal. W tej samej chwili do jej grupy podszedł zabany czterdziestolatek.

- Protestujecie przeciw futrom? - zaczął przyjaźnie. Przytaknęli. - A buty to niby z czego macie, frajerzy?

- Nie nosimy skór, nie jemy mięsa - odparła drobna szatynka.

No akurat Paloma jada. Rzadko, bo jej nie służy i na ogół delikatne

wędliny z indyka. Po filmiku o hodowli cieląt, który obejrzała (całkiem niechęć) na you tube, zrezygnowała z kupna surowego mięsa. Za bardzo się kojarzyło. Co do butów, dobrze, że dziś założyła botki z ekozamszu wyszukane na wakacjach w mediolańskim butik. Ma się to wyczucie sytuacji.

- Niewiniątka idźcie lepiej ratować, oszołomy - poradziła im korpulentna blondyna w srebrzystym kostiumiku, z pieścem w roli kołnierza. - Pod klinikę aborcyjną, a nie tu, na eleganckiej ulicy straszycie.

- Ale my nie wiemy, gdzie to jest - odezwało się kilka dziewczyn.

- Nie wiecie? - prychnęła blondyna.

- Ja wiem, a wy nie wiecie?

Paloma również wie. Zna adresy trzech najlepszych gabinetów w mieście. Choć na razie nie musiała korzystać. Ale warto sprawdzić wcześniej. Kiedy piłka wpada do siatki, nie ma czasu na porównywanie ofert. Trzeba działać. Oczywiście tę wiedzę zachowa tylko dla siebie, jak tysiące polskich kobiet. Może poza blondyną.

- Akurat nie wiedzą - wsparł kobietę poirytowany facio, z gatunku poszukiwaczy złych emocji. Wystarczy bzdura, żeby dostali piany. - Dobrze wiedzą, obszarpańce jedne.

- I obiboki - podchwycił jego kolega. Albo klon. - Wy się lepiej za

robotę weźcie, a nie takie stanie w banie urządzacie.

- Dziś jest niedziela - przypomnieli protestujący.

- Psów bronią, lisów, nawet świń - ciągnęła blondyna, podbudowana wsparciem prawdziwych mężczyzn. - A po co je niby stworzono, hę? Po co się Pan Bóg tak namęczył?

Paloma chciała wyjaśnić, że tego typu myślenie magiczne charakteryzowało społeczności zbierackie jakieś sto tysięcy lat temu, ale zanim udało jej się dobrać odpowiednie słowa, do konwersacji przyłączyła się Brzytwa.

- A męczył się? Naprawdę? - dopytywała zdumiona. - To ja nic nie

wiedziałam. Nic mi na religii nie mówili.

- Idź ty, łachudro jedna! - bluzgnęła blondyna. W tej samej chwili tuż za nią wyrósł dorodny policjant.

- W czym problem, obywatelko? - zapytał, gładząc ogromną pałkę.

- Bo stoją i obrażają uczucia...

- Na razie to pani obraża - zauważył policjant. - Za co grozi mandacik.

Wobec takiego argumentu blondyna nie miała wyjścia, zwłaszcza że wspierający ją mężczyźni dali nogę minutę wcześniej.

- Idź stąd, Beret - syknęła do policjanta Brzytwa. - Znowu robisz mi siarę.

- Porządek musi być - odparł, odchodząc w stronę policyjnego auta.
- Jakby co, czekam na sygnały.

Tymczasem tuż obok przepłynęła dama. Na widok zdjęć przedstawiających produkty uboczne z jej puszystego kołnierza, odwróciła skrzywioną twarz. W trosce o samopoczucie damy, jej mąż, elegancki pan w kapeluszu i wiosennym płaszczu zalecił marsz. Więc przyśpieszyli. Pan zdążył jednak omieść Palomę wzrokiem konesera. Posłała mu przyjazny uśmiech, w odpowiedzi popukał się w czoło. Potem wejda z małżonką do Hawełki, sierdziła się Paloma, spożyją wykwintną pieczeń, wysączą po kieliszku czerwonego wina. I będą mieć bardzo

dobry nastrój przez cały wieczór. A ona? Jak się będzie czuła? Nie zdążyła się zastanowić, bo ze sklepu Cruelty wypadła naindyczona brunetka i roztrącając pikietujących torbami z logo firmy zaczęła się przeciskać wzdłuż kamienic.

- Jakby nie mogła przejść ulicą - skomentował ktoś z boku.

- Mogę, ale mi się nie chce! Zejdź mi z drogi! - warknęła, taranując Palomę.

- Pani mnie trąca! - oburzyła się Paloma.

- Bo stoisz mi na drodze, gówniario. Wystarczy?

- Czemu pani mówi do mnie na ty?

- Bo tak! I srak! I won mi!

- Argumentacja godna damy - rzuciła za nią Paloma, trochę zbyt piskliwym głosem.

Nagle poczuła się... po prostu super. Nie tylko dlatego, że ktoś wziął ją za gówniarę. Bezpośrednia konfrontacja bywa bardzo przyjemna, stwierdziła. Latem koniecznie się zapisze na kurs szermierki. Albo capoeiry. Coś na czasie, przecież jest dzieckiem swojej epoki, powtórzyła, natychmiast markotniejąc.

*

Trzy godziny później wracały z Brzytwą Plantami. Tuż obok maszerował policjant.

- Nie przejmuj się nim - poradziła Brzytwa. - To Beret, mój sąsiad. I nadgorliwy anioł stróż.

- Zaraz tam nadgorliwy - zaprotestował anioł stróż. - Po prostu znam swoje obowiązki. A tak w ogóle miło poznać.

Sympatyczny, oceniła Paloma, podając Beretowi dłoń. I bardziej opiekuńczy niż jakikolwiek anioł. Ale Brzytwie najwyraźniej to nie wystarcza, bo ogania się od gościa jak od komara.

- Jedną imprezę byś mi odpuścił.

- Odpuściłem - przypomniał, spokojnym głosem. - Jak nie pamiętasz, popatrz w lustro.

Paloma natychmiast zerknęła na twarz Brzytwy. Ach tak, blizna. Całkiem spora. Ciekawe od czego? Paloma chętnie by zapytała. Ale czy to wypada?

- Musiało długo się goić - zaczęła ostrożnie, dając Brzytwie szansę na rozwinięcie tematu.

- Ponad trzy miesiące - zdradził Beret.

- Na szczęście żyję i działam - ucięła Brzytwa, nieudolnie usiłując przysłonić czoło kosmykiem włosów.

Dopiero wtedy Paloma dostrzegła jej dłoń. Dziwnie przykurczone palce, jakby trzymała w nich niewidoczną brzoskwinię. Albo jabłuszko. Czy to też pamiątka z imprezy? Jeśli tak, można

w pełni zrozumieć obawy Bereta. I jego troskę. Czy Norbert też by tak zareagował, gdyby Paloma chciała się zaangażować w coś ryzykownego? Najpierw uznałby to za żart, uświadomiła sobie, z pewną przykrością. A potem?

- Jak wrażenia z pikiety? - Brzytwa przerwała jej rozważania.

- Myślałam, że poleje się krew. Znaczący czerwona farba. A wy byliście tacy grzeczni.

Za grzeczni, jak by powiedział jej dziadek. „Ludzie rzadko mają serce na swoim miejscu”, lubił powtarzać rozsierzony (po emisji programu interwencyjnego). „Większość chowa je w portfelu albo w dupie. Dlatego trzeba umieć tam trafić. A nie tylko

empatia i empatia. Za moich czasów tego nie było. Był za to ład i porządek”.

- Farba? Nie ma to jak wiedza z telewizji - skwitowała Brzytwa. - Ale mojej eleganckiej siostrze wystarcza. Ciągłe powtarza, że nigdzie nie musi się włóczyć, w telewizorze ma wszystko. Doprawione i w odpowiedniej temperaturze. A poza tym jak się czułaś? - wróciła do tematu.

- Długo by opowiadać.

- Mamy czas. Beret, zwiększ dystans, chcemy pogadać.

Paloma odczekała sporą chwilę, zastanawiając się od czego zacząć.

- Nurtuje mnie - odezwała się wreszcie - dlaczego sprzedawczynie

tak zaciekle bronią interesów firmy. Nie widzą, że są częścią systemu, niemal jak lisy?

- Lisy nie dostają stałej pensji i żyją w znacznie mniejszych klatkach - wtrąciła Brzytwa. - Metr na dwa, wysokość osiemdziesiąt centymetrów. Hodowcy uważają, że to komfortowe warunki.

- A kiedy przestaną być potrzebne - ciągnęła Paloma, próbując n i e wyobrazić sobie lisiej klatki - właściciel sklepu wymieni je jak starą kolekcję. Bez mrugnięcia okiem. Więc skąd gotowość, by go bronić?

- Znalazły się po drugiej stronie barykady. Czasem tyle wystarczy.

- Tak niewiele? - zmartwiła się Paloma.

- Zdarzają się wyjątki. Mogłabym je wyliczyć, ale wolę się dowiedzieć, co ty czułaś, biorąc udział w manifestacji?

- Najgorsze były zdjęcia. Niby wiadomo, że futerka nie rosną na drzewach, ale... na co dzień człowiek o tym nie myśli.

Umilkła, wyobrażając sobie reakcję dziadka. „Bezmyślność”, tak by skwitował jej słowa. Oczywiście Paloma musiałaby ich użyć w całkiem innym kontekście. Na przykład rachunek sumienia. Albo oliwienie zawiasów. „Bezmyślność do kwadratu!” warknęłyby, uderzając lewą pięścią

w rozwartą prawą dłoń, jak w ścianę. Zdenerwowana wtuliła głowę w ramiona. Jakim ciężarem bywa ludzka pamięć.

- Wierz mi, ja też bym nie chciała o tym myśleć.

- I rozdawanie ulotek - Paloma natychmiast wróciła do tematu. Nie zniesie, żeby ktokolwiek ją pocieszał. Zwłaszcza Brzytwa. - Okropne zajęcie.

Zwłaszcza na początku, kiedy człowiek przejmuje się każdą odmową. „Nie chcę”, „Spadaj” czy po prostu „NIE!!!”. Ale potem zaczyna rozróżniać, do kogo można podejść, a kogo lepiej omijać szerokim łukiem. Odzyskuje też dystans.

- Wreszcie przestajesz osobiście traktować wszystkie te upokarzające odzywki. I da się wytrzymać. Ale powiem ci, że teraz będę inaczej traktowała ludzi rozdających ulotki. Wcześniej odmawiałam przyjmowania. W trosce o środowisko - dodała zaraz.

- Pilna z ciebie uczennica.

Komplement czy niekoniecznie? Paeloma mogłaby poprosić o wyjaśnienie, ale uświadomiła sobie, że to bez znaczenia. Zresztą nie po to zatrudniła Brzytwę, żeby wysłuchiwać opinii na swój temat. Nie po to.

- Co robimy z tak pięknie rozpoczętą niedzielą? - odezwała się Brzytwa, kiedy już pozbyły się Bereta.

- Jestem otwarta na sugestie.

- A jeśli zaproponuję, żebyśmy siedziały nad Wisłą i gapiły się na kaczki?

- Bardzo lubię kaczki, nawet jeśli ostatnio mają nie najlepszy PR.

- Jesteś pierwszą osobą, która nie domaga się planów - zdziwiła się Brzytwa.

- Serio?

- Poprzedni klienci oczekiwali, że skoro każę im rezerwować kilka dni, dobrze wiem, co będziemy robić.

- Przecież nie jesteś wróżką.

Nie jest, ale może wszystko naprawić. Albo zepsuć do końca.

- Myślą, że przedstawię im grafik. Niestety ostatni wyrzuciłam ze starymi zeszytami z PO.

- A jak planujesz sobie dni?

- Nie planuję. Mijają same, o tak! -

Brzytwa pstryknęła palcami.

- Wtedy nie masz kontroli.

- A ty masz? - spytała Brzytwa, rozbawiona. - Naprawdę?

Pogratulować.

Paloma ma poczucie kontroli, to znaczy miewa. Ostatnio nieco rzadziej, niżby chciała. Ale cały czas pracuje nad poprawą.

- Dlatego tu jestem - przypomniała.

- I chciałabym wreszcie ustalić szczegóły kontraktu.

- Kontraktu? - Brzytwa wytrzeszczyła oczyska. - Pracuję wyłącznie na czarno. Niestety nie

będziesz mogła sobie niczego odliczyć od podatku. Wstrząśnięta?

- Ale nie zmieszana - odparowała Paloma. - Czyli żadnych umów?

- Wyłącznie gentlemańska. Bez obaw, wiem, co to znaczy.

- Miałam na myśli brak papierków.

- Żadnych śladów - potwierdziła Brzytwa. - Klienci bardzo to sobie cenią, zwłaszcza kiedy zamkną sprawę. Ty też będziesz, wierz mi.

- A słynne zasady, które narzucasz każdemu?

- Ach, zasady. - Brzytwa zrobiła minę: „to takie nudne”. - Zdradzę ci sekret: robię to wyłącznie dla klientów.

- Każąc im rezerwować tydzień albo dwa? Przecież wielu z nich nie zdołało wskrobać paru wolnych dni na krótkie wakacje!

- No właśnie - uśmiechnęła się Brzytwa. - Poza tym ja też oddaję tydzień swojego życia. Pomyślałaś o tym?

Paloma spuściła głowę.

- Jak brzmi trzecia zasada? - spytała wreszcie. Dionizy wspomniał jej tylko o dwóch. A i to bardzo zdawkowo.

- „Podaj kod dostępu następnej osobie w potrzebie”. O ile uznasz, że moja pomoc jest coś warta. Ty dokonujesz wyboru ścieżki i klienta. Całkiem sporo, prawda?

- Po co to robisz? - odezwała się Paloma po chwili. - Dla koni?

- Zdziwiłabyś się, jak niewiele oznacza w praktyce określenie „dowolna suma”. Choć zdarzyły się dwa, bardzo chlubne wyjątki.

- Odmawiasz komuś?

- Myśliwym. Żeby sobie pomóc, muszą najpierw przestać strzelać do zwierząt.

- A mnie pomożesz?

- Przede wszystkim muszę wiedzieć, czego ode mnie chcesz. Bo chyba nie rozwikłania tajemnicy, kto was rąbnął na dziewięć stówek.

Byłoby miło, pomyślała Paloma, ale znacznie ważniejsze jest, żeby w ich związku było wreszcie jak należy.

- Muszę dotrzeć do prawdy o moim małżeństwie i potrzebuję przewodnika.

- Mam robić za owczarka niemieckiego? - zaśmiała się Brzytwa.

- Raczej za szerpę.

- W tej podróży każdy dźwiga swój bagaż sam.

- Zgoda - Paloma odparła natychmiast. - Jestem przygotowana.

- A jeśli zdarzą się przykre niespodzianki?

Paloma umilkła, odruchowo zerkając na swoją dłoń.

Taka mała plamka. Znalazła ją niedawno, tuż po kąpieli. Brązowawe maleńkie kóleczko na grzbiecie prawej dłoni. Niby nic, a jednak Paloma

poczuła zaskoczenie. I złość; oczekiwała, że pierwsze „pocątki czasu”, jak nazywała plamy babcia Dusia, pojawią się znacznie później. Za dziesięć lat, może piętnaście. Przykra niespodzianka. Trzeba to usunąć, postanowiła, przecierając obie dłonie kwasem migdałowym (produkt gabinetowy, stężenie 40%). Plamka nie znikła. Co teraz? zastanawiała się Paloma, biorąc z przepony głęboki oddech, którego nauczono ją na warsztatach relaksacyjnych. Spróbuję innych metod, ale możliwe że żadna nie poskutkuje. Co wtedy? „Mam na to zgodę”, zdecydowała nagle i dla potwierdzenia wypowiedzianych szeptem słów obdarzyła samą siebie

uśmiechem. Szerokim i leniwym. Zgadzałam się na to, co nieuniknione, oznajmiła, patrząc w lustro. Na każdą plamkę, zmarszczkę, rozstęp. Nadadzą mojemu życiu jeszcze większą wartość, powtarzała, pieszczotliwie głaszcząc prawą dłoń. Wieczorem ogarnął ją lekki niepokój. Przypomniała sobie słowa matki. Pierwsze znaki czasu oburzają, są jednak niczym w porównaniu z następnymi. A będzie coraz gorzej. Zdenerwowana sięgnęła po swój ulubiony Największy cud autorstwa Janice i Gordona Bayerów, pary amerykańskich terapeutów z ponad trzydziestoletnim stażem (podczas którego przydarzyło im się kilka zdrad - z każdej wypowiedzieli się przed sobą

i czytelnikami w bestsellerowym Łańcuchu szczęścia). W rozdziale trzecim przekonywali, że największym cudem jest samo życie. Dlatego trzeba się nim cieszyć tu i teraz. Tu i teraz, tu i teraz. Bo innego cudu raczej nie będzie. Janice dodawała zaraz, że nawet jeśli się zdarzy, tym lepiej. Ale ważne jest samo życie. Ze wszystkim co niesie. Z uporczywym cellulitem, niedzielną migreną, poniedziałkowym kacem. I plamkami na dłoni. Więc celebруем plamki! Pokochajmy całe nasze ciało! Bądźmy dla siebie dobrzy, wtedy będziemy równie dobrzy dla świata. Idąc za radą, Paloma przyszykowała (specjalnie dla siebie), wspaniałą kolację z samych

smakowitych (podobno) i zdrowych, rzecz jasna, składników. Patrząc na plamkę czuła się... po prostu dobrze. Na właściwym miejscu. Zalała ją fala wdzięczności za to, że jest tu i teraz. Tu i teraz. Tu i teraz. Z tego szczęścia postanowiła zrobić coś dla innych. Po raz pierwszy od miesiąca zadzwoniła do matki, by z cierpliwością anioła wysłuchiwać przez godzinę opowieści o zakupach w Liedlu (nieudane), pogodzie (paskudna), tegorocznych przetworach (znowu połowa spleśnieje). I na koniec o przedziorku, który może zaatakować w przyszłym roku (więc nie będzie nic sadzić na balkonie).

W poniedziałkowy wieczór plama zaczęła się łuszczyć. Paloma

przypomniała sobie natychmiast, że kiedy tańczyła w sobotę w klubie, ktoś dotknął jej dłoni żarzącym się papierosem. Stąd plamka, zrozumiała. I nagle odetchnęła pełną piersią. Jak człowiek, który budzi się z koszmaru.

*

Ale nie żałuje tamtej niedzieli.

- Co nas nie zabije, to nas wzmocni
- zakończyła pogodnym tonem.

- Powinnaś poznać mojego chrzestnego. Z każdym rokiem bardziej rozedrgany. Jeszcze parę sezonów i będę musiała go prowadzić za rękę do kibla. Już teraz przemyka korytarzem jak własny cień.

No cóż, zdarzają się wyjątki. Jak jej matka. Po trudnym rozwodzie mogłaby wreszcie żyć pełną parą. Niestety woli zmarnować te lata, które jej zostały. Ale Paloma jest inna, zupełnie.

- Mówiąc o niespodziankach, miałam na myśli porażki - sprostowała Brzytwa.

- Mam na nie pełną zgodę.

Tak przynajmniej powtarza podczas porannego prysznicu.

- Jakbym czytała *Śmiertelnych nieśmiertelnych* Kena Wilbera - mruknęła Brzytwa.

- To moja ulubiona książka - ucieszyła się Paloma. - Niesie w sobie tyle nadziei.

- Mnie irytuje i przygnębia.

- Przecież to wspaniała historia o prawdziwej miłości. Cudownie widzieć, jak bohaterowie wspierają się w najgorszych chwilach. Jaka w nich tkwi potężna siła. I jednocześnie zgoda na to, co przyniesie los.

- Zgoda? - parsknęła Brzytwa. - Ich zgoda przywodzi mi na myśl sztukę z czajnikiem. Jeśli odwrócę się plecami, woda zagotuje się szybciej. To samo mówią bohaterowie. Akceptuję nieuniknione, bo może wtedy nie przyjdzie. Płynę z nurtem, powtarzają z uśmiechem, rozpaczliwie chwytając się każdej, nawet dziurawej opony.

- Zgoda nie zakłada rezygnacji z walki - Paloma zacytowała fragment z *Zen po godzinach*.

- Czasem lepiej odpuścić. Albo uczciwie przyznać: „nie chcę kurwa, odejść. Nie chcę, ale jestem bezsilna! Niech to szlag!”.

Paloma przygryzła rękawiczkę, zastanawiając się, czy ona by tak umiała. Przyznać, że już nic nie może zrobić. Że doszła do betonowej ściany. Całe szczęście, że na razie nie musi.

- Nie przyszło ci do głowy, że to ja mogę zawalić? - spytała Brzytwa po chwili.

Teraz, kiedy już się zgodziła pomóc? I co to właściwie oznacza?

- Przecież Dionizy mówił, że jesteś równie skuteczna jak.... pojazd pancerny.

A dokładnie ruski czołg. Tak to określił Dionizy Fiotroń. „Kiedy ruszy, nie sposób jej zatrzymać. Jest jak ruski czołg, tylko znacznie częściej trafia do celu”. Paloma uznała jednak, że takie porównanie brzmi zbyt dosadnie.

- Więc masz namiary od Fiotronia - uśmiechnęła się Brzytwa.

Kiedy nad małżeństwem Palomy pojawiły się czarne chmury, zaczęła rozglądać się za pomocą. Przeglądając albumy i foldery firmy, z którą podróżował Norbert, przypomniała sobie spotkanie z Fiotroniem. „Byłoby gorzej, gdyby nie pomogła mi pewna

Matka Polka”, powiedział wtedy, w Drukarni. Paloma poczuła, że to właściwy trop. Następnego dnia zadzwoniła do Dionizego z prośbą o namiary. Całe szczęście, że zachował swój stary numer.

- Pracowaliśmy w sąsiednich oddziałach, pod koniec roku złożył wymówienie, sprzedał mieszkanie na Dębnikach i jest w trakcie przeprowadzki do...

- Nie chcę nic wiedzieć! - Brzytwa podniosła głos.

- Przecież mu pomagałaś.

- Ale kiedy już zamknę sprawę, nie ma powrotu. Żadnych wizyt kontrolnych. Ani kartek na święta. Rozczarowana?

- Wręcz przeciwnie. Tego właśnie oczekuję, zamknięcia sprawy. - Raz na zawsze. - Więc dokąd idziemy?

- Na lodowisko.

Tego się Paloma nie spodziewała. Nie jeździła na łyżwach od maturalnej klasy. Nawet nie wie, czy potrafi jeszcze zgrabnie zakręcać.

- A jeśli się przewrócę?

- To będziesz leżeć, potem wstaniesz i ruszysz przed siebie. Jak w życiu.

W życiu ostatni upadek Paloma zaliczyła po obronie dyplomu. Ale była wtedy pijana ze szczęścia. Potem już bardzo uważała. Potknięcia tak, upadki nie.

- Trochę się boję - wyjawiała, kierując się *Towarzyskim bezradnikiem*

autorstwa Miriam Barbitelli. Dziel się obawami, to budzi empatię i zrozumienie.

- Możemy sobie darować, nic na siłę - zareagowała natychmiast Brzytwa. Profesor Miriam byłaby usatysfakcjonowana.

- Ale spróbuję - orzekła Paloma po namyśle. - To będzie cenne doświadczenie. Taki powrót do dzieciństwa.

Którego nie było, uświadomiła sobie nagle. Rodzice nie zabierali jej na łyżwy. Ani na sanki czy do kina. Nigdzie. Prawie każde ferie i wakacje spędzały z siostrą w domu dziadków. Matkę wysyłano wtedy do sanatorium. Tak to określał dziadek: miejsce uzdrowienia. Paloma nauczyła się

jeździć na łyżwach dopiero pod koniec podstawówki. Chciała zaimponować jednemu blondynowi z ósmej b. Dziś nie pamięta nawet jego imienia, ale za to wie, że na figurówkach zupełnie inaczej się hamuje. Właśnie, łyżwy!

- Musimy chyba pożyczyć?

- Możesz wdrzeć się na taflę w samych butach. Ale w łyżwach zabawa trwa dłużej.

- Czy oni je dezynfekują?

- Dostajesz jednorazowy woreczek na nogi. Prawie tak skuteczny jak prezerwatywa.

- Woreczek? - zdenerwowała się Paloma.

- Zapewniam cię, że jest tam tyle samo bakterii, co w twoim biurze.

Chyba że nie chodzi o bakterie. -
Brzytwa umilkła. - Nie chodzi,
prawda?

- Pożyczam tylko książki - wyjawiała
wreszcie Paloma.

Od trzech sprawdzonych osób.
Wszystko inne kupuje.

- Dlaczego?

- Bo wtedy należy do mnie.

- Przez określony czas, potem
trafia....

- Ale to ja decyduję, kiedy i do
kogo.

- Jesteś pewna?

- A poza tym nie lubię używanych
rzeczy - dodała szybko Paloma, ignor-
ując pytanie Brzytwy.

Dlatego nie kupuje niczego w antykwariatach, komisach ani w Desie. W ich nowym mieszkaniu nie ma ani jednej zabytkowej rzeczy (nie licząc drobiazgów ukrytych w biurku Norberta). Żadnych secesyjnych lampek ani tak modnych wśród jej znajomych kredensów artdeco.

- Możemy iść gdzie indziej - zaproponowała Brzytwa. - Na przykład do kościoła. Tylko ostrzegam, że niemal w każdym są używane ławki.

- Wolę łyżwy - odparła Paloma, z naciskiem.

Nie, żeby miała coś do kościołów. Wręcz przeciwnie. Odwiedza je regularnie cztery razy w roku. Kiedyś chodziła częściej, zwykle rano, przed

pracą, by w ciszy mistrzejowickiej kapliczki wygładzić potargane złymi snami myśli. Potem księża zaczęli oszczędzać i otwierają kościół tylko na czas niedzielnego nabożeństwa. A wtedy trudno o skupienie.

Z tego powodu Paloma praktykuje modlitwę w domu. Regularnie, od kiedy przeczytała o jej uzdrawiającej mocy.

- Oczywiście to zupełnie inne modlitwy niż kiedyś - zdradziła Brzytwie, ustawiając się w kolejce po łyżwy. Musi dużo mówić, wręcz paplać, bez wytchnienia, byle odwrócić uwagę od źródła stresu. - Bo zmieniła się formuła samego Boga.

- To jak się do niego zwracasz?
„Siema, Boszko? Dzięki Stary za tamto, masz u mnie szacun. Ale przydałoby się jeszcze trochę koksu”?
I słucha? Może ja spróbuję?

- Chodziło mi o to - sprostowała, niezrażona - że zamiast odklepywać z automatu kolejny paciorek, zanurzasz się w modlitwie jak w rajskim oceanie.

Co nie jest łatwe, zwłaszcza w nowoczesnym budownictwie. Dlatego Paloma zastanawia się nad kupnem kapsuły medytacyjnej. Łatwiej w niej o pełne zanurzenie.

- Ale istota pozostaje ta sama? - drążyła Brzytwa, odbierając razem z łyżwami potężny tobołek. - Czyli

wybłagać to, po co nie można sięgnąć samemu. Bo chyba nie dajesz nura dla czystej przyjemności?

Paloma umilkła, zastanawiając się nad ripostą. Już ułożyła kilka zgrabnych formułek, ale na widok Brzytwy znikającej w pikowanym kokonie, straciła wszystkie. W jednej chwili.

- Co to jest? - wykrztusiła wreszcie, dotykając czegoś, co wyglądało jak łapa King Konga. Uszyta z tandetnej kraciastej flaneli.

- Ochraniacz przeciw złamaniom. Prezent od chrzestnego, jego autorstwa. Wspominałam, że się boi. Niestety nie tylko o siebie - zdradziła. - Ale ma też pewne zalety. Na przykład

encyklopedyczną pamięć, która bardzo się przydaje.

Może tu tkwi źródło jego lęku, zastanawiała się Paloma, ale właśnie weszły na taflę i skupiła się na tym co ważne: utrzymaniu równowagi. Po trzech niepewnych okrążeniach przypomniała sobie, jak się skręca, hamuje, a nawet jedzie do tyłu. Nie mogła tylko przypomnieć sobie imienia blondyna, któremu to zawdzięcza.

*

- Dałam radę, naprawdę dałam! - cieszyła się Paloma, dwie godziny później.

- Ani przez chwilę nie wątpiłam, że może być inaczej - wtrąciła Brzytwa,

zdając na przechowanie koszmary
ochraniacz.

Zabrzmiało jak przytyk, ale Paloma
uznała, że puści to płazem. Nie poz-
woli sobie zepsuć takiego wieczoru.

- A ja tak. Nie jeździłam na łyżwach
ponad dziesięć lat. I jeszcze ten dziki
tłum. Samej dzieciarni tyle, jakby
spędzono pół szkoły.

- Rodzina niedzielą silna, zwłaszcza
po rozwodzie.

- Już zapomniałam, jak potrafią
hałasować - ciągnęła Paloma. -
W naszej firmie jest niewiele par
z dziećmi. - Nie umiałyby nawet podać
dokładnej liczby. Nikt się przecież nie
afiszuje. Po co? Skoro nie ma z tego

żadnych korzyści. - Niewiele. Większość to wolni ludzie.

- Wolni ludzie pracujący na akord i po godzinach. Prawdziwy cud. - Brzytwa złożyła obie dłonie i uniosła je do góry.

- Miałam na myśli „bez zobowiązań” - sprostowała Paloma.

- A jeśli ktoś w waszej firmie zechce się zobowiązać albo tak mu wypadnie, co wtedy?

To na razie nie jest jej problem. Kiedy ostatnio wspomniała o dziecku, Norbert zażartował, że wcale by się nie obraził, gdyby miał już jakieś pozamałżeńskie. Najlepiej córkę. Odchowaną i stęsknioną kontaktów z dawno nie widzianym ojcem, ciągnął.

„Oszczędziłoby to masę zachodu”. Ale widząc jej minę, dodał zaraz, że chętnie spróbuje trudów rodzicielstwa z Palomą. Za dwa lata. Może trzy, jak już ugruntują swoje pozycje w firmach i nacieszą się nowym mieszkaniem. Paloma wolałaby, żeby wspomniał o radości ze świeżo zawartego małżeństwa, ale i tak miło, że Norbert zmierzył się z tak trudnym tematem.

- Na pewno można to sensownie urządzić - odparła wreszcie. - Tak, żeby obowiązki rodzinne nie kolidowały ze służbowymi. Są przecież żłobki, przedszkola, wyspecjalizowane nianie.

- A w niedzielę oczywiście lodowiska.

Wielka obrończyni polskich rodzin. Osoba, która nie ma dzieci nawet w planach. Paloma wie, bo zapytała. Brzytwa wyjawiała, że jest Matką Polką bezdzietną. Teraz, zawsze i na wieki. Więc po co tak się angażuje w cudze problemy? Brakuje jej własnych? sierdziła się Paloma, wracając taksówką do pustego mieszkania. „Pustego” - co za okropne słowo. Na szczęście Norbert wyjechał tylko na dwa dni do Horyńca. Jutro po pracy znowu zjedzą razem kolację. Porozmawiają o nowych zasłonach, może nawet ustalą coś w sprawie wakacji. A jeśli nie? Jeśli to wszystko zmierza ku najgorszemu? Nie wolno tak myśleć, szepnęła, przypominając sobie zalecenia Yanskiego.

Nie wolno myśleć o tym, że nie można myśleć o... to znaczy powinna pomyśleć o czymś przyjemnym. Albo o czymkolwiek, byle odkleić się od tego, co ją martwi. A może właśnie powinna się przyjrzeć cierniowi, jak radził Jim Mo Fan Be? Poznać, znaczy oswoić. Tylko... co to zmieni? Przez ostatnie tygodnie obejrzała go od każdej strony, jak wakacyjne zdjęcia, którym Norbert poświęca tyle czasu. Czy to jej w czymkolwiek pomogło? Czy poczuła ulgę albo odzyskała poczucie kontroli? Dlatego, choć Paloma ceni rady mistrza Jima, tym razem posłucha Yansky'ego. Skup myśli na czymś pozytywnym. Jeśli nie możesz, zrób coś, co je ściągnie we właściwą stronę.

Tylko co? powtarzała, niespokojnie rozglądając się po salonie. Porządki robi co piątek Ludmiła z Ukrainy. Paloma mogłaby co najwyżej wyrównać poduszki na sofie. Gotowe, co teraz? Zrobić kolację? Ale przecież ma zasadę, że po dwudziestej pierwszej pija na ogół gorącą wodę z cytryną. Zresztą w domu nie ma nic poza zestawem dla niespodziewanych gości (słoiczek pesto, chrupiące grissini, oliwki nadziewane parmezanem, japońskie ciasteczka ryżowe, puszka kawioru, pumpernikiel i kocie jęczyczki). Żelaznym, co oznacza, że nie można go naruszać bez powodu. Chyba że kończy się data ważności, wtedy nawet trzeba. „Wyrzucanie

jedzenia jest obelgą wobec umierających z głodu”, powtórzyła za dziadkami. Piękna dewiza, szkoda, że stosowali ją jako usprawiedliwienie, by nie pozbywać się stęchłej kaszy ani spleśniałego dżemu. Paloma nigdy nie zwleka tak długo z konsumpcją. W myśl zasady „jesteś tym, co jesz”. A ona nie chce być zepsutym kawiozem.

Gotowanie odpada, zdecydowała, odkładając żelazny zestaw do kuchennej szafki. I nagle przypomniała jej się inna złota dewiza dziadków. „Jeśli boli cię palec u nogi, przywal młotkiem w kciuk. Nic lepiej nie odwraca uwagi”. Co znaczy, że powinna zadzwonić do matki. Nikt tak jak ona nie

potrafi zepsuć humoru. Kwadrans rozmowy i Paloma zapomni o tym, o czym usiłuje zapomnieć od godziny. Będzie się wściekać, ale przynajmniej z innego powodu. Zawsze jakaś odmiana. Ożywiona chwyciła za słuchawkę. Matka odebrała po piątym sygnale, jak zawsze. Przywitały się zdawkowo, bez czułości, przez następne pięć minut porównując prognozy na poniedziałek, po czym Paloma przeszła do stałego zestawu pytań. Pytanie pierwsze:

- Jak minął dzień?

Mogłaby wyrecytować razem z matką. Słyszała to dziesiątki razy. „Wstałam o siódmej, zjadłam dwie kromki chleba z okropną margaryną”.

Albo „ze starym serem. Wypiłam herbatę. Zwietrzałą albo gorzką. Zrobiłam małe pranie, rachunki z całego tygodnia. Albo uprasowałam pościel. Podlałam kwiaty, bo kto to za mnie robi”. I tak dalej.... ale może dziś było inaczej, pomyślała Paloma, przełączając telefon na głośno mówiący.

- Tak sobie - odparła matka. - Wstałam o siódmej, zjadłam dwie kromki z pomidorem. Bardzo niedobry. Potem wypiliśmy herbatę. Strasznie gorzka.

- A gdyby tak posłodzić? - spytała Paloma, jak zwykle.

- Niezdrowo. Potem zrobiłam małe pranie w wodzie, która została z kąpieli i rachunki z zeszłego

tygodnia, bo już trzeba, odkurzyłam pokój, przetałam blat kuchenny, oddałam buty zimowe do sąsiada, co tanio naprawia, dokończyłam krzyżówkę, podlałam kwiaty i przy okazji przesadziłam fiołka, a po południu...

Paloma mogłaby przerwać tę wyliczankę, raz, pewnej jesieni, nawet spróbowała. W niedzielę fajnie jest też odpocząć. W końcu to Dzień Pański, wtrąciła kiedyś żartobliwie. Do głowy by jej nie przyszło, że wciśnie czerwony guzik z napisem „winna”. Matka głośno przełknęła ślinę i natychmiast zaczęła się tłumaczyć. Że świętuje, a jakże. Była na sumie i na różańcu. Obejrzała też papieskie

pozdrowienie o dwunastej. Ale pewnych rzeczy nie można odkładać na później. Zasnęte plamy z barszczu trudno usunąć. Błoto z butów również. Teraz Paloma nie ryzykuje, odkłada słuchawkę na blat i robi sobie herbatę (bez cytryny; badania wykazały, że taki miks zwiększa ryzyko Alzheimera). Kiedy matka kończy wyliczankę, pora na kolejne pytanie.

- Widziałaś się z kimś ostatnio?

- Nie miałam czasu - usłyszała jak zawsze. - Ale po remoncie zadzwonię... może... do...

- Hela umarła pół roku temu - wyrwało się Palomie. I od razu poczuła się winna.

- Ma spokój, nareszcie - odbiła piłeczkę matka. - A u ciebie?

Ciągle nie możemy się wybrać w poślubną podróż. Norbert się ode mnie izoluje. Śpimy coraz gorzej. Jemy osobno, mówimy wyłącznie o bzdurach. I co ty na to, mamoo?

- Bez zmian - odparła, zrezygnowanym tonem.

- Monotonia to najlepsze, co nas spotyka - przypomniała jej matka, a potem oznajmiła, że musi kończyć, bo zaraz ma finał *Tańca z gwiazdami*.

Życzyły sobie dobrego tygodnia. I po rozmowie, skwitowała Paloma, maszerując do kuchni. Jednak naruszy żelazny zestaw, lepsze to, niż obgryzać tak pięknie pomalowane paznokcie.

Zaczęła właśnie wchłaniać pesto, kiedy rozdzwonił się telefon. Margo - rozpoznała po numerze, natychmiast wypluwając pesto do zlewu i dziękując aniołowi stróżowi za całodobową opiekę.

- Myślałam, Laska, że doczekam do jutra - zaczęła Margo, jak zwykle nie zwracając sobie głowy powitaniem. - Ale przed chwilą mnie olśniło. Przecież ty masz wolne aż do środy, i to następnej. A tyle nie wytrzymam, nie ma takiej możliwości. To jak tam było, opowiadaj.

Paloma zdała krótką relację, tu i ówdzie majstrując z kontrastami. Podniosła również średnią wieku

manifestantów oraz podwoiła ich liczbę.

- Aż ci zazdroszczę, taki event - żałowała Margo. - Ale dalej jednego nie kumam. Po co właściwie Brzytwa cię zabrała? Nie lepiej było pogadać w kawiarni?

No właśnie, po co, zastanawiała się Paloma, nakładając bawełniane rękawiczki. Z pewnością nie dlatego, by poprawić frekwencję. Jedna osoba niczego przecież nie zmieni. Zresztą Paloma wyznaje dewizę, że wszelkie zmiany trzeba zacząć od siebie. Kiedyś, rzecz jasna, będzie pomagać w hospicjum albo w schronisku, nie umie tego sprecyzować. Ale to dopiero, gdy zrealizuje inne cele.

Odchowa dziecko albo dwójkę (a wcześniej je pocznie, oby z Norbertem, i urodzi w specjalnym basenie), zbuduje stylowy dom, zrzuci korporacyjny mundur, wreszcie spuchnie do rozmiaru czterdziestki, a treningi na siłowni przestaną dostarczać odpowiedniej porcji endorfin. Krótko mówiąc, kiedy dojdzie do pewnej granicy, poza którą... pojawią się nowe wyzwania. Wtedy Paloma przedefiniuje własne życie. I zacznie wspierać innych. Podzieli się swoją wiedzą, wypracowanym przez lata spokojem. A być może pieniędzmi. Zresztą pomagać trzeba umiejętnie i z wyczuciem. Nie tak jak Patrycja z działu reklamy. Niby każdy w firmie

powtarza, że jest chodzącą anielicą, ale jeszcze nikt jej nie zaprosił na imieniny. „Po co ma odbierać gościom apetyt, opowiadając o śliniących się w hospicjum staruszkach?”, podsumowała na głos Margo. Apetyt i przy okazji dobry humor. Bo w towarzystwie Patrycji każdy temat wydaje się błahy. Wyprzedaże, sobotnie picie, świeże plotki o rudej z sekretariatu, nowe odcinki *Rzymu*, slajdy z wakacji. Marność nad marnościami. Nie wypada się obnosić z własną beztroską ani zamartwiać cellulitem. Nic dziwnego, że w obecności Patrycji wszyscy robią poważne miny. I oddychają z ulgą, kiedy opuszcza firmę. Paloma nie popełni tego błędu.

Zanim zabierze się do szeroko zakrojonych akcji, wszystko sobie obmyśli i przygotowuje. Na razie woli uporządkować własne wnętrze. Wprawdzie zdaniem jej ostatniego terapeuty przypomina salony z pisma „Dom Skandynawski”, ale Paloma ma pewne wątpliwości. W końcu to terapeuta przekonywał, że człowiek o zadbanym ego ma równie zadbane relacje. A w jej związku panuje niepokojący nieład. Dlatego postara się wygładzić to i owo, nie tylko w sypialni. Pytanie, czy zdąży przed czwartkiem?

*

- Patrz, stara, jaka promocja. Zrób zakupy za sześć dyszek, to dostaniesz zeszytów na cały semestr. Mielibyśmy z głowy wyprawkę dla Marleny. Może by nawet stykło dla Alana.

- Alkohol się nie wlicza - zgasiła entuzjazm męża „stara”, chuda czterdziestka zrobiona na szaro (nie licząc bordowych dodatków: uszu, nosa i dłoni). - Trzeba kupić jedzenie, tu przy gwiazdce napisali. O dupę rozbić takie promocje.

- Jak pech, to pech, na całego.

Najłatwiej rzucić winę na innych, mruknęła Paloma, przypominając sobie sąsiadów z rodzinnej kamienicy. Żaden nie przepracował więcej niż dwa tygodnie w roku, bo „za taki

piniądz nie da rady wstać, panie, z wyra". Za to dawali radę ryczeć do czwartej rano, bez powodu tłuc żony albo okna i otwierać drzwi bramy kopniakiem. „Bo po co szukać klucza, skoro można nogą?” Wiedli byle jakie życie, przypominając sobie o własnej wartości dopiero wtedy, gdy mogli ugrać odszkodowanie. Ale nawet z odprawą w kieszeni, narzekali na podły świat. I wszechobecnego pecha. A przecież, Paloma przypomniała sobie cytata z *Zen po godzinach*: „to my kształtujemy otaczającą nas rzeczywistość. My, nikt inny. Wystarczy tylko trochę się postarać”. Paloma, na przykład, moknie od dziewiątej, czekając na Brzytwę przed sklepem

spożywczo-monopolowym (z lekką przewagą procentów). Ale nie narzeka, choć miałyby powody. Weźmy choćby miejsce spotkania. Przecież mogły się umówić na Rynku, przed Adasiem, albo w uroczej kawiarence, elegancko jak inni. Dla Brzytwy jednak to żaden argument. Poza tym jak wyjaśniła:

- Rynek jest dla turystów. I dla gołębi. Ten dla Krakusów zaczyna się od Krakowskiej. I tam się właśnie spotkamy.

Obiecała, więc pewnie przyjdzie. Tylko o której? Deszcz chłozcze coraz mocniej, a Paloma nie wzięła parasolki. Tak się rano śpieszyła, że zupełnie wypadło jej z głowy. Na dodatek zadzwonił Norbert, informując, że

wróci dopiero jutro rano. Kolejna samotna noc. Ale z drugiej strony Paloma będzie mogła poświęcić Brzytwie więcej czasu. I zajmie się pielęgnacją skóry. Nareszcie! Po zimie jej dłonie domagają się porządnego nawilżenia. Włosy również. Szykuje się całonocne spa, ale najpierw Brzytwa. O ile przyjdzie, bo spóźnia się już prawie pół godziny, syknęła Paloma, natychmiast podskakując. Coś pociągnęło ją za kaptur. Brzytwa? Kiedy zdążyła podejść?

- Wiem, przepraszam, moja wina - Brzytwa stuknęła się piąstką w miejsce, gdzie powinny być piersi. - Zapomniałam ci powiedzieć, żebyś

przyszła kwadransik później. Na Podgórzu zawsze tak robimy.

Nawet bez kwadransa byłoby ponad dziesięć minut poślizgu, Paloma wyliczyła szybciotko, natychmiast wchodząc w rolę wspaniałomyślniej szefowej.

- Nic nie szkodzi. Zdarza się każdemu. - No prawie.

- Bardzo ci się nudziło?

- Nuda to brak szacunku do samego siebie - odparła Paloma, wyniośle.

- Znakomita postawa - pochwaliła Brzytwa. - Pytanie było retoryczne, bo pod tym sklepem naprawdę dużo się dzieje. Teatr na żywo, z udziałem lokalnych mistrzów ciętej riposty.

- Wolę repertuar innego rodzaju. Ale paru moich znajomych chętnie by to obejrzało. Może nawet wzięło udział w przedstawieniu. Ciągłe słyszę, że rzucą wszystko, wezmą wór na plecy i zamieszkają na bezludnej wyspie.

- Tylko trudno im zrezygnować z zakupu trzydziestej pary takich samych skarpet od Armaniego. Syndrom wora, popularny wśród pracowników najwyższego szczebla - podsumowała Brzytwa. - Łatwo go wyleczyć za pomocą czerwonego cabrio i młodej kochanki.

- Może komuś się udaje.

- Znałam tylko jedną osobę, której prawie się udało. Ale wycofała się w ostatniej chwili. Co robimy?

- Jestem do dyspozycji.

- Wzięłaś Houellebecqa, jak prosiłam?

Paloma natychmiast przytaknęła. Trzeba wywiązywać się z obietnic, tak ją nauczyli dziadkowie. Im szybciej, tym lepiej.

- Więc wdepniemy na chwilę do pani Tosi. Podam jej książki za chrzestnego. Od kiedy poplamił nowego Kinga, omija bibliotekę szerokim łukiem.

- Słyszałam, że bywa groźna.

- Jeszcze nie widziałam jej w akcji - odparła Brzytwa, skręcając w stronę mostu Grunwaldzkiego. - ale ma znakomity PR. Czasem to wystarczy.

- Nie możemy zostawić książek w bibliotece? Jak inni?

- Pracuje tylko we wtorki. Trzy szesnaste etatu. Zdaniem dyrekcji i tak miała szczęście, że tyle jej się dostało. W końcu są młodszy, bardziej potrzebujący, z rodzinami. A ona co? Sama, bezdzietna, wolna jak ptak. Taka sobie zawsze poradzi.

- W Hucie występowała z synem.

- To Barnaba, sąsiad z naprzeciwka, po filozofii. Zarabia na podyplomowe. Podróże kształcą, zwłaszcza cudze - uśmiechnęła się Brzytwa. - Czasem Barnaba angażuje babcię Stefanię, żeby mogła wykupić recepty. Powinnaś to zobaczyć, show jakich mało.

- Straszne - zdenerwowała się Paloma.

- Że pokazują raj utracony paru stęsknionym emigrantom?

- I poniżające.

- Dla kogo?

Paloma przypomniała sobie nagle wszystkie wycieczki tematyczne po tak zwanych żywych skansenach. Wioska Berberów, osada Lapończyków, obóz Indian pod Marsylią. Wszędzie aktorzy jednej roli pokrywający zmęczenie sztucznym uśmiechem. Nigdy więcej ludzkiego zoo, postanowiła, ale wcale nie poczuła się lepiej.

- Jesteśmy na miejscu. - Brzytwa wskazała dłonią niewielki blok otoczony nagimi jeszcze drzewami.

Osiedle Podwawelskie. Cicho, spokojnie i stosunkowo blisko Rynku. Taki krakowski odpowiednik Staten Island. Dlatego Paloma chciała tu kupić mieszkanie.

- Ale znajomy różdżkarz ostrzegł mnie, że jest wiele cieków wodnych. Co skutkuje anomaliami i rozkładem pożycia.

Powoli wdrapywały się po schodach.

- Które to piętro? - wysapała Paloma. Dziwne, przecież ćwiczy regularnie na siłowni. Chodzi na basen i pilates. A tu parę nadprogramowych pięter i od razu zadyszka.

- Jesteśmy na miejscu. - Brzytwa wskazała drzwi pomalowane na błękit woronecki.

- Bardzo nisko zamontowana klamka - zauważyła Paloma. - Ci socjalistyczni partacze.

- To na życzenie pani Tosi - wyjaśniła Brzytwa, energicznie pukając.

Z głębi korytarza rozległo się szczekliwe „kto tam?”

- Swój! - odparła Brzytwa.

Drzwi natychmiast się otworzyły. Paloma ujrzała jasny korytarz, a w nim panią Tosię. Na czworakach jak pies. I równie jak pies ucieszoną. Brakowało tylko ogonka, którym mogłaby pomachać.

- Wskakujcie do środka - zaprosiła.
- Tu są nakolanniki. A dla wrażliwych ochraniacze na łapki.

Na łapki? Paloma rzuciła zdziwione spojrzenie Brzytwie. Zdziwione i oburzone. Brzytwa w odpowiedzi uklękała, mamrocząc o wronach. Jakby Paloma nie znała tego przysłowia! Oczywiście, że zna, pamięta, a nawet stosuje. Zwłaszcza poza Zjednoczoną Europą. Przez dwa tygodnie w roku integruje się z ludem, jedząc lokalne potrawy, słuchając lokalnej muzyki i przyjmując lokalny punkt siedzenia. Tylko zachwyty wyraża iście cudzoziemski. Ale co innego tańczyć zorbę na wieczorku w Salonikach, a co innego

wygłupiać się podczas wizyty u samotnej, zdziwaczałej bibliotekarki.

- Nie mogłybyśmy normalnie? - jęknęła, niechętnie przyklękając.

- Ależ to jest najzdrowsza pozycja. Bardzo dobroczynna dla serca - przekonywała pani Tosia. - A ponadto relaksuje kręgosłup. Od kiedy przeszłam na cztery łapy, chodzę do masażysty tylko w celach - umilkła, nieco zawstydzona - powiedzmy rozrywkowych. Tylko nie mów nic chrześcijańskiej - poprosiła natychmiast Brzytwę. - Odkąd nosi wąsy, zrobiła się bardzo zaborcza.

Wąsy? Sybil wspomniał o babie z wąsem.

- Ta pani z... wąsami - wtrąciła ostrożnie. - To ktoś z rodziny?

- Chrzestna, jeździ białym sprinterem.

Sprinterem? A ona myślała, że wieszczowi chodzi o biegacza.

- Znaczy busem - dodała Brzytwa, widząc minę Palomy. - Robi kursy do Myślenic.

- A po godzinach trochę się przyjaźnimy - wyjawiała pani Tosia spłonią. - No dobrze, zapraszam do salonu. Rozgośćcie się, kochane. - Wskazała coś, co przypominało ogromny placek ziemniaczany obszyty welurem. - Wino w barku, bierzcie i pijcie. Ja muszę zadzwonić.

Wygodnie rozsiadła się na przywiedłym fotelu, ujęła w dłoń słuchawkę telefonu retro, drugą zaś powoli wykręciła numer.

- Halo? Przy telefonie Antonina Rumianek. Czy to pan Puczek? Nasz wspaniały autor? Poznałam, a jakże, ma pan taki aksamitny głos. Aksamitny i zmysłowy. Ale ja tu zagaduję, a czas biegnie. Zatem do rzeczy! Dzwonię w imieniu naszej biblioteki, pan zapewne pamięta, że obiecałam.

Z słuchawki rozległ się warkot. Paloma rozpoznała parę słów: „straszyć”, „nękać”, „w poniedziałek o świcie”.

- Nie będziemy się spierać o drobiazgi - ucięła pani Tosia. - Więc jak obiecałam, dzwonię w sprawie

pana wizyty. Nasi czytelnicy już przebierają nogami. Ja wiem, że to daleko. Ale gwarantujemy nocleg. Pana nowej przyjaciółce Małgosi również. Żona nie musi wiedzieć. Jesteśmy bardzo dyskretne, może szanowny pan autor sprawdzić i popytać.

W słuchawce rozległo się wściekłe bulgotanie.

- Skąd wiem? Och, już zapomniałam. Widzi pan, jaka dyskrecja. Więc mielibyśmy łóżeczko dla pana i Małgosi. A nawet dla Julity.

Dziki wrzask.

- Więc tylko dla Małgosi, oczywiście podwójne. My bibliotekarze też cenimy komfort w czasie pozamałżeńskich igraszek.

A żubróweczka do nasmarowania strun głosowych? Czy szanowny autor woli siwuchę? Amfetaminy, niestety, nie zdołam załatwić. Ale proponowałabym szałwie szamańską. Na pewno panu przypasuje... Mówiłam, że nie pamiętam, skąd wiem. Obiło mi się o uszy podczas wieczorku bibliotekarzy. Zatem świetnie, jesteśmy umówieni. Czytelnicy i siwucha czekają! Oraz szałwia.

Odłożyła słuchawkę na widełki.

- Nareszcie się udało. Prawdziwe czary!

- Raczej szantaż - odważyła się wyrazić swoje zdanie Paloma.

- Stawiamy na skuteczność.

– Ciekawe, jak motywujecie czytelników – zastanawiała się Brzytwa.

Paloma tylko się uśmiechnęła. Uśmiechem kogoś, kto poznał całą prawdę.

– Mamy bardzo dużo nowości.

No, proszę! Jakie to proste!

– Ach właśnie. – Paloma wręczyła Houellebecqa. – Wydane co prawda ponad rok temu.

– Na pewno się przydadzą, bo... dziwna sprawa z tym Michelelem. Ma u nas przeogromne wzięcie. Czytelnicy robią rezerwację już na czerwiec.

– Świetnie.

– Ale po każdej lekturze rzucają książką o ścianę tak mocno, że co pół roku trzeba kupować nowe

egzemplarze. Nie powstrzymuje ich nawet świadomość, że mogą zmarszczyć brwi – dziwiła się pani Tosia. – Odnoszą zniszczoną powieść i ustawiają się w kolejce po następną. Zresztą możesz, kochana, sama sprawdzić. Jak do nas przyjdiesz w przyszłą środę, wciągnę cię na listę. I w lipcu mi opowiesz, jak się czytało.

*

- No, pani Tosia dostanie wreszcie porządny referat – odezwała się Brzytwa, zeskakując po schodach jak dziecko. – Przygotujesz jej dwadzieścia stron elegancką czcionką, w twardej oprawie.

Przystanęła na półpiętrze, żeby dopiąć okropną budrysówkę w kolorze błota, z nierówno naszytym znaczkiem CD na kieszeni. Badziewie, jakich mało, stwierdziła Paloma, nie bez irytacji. Badziewie i partanina, której wstydzilyby się nawet wietnamskie dzieci.

- Uraziłam cię? To był komplement.

- Nie o to chodzi - skłamała Paloma.

- A o co?

Stuknęła paznokciem w „logo”.
Koszmar.

- We Włoszech by cię za to aresztowali.

- To już nikomu poza imperium Diora nie wolno używać znaku CD? Producenci płyt będą zrozpaczeni.

- Włosi wybaczą podróbki, ale nie w tak złym guście - odparowała Paloma. Żaden z jej znajomych nie zszedłby w swetrach Brzytwy nawet do piwnicy po ogórki. Oczywiście najpierw trzeba byłoby założyć, że trzyma w niej jakieś przetwory. A nie pudła po domowym kinie. I deski do surfowania.

- Ach, włoski styl! Tak rozślawiony przez uśmiechniętą Donatellę. Sam szyk i elegancja. Dorównują jej tylko opalone seksbomby z Kalifornii z błękitnym uzębieniem.

- Przynajmniej jest markowe.

Sama nie wie, czemu to powiedziała. Owszem nosi same markowe rzeczy, ale się tym nie afiszuje. To trochę jak z pieniędzmi. Jeśli je masz od dawna, nie rozpowiadasz o tym dookoła.

- Markowe - zgodziła się Brzytwa.
- Jak wszystko. Implanty włosów, pierś, pośladków, rzęsy, paznokcie, a nawet ubrania. Dlatego ja noszę podróbki. Dla szeroko pojętej kosmicznej równowagi. Ale dzięki za radę.
- Poklepała Palomę po ramieniu. - Będę omijać Włochy szerokim łukiem. Poza jednym małym wyjątkiem.

Noś co chcesz, mruknęła, żałując, że wdała się w słowne przepychanki.

- I po deszczu! - zauważyła nagle Brzytwa, rozradowana. - Będzie nam się przyjemniej spacerowało.

- Zdradzisz mi gdzie? - bąknęła Paloma, nadal trochę naburmuszona.

- Najpierw skoczymy do Wesołego Ogórka na obiad. Karmią niemal tak dobrze jak pani Tosia.

- No nie wiem - powątpiewała Paloma, przypominając sobie kryzysowy obiad ekstra. Niby nic wymyślnego, ale... nawet najbardziej nieufne turyści z Vancouver prosiły o repetę. Smakowała im nawet herbata na chlorowanej wodzie. „Lipton się chowa” - powtarzali wszyscy, siorbiąc kolejną szklankę gruzińskiego czaju z konfiturami.

- Są nieźli, wiem bo tam pracowałam. Jako kelnerka - dodała zaraz. - Ale znam całą ekipę, łącznie z właścicielem. To mój dawny kumpel spod bloku.

- Dlatego cię zatrudnił - domyśliła się Paloma, natychmiast żałując swoich słów. Zabrzmiały tak dosadnie. A przecież kto powiedział, że kelnerka musi mieć regularne rysy. Oryginalność też bywa atrakcyjna. Przynajmniej dla niektórych.

- Po starej znajomości - przytaknęła Brzytwa. - Uznał, że w ten sposób spłaci dług za... - umilkła, poprawiając kołnierz - za udział w zabawach. Moim zdaniem nie miał co spłacać. Ale nie chciałam mu robić

nowej przykrości, więc przez dwa lata udawałam kelnerkę. O, dziwo frekwencja nie uległa zmianie. Wchodzimy - zaprosiła Palomę do środka. - Polecam pierożki momo. Rozgrzewają lepiej niż wódka. Przy okazji możesz wrzucić co łaska na wykup koni. - Wskazała puszkę, przymocowaną obok kasy. - Będziesz mieć z głowy.

Paloma natychmiast się spieszyła.

- Może lepiej przelać na konto?

- Wybrałam puszkę celowo.

- Dlaczego?

- Kombinuj, jesteś mądrą dziewczynką.

Paloma utkwiała wzrok w glinianym wazoniku z baziarnicami.

- Ale teraz skup się na jedzeniu. Żaden guru ci nie zdradził, jakie to ważne?

Oczywiście, że zdradził. Posiłki to ulubiony temat specjalistów od szczęścia. Wszyscy są zgodni, że należy je celebrować, smakując każdy kęs, wszystkimi zmysłami. Niestety my, Europejczycy jadamy w pośpiechu, co skrytykowała Yochana Ullu, znana dietetyczka angielskich gwiazd. W *Smaku świeżych malin* stwierdziła wprost: „Jeśli nie umiesz docenić tego, co masz na talerzu, wyrzucić na śmietnik. Oszczędzisz pracy żołądkowi i sprawisz radość ptakom”. Natomiast Horst Schwartzer w dodatku do *Zen przed śniadaniem* poradził: „Kiedy

jesz, jedz naprawdę”. Czego Paloma stara się przestrzegać (pominąwszy kilka potknięć po irytujących rozmowach z matką). W tej chwili, na przykład, delektuje się zapachem pierożków, cieszy oko ich wymyślnym kształtem, a nawet teksturą nadzienia. Co do smaku, wierzy, że jest niezrównany.

W milczeniu dokończyła obiad, przeżuwając trzy ostatnie kęsy po sześćdziesiąt dziewięć razy. Jim Mo Fan Be uważa, że należy przeżuć dokładnie cały posiłek, ponieważ lepiej wchłaniamy wtedy najcenniejsze składniki (w sprawie toksyn nie zajął na razie zdania). Paloma nie ma

jednak azjatyckiej cierpliwości. Ale może z czasem nabędzie. Kto wie, kto wie.

- Teraz spacerek na Bulwary Inflanckie - oznajmiła Brzytwa, kiedy odniosły puste naczynia. - Tam spróbujemy złapać okazję. Może trafi się jakaś karoca.

Niezwykłe poczucie humoru, szydziła Paloma, równie oryginalne jak torba Brzytwy w kształcie miny. Przewcipancernej albo od krowy.

- Gdzie pojedziemy? - spytała, udając, że środek transportu nie robi na niej wrażenia. W końcu należy do pokolenia loreal. Jest tego warta, czyż nie?

- Osiedle Widok.

- W jakimś konkretnym celu?

- Podziwiać widoki, oczywiście.

Razem z kozą.

- A powrót?

- Zależy od ciebie.

Paloma w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

- Mąż nie będzie zdziwiony, że tyle cię nie ma?

Mąż? Cóż to za określenie. Palomę aż przeszły ciarki.

- Mój mąż - odparła z naciskiem - mój mąż absolutnie mi ufa.

- Ja nie ufam nawet sobie - Brzytwa nie ukrywała podziwu. A może to była ironia, Paloma zupełnie nie może się w tym rozeznać. Niby miło, ale pod

spodem czai się jakaś pinezka. Tym razem Paloma ją zignoruje.

- Ufa mi wystarczająco, by nie zadawać niepotrzebnych pytań. Zresztą w dojrzałym związku nie trzeba stale trzymać się za paluszek. Każde z nas ma swoje sprawy i pasje.

- A miłość?

Oboje wyznają zasadę, że miłość to decyzja. Wolna. Jestem z tobą, bo chcę, nie dlatego, że muszę. Świetnie daję sobie radę sama, lecz wybieram związek. Lojalność, ale bez poświęcenia, jak to ładnie ujęli Janice i Gordon Bayerowie.

- Rozumiem, że nie masz powodów, by urządzać sceny zazdrości.

Na szczęście ma to już za sobą. Teraz ceni kulturalne rozwiązania i sztukę dialogu.

- A kiedyś?

Było inaczej. Ale czy koniecznie trzeba wspominać ognisko?

Tak się przy Patryku czuła. Ciepło, przytulnie, bezpiecznie, a dookoła ciemny, głuchy las. Dlatego bała się oddalić choć na kilka metrów. Ciągle plątała się tuż obok, kurczowo trzymając Patryka za rękaw albo za szlufkę modnych spodni.

- *Mogę odetchnąć?* - pytał niby żartem, delikatnie ją odsuwając.

Odwracała wtedy twarz, by nie dostrzegł przerażenia w jej oczach. Co sobotę paliła świecę, dziękując

Wszystkim Siłom Wszechświata (oraz Świętemu Antoniemu) za spędzony z Patrykiem tydzień. Błagała też o następne, wiedząc, że kiedyś przyjdzie ten ostatni, najgorszy. Raz, chcąc oswoić nieuniknione, wyobraziła sobie rozstanie, ale dopadł ją taki atak duszności, że od tej pory nie wybiegała myślami dalej niż na czterdzieści osiem godzin. Po wakacjach (kończyli właśnie studia) Patryk oświadczył, że musi zainwestować w przyszłość. Czyją, tego nie sprecyzował, natychmiast przedstawiając biznesplan na najbliższe miesiące. Otóż, by zarobić na własną firmę, musi się wykazać w cudzej. A to oznacza częstsze wyjazdy poza miasto. Bo tylko tam

można wcisnąć klientom byle jaki towar.

- Teraz jeszcze chwytają wszystko co kolorowe, ale zaraz się nasycą - tłumaczył Palomie jak dziecku. - Zaczną przebierać, grymasić, żądać jakości.

Dlatego Patryk musi wykorzystać swoje pięć minut i wepchnąć w wygłodniałe gardła prowincjuszy, ile tylko zdoła. Niby to rozumiała, a jednak patrząc, z jakim zapałem Patryk energicznie ładuje do bagażnika golfa tajemnicze pakunki, poczuła, że coś w niej pęka. Przecież mieli spędzić ten weekend razem. Razem! RAZEM!

Po powrocie z trasy Patryk przestał się kontaktować. Kiedy zadzwoniła,

natychmiast odłożył słuchawkę. Podjęła jeszcze siedemdziesiąt trzy próby, na przemian błagając o drugą szansę i grożąc śmiercią. A potem? Woli nie pamiętać. Wiosną (następnego roku) wybrała się wreszcie na terapię. Od której zaczął się żmudny proces zdrowienia. Spotkali się całkiem przypadkiem dopiero zeszłej jesieni na Placu Solnym.

W pierwszym odruchu chciał uciec, ale przyjrząwszy się nowym piersiom Palomy, pokonał lęk. Podjął nawet trud konwersacji. Potem, o dziwo zaprosił ją do swojej willi. Na sobotę. Pojechała, żeby sobie udowodnić, że to już skończone. Kiedy wysiadła z taksówki, Patryk otworzył bramę na

oścież. Wciągnął przy tym brzuch. Jak dawniej na widok nieznanomych dziewczyn, przypomniła sobie Paloma, nie czując ani żalu, ani radości.

- To moje dzieło - wskazał dwupiętrowe straszycło panoszące się na maleńkiej działeczce. - Trzysta metrów, razem z tarasem. Sama łazienka jest wielkości salonu. A salon jak mały basen.

Za to basen wielkości dziecinnej wanienki, pomyślała Paloma, obrzucając współczującym wzrokiem miniaturowy ogródek (o ile trzy ary wygolonego jak rekrut trawnika, z małą wanną na środku zasługuje na tak miłe określenie).

- A oto moi strażnicy - zażartował, pogłodziwszy jednego z trzech gipsowych krasnali w biało-czerwonych szalikach.

Potem było już tylko gorzej. Plastikowe okna i panele. Blaty ze sztucznej żywicy, przeźroczysta wanna z tajemniczego tworzywa (jedyna taka w mieście, jak jej zdradził), wstrętne, ale modne meble z płyty MDF, nieślukące kubki z melaminy i sztywne stylonowe zasłony. Ma to, o czym marzył, podsumowała Paloma, z ulgą stwierdzając, że nic do Patryka nie czuje. Jest wolna!

- Z powodu wnętrza? - zdziwiła się Brzytwa.

- Również - przyznała. - Ludzie powinni się dobierać podobieństwami. Tylko wtedy można liczyć na udany związek. Karoca? - zauważyła nagle.

- Przecież mówiłam.

- Jaka piękna. Jaka błękitna!

- Nazywamy ją arbuzem - odezwał się właściciel pojazdu. - Dzień dobry paniom.

- Cześć chłopaki. To Julian, a to Marlon. - Brzytwa przedstawiła właściciela, potem konia. A może na odwrót? - Jak wam minął dzień?

- Jak to w poniedziałek, pod górkę - odpowiedzieli chłopcy, każdy w swoim języku.

- Ale dacie radę podwieźć dwie znużone królewny?

23/51

- Cała przyjemność po naszej stronie. Ogródki jak zwykle?

Brzytwa otworzyła srebrzysto-błękitne drzwiczki. Pojazd Kopciuszka, pomyślała Paloma, wspinając się po maleńkich stopniach. A jednak najefektowniej wygląda z zewnątrz. W środku jest mniej wygodnie, niż się spodziewała. Zupełnie jak w jej małżeństwie, szepnęła, natychmiast odganiając przykre myśli.

- Czujecie elektrownię? - krzyknął do nich Julian, a może Marlon, kiedy minęli most Kotlarski. - Siara, aż dech zapiera w piersi.

- Na jesieni dopiero dają czadu - przypomniała Brzytwa, nucąc piosenkę z filmu *Hair*. - „Welcome! Sulphur

dioxide. Hello! Carbon monoxide. The air, the air is everywhere. Breath deep, while you sleep, breath deep”.

Co za głos, oceniła Paloma, nie bez zazdrości. Brzytwa urwała nagle.

- Stało się coś?

- Masz niezwykły głos. Taki czarny, a przecież jesteś...

- Błada, nie bójmy się tego słowa. Choć coraz częściej czerwona. Ze wstydu za moich braci z planety Ziemia. Nie będziemy się dziś zamartwiać - orzekła po chwili. - Poniedziałki i bez tego bywają trudne, prawda chłopaki?

- Bywają - przytaknęli - ale nie da się bez nich zacząć tygodnia.

Ciekawy punkt widzenia, przyznała Paloma. Niesie w sobie sporo nadziei. Dlatego zaraz po powrocie do domu Paloma zapisze to zdanie w „księdze drobnych radości”. Zapełniła już trzy grube zeszyty, ale ciągle dodaje nowe cytaty. Wśród nich ulubiony: „nawet najczarniejsza chmura ma srebrne brzegi”. Albo „kiedy już zmokłeś, nie boisz się deszczu”. Ona nadal boi się ulewy, a raczej ciągle liczy na porządny parasol.

- Zaraz ogródki - przypomniała Brzytwa, stukając w sufit arbuza. - Będziemy wysiadać.

- Herbatka u Ilony? - domyślili się chłopcy. - Uściskaj ją od nas

i powiedz, że wpadniemy koło piątku z sianem.

- Tak nazywamy kozę - wyjaśniła Brzytwa, prowadząc Palomę do drewnianego domku na działce. - Rezyduje tu od jesieni, ale bardzo lubi spacerować. Szczególnym sentymentem darzy osiedle Widok. Pewnie mieszkała kiedyś nad rzeką.

- Będziemy spacerować z kozą na smyczy? - oburzyła się Paloma - Co na to ludzie?

- Jeszcze nikt nie domagał się kagańca.

Brzytwa otworzyła skrzypiące drzwi domku. Tuż pod oknem stała pięknie wyczesana koza o brodzie długiej jak u buddyjskich mistrzów zen.

Najpierw przywitała się z Brzytwą, a potem powoli podeszła do Palomy i zaczęła ją trącać po kieszeniach.

- Nie ubodzie - uspokoiła ją Brzytwa. - Lubi poznawać nowych ludzi. Jest bardzo towarzyska. Dlatego wpadam tu, kiedy mogę.

- Skąd ją wytrzasnęliście?

- Zestarzała się, straciła czar i moce przerobowe, więc tak zwany opiekun wyprowadził Ilonę do lasu. Znalazła ją pani Tosia podczas swoich nocnych eskapad. Najpierw obie mała nie dostały zawału. Pani Tosia na widok skołtunionej bestii, a Ilona z powodu diabelskiego ryku.

- Kto się nią opiekuje?

- Najbardziej mój chrzestny. To właśnie jedna z jego zalet. Spędza tu długie godziny. Czyta Ilonie na głos rosyjskie romanse. Zostawił też parę pism kobiecych, Ilona zmieniała je w nawóz. Pierwszorzędny. Musiała się mocno napracować - mruknęła do siebie, wyprowadzając kozę przed ogródek. - To ruszamy. Jeśli się wstydzisz towarzystwa, możesz zostać w obejściu. Wrócimy najdalej za godzinę.

Paloma chętnie by się oburzyła, ale uznała, że to zadanie przekraczające jej zdolności aktorskie. Może podjęłaby się wyzwania w inny dzień tygodnia.

- Wstydzę się, ale spróbuję. Trzeba przełamywać własne słabości.

- Aż się boję myśleć, co trzymasz pod łóżkiem.

- Sypiamy na futonie - poinformowała chłodnym głosem.

- Ja również, choć nazywam go materacem. Ale mój futon leży na wytartej podłodze. Twój zaś, jak sądzę, stanowi ważny element japońskiej sypialni. Pewnie jest tam parawan, rolety z szantungu, bambusowe tatami, tapeta w gałązki wiśni. I oczywiście ikebana. Trafiłam?

Paloma chętnie by zapytała Brzytwy, czy kiedykolwiek była w jej mieszkaniu. Ale uznała, że nie będzie

się kompromitować. Ataki zazdrości ma już dawno za sobą.

- Chcesz poprowadzić? - zaproponowała Brzytwa.

Paloma przejęła smycz, z pewną nieufnością. Nigdy nie miała psa, dziadkowie nie wyrazili zgody. Z powodu zagrożenia bakteryjnego. Nie musieli nawet rozwijać tematu, matka od razu cofnęła zgodę. A teraz...

Wielu jej znajomych kupuje sobie yorka albo shitzu (z najlepszej hodowli), żeby poćwiczyć instynkt opiekuńczy, zanim pojawi się ten właściwy pieszczoł.

- Przedziwny worek treningowy - skomentowała Brzytwa.

- Dlatego ja tak nie chcę. Choć z drugiej strony podobno towarzystwo psa jest bardzo korzystne dla rozwoju dziecka. I jego zdrowia. Ale na razie...

Nad psem musi się zastanowić. Może warto, Norbert ciągle przegląda te zdjęcia.

- A dziecko?

- Oczywiście, że chcemy - umilkła, przypominając sobie kinderbal u Miśków.

Bugenwille oplatające żeliwną pergolę, ocean niezapominajek wokół domu, a w tle kwitnące kasztany. Kinkade miałyby co malować, pomyślała Paloma, z uśmiechem lekkim niczym chiński lampion zawieszony na tarasie. Wszędzie

przechadzali się rozbawieni goście, trzymając w dłoni kolorowe drinki. Sielanka. O szesnastej ogłoszono krojenie urodzinowego tortu. Solenizant, Joszko lat pięć, stanął niczym John Wayne przed wymianą strzałów. Nabrał powietrza, wytrzeszczając przy tym błękitne oczy i dmuchnął! Niestety nieco w bok, gasząc zaledwie trzy świececzki. Wstrząśnięty tym faktem najpierw zastygł niczym Manneken pis, a potem z całych sił walnął głową w tort, obryzgując gości. Kiedy dokonał aktu zniszczenia, runął na podłogę, by tam powrzeszczeć, potupać i powalić piąstkami w nowusieńki parkiet.

- Mamy jeszcze jeden tort -
usiłował uspokoić synka Misiek. -
A nawet dwa. Możesz jeszcze
spróbować. Ja ci chętnie pomogę...

- Nie! I NIE! INIIIEEEEE!

- A gdyby tak urządzić konkurs
gwizdania na palcach. Zawsze go
wygrywasz!

Josko przez chwilę przestał grzmo-
cić w podłogę. Podejmowanie tak waż-
nych decyzji wymaga skupienia.

- To co? Robimy ten konkurs?

- Jak będziesz się gapić -
postraszył babcię - to nic ci nie
powiem!

Babcia natychmiast zasłoniła oczy
dłońmi. Inni goście poszli w jej ślady,
co wykorzystwała Paloma, wymykając

się do altanki, by w spokoju dopić szampana. Tuż obok niej grupka dziewczynek zaczęła się bawić w gani-anego. Najpierw wybrały „ścigacza”, drobnego trzylatka w za dużych ogrodniczkach. „Raz dwa trzy, ścigasz ty”, oznajmiły i ze śmiechem rozprysły się na wszystkie strony. Malec stanął, nie wiedząc, za kim podreptać. Kiedy wreszcie podjął decyzję, kilka dziewczynek podbiegło z tyłu, szczypiąc go w blade ramionka.

- Auć boli - poskarżył się chłopiec. - Chcę do mamy!

- Do mamy? Jakiej mamy? - drażniły się dwie blondyneczki w pastelowych sukienkach.

- *Mojej mamy! - denerwował się mały.*

- *Ale mamy nie ma - wyjawiała najśłodsza z dziewczynek, przebrana za małą baletnicę. - Mama umarła!*

Paloma poczuła, że musi interweniować. Natychmiast.

- *Powiemy mamie, że podkradłaś nam szampana - syknęła baletniczka w odwecie i pobiegnęła na skargę.*

*

- *Chcemy - powtórzyła. - Co najmniej jedno. Ale jeszcze nie teraz.*

- *Odpowiedź godna gwiazdy seriali w piśmie dla gospodyń domowych.*

- *I kto to mówi - odgryzła się Paloma.*

- Przynajmniej nie ściemniam. Zresztą - dodała po chwili - moja siostra Stefania wypełniła plan w dwustu procentach. Piętrowy bliźniak pokryty morelowym tynkiem, altana z grillem, tuje wzdłuż muru, posadzone jak po sznurku, trawnik jak z plastiku, a na środku przydomowa fabryka komarów, czyli oczko. Czysto, schludnie i żadnych kretów. Wszystkie wybite co do sztuki.

- Ale przecież są pod ochroną.

- „Ale przecież trawnik musi równy” - odparła Brzytwa, lukrowanym głósikiem. - Krety nie pasują do morelowego tynku, perukowców i altany z grillem. Jeśli zwierzę to wyłącznie chihuahua. Brzydszy od

kreta, ale ma lepszy PR. Co tam jeszcze? - wróciła do wyliczanki. - Terenowe auto w garażu, kolorowe wódki w lodówce i mnóstwo kapeluszy w szafie. Do kościoła, na wakacje i pod prysznic. A ponadto zaradny i, co ważne, niewidzialny mąż, którego obecność można poznać po wymienionych żarówkach oraz dobrze zakręconych słojach z przetworami. Są też dzieci! - ucieszyła się Brzytwa. - Na razie dwójeczka, ale Stefania pracuje nad trzecim. Chętnie by jakieś adoptowała, bo ma dobre serduszko. Myślała nawet o afrykańskim bobasku, ale nie znalazła żadnego z wystarczająco jasną skórą. A taki zwykły to - Brzytwa pokręciła głową - nie za

bardzo. Niby małe ładne jak wszystko, ale potem wyrasta wielki Murzyn i gdzie go postawisz? W ogródku?

- Ja z moją starszą siostrą prawie nie rozmawiam - zdradziła Paloma. - Aż dziw, że wysłała ten ślubny prezent. Przez chwilę nastąpił przełom, wtedy w kwietniu. Pojednały się, jak miliony innych, przejęte tą wyjątkową chwilą. - A brata... właściwie nie znam. Jest przyrodni - dodała, ścisząc głos.

- Ja też nie znam przyrodniego rodzeństwa. Ojciec tyle tego naklepał, że trudno byłoby...

- Spamiętać imiona? - dokończyła Paloma.

- Z tym akurat no problem. Każde nazywa się Stefan albo Stefania. Po tatusiu. Ja nie - uprzedziła pytanie Palomy - bo mój przydział dostał się siostrze bliźniaczce, Stefanii Kozak-Krassnodębskiej.

- Naprawdę jesteście bliźniaczkami? - ucieszyła się Paloma. - Jednojąłowymi?

- Ojciec robił nas chyba przez guzik - mruknęła Brzytwa, zerkając na Palomę. - Nie rozumiem, czemu ludzie reagują takim entuzjazmem na bliźniaczki. Zwłaszcza jednakowo ubrane.

- Was też tak stroili?

- Aż do liceum. Potem Stefania zaczęła nosić kapelusze. A ja durszlaki.

Żeby odwrócić uwagę od ręki - wyjaśniła.

- Jak to się stało? - spytała Paloma, zdziwiona, że wystarczyło jej odwagi, by poruszać takie tematy.

- Głupi wypadek albo przeznaczenie, jak kto woli. Nikt nie zawinił, a jednak ten i ów poczuł wyrzuty sumienia, co skomplikowało nasze życie rodzinne.

Machnęła dłonią na znak, że to już za nią. Było minęło, nie warto się oglądać.

- Więc naprawdę masz bliźniaczkę - powtórzyła Paloma, nadal poruszona.

- Co w tym fajnego?

- Bo skoro osoby tak do siebie podobne idą osobnymi ścieżkami, to

znaczy że można przerwać ten piekielny krąg.

- Nie chcę cię martwić, ale Stefania kontynuuje rodzinne tradycje.

- Ale ty...

- Freakom więcej uchodzi.

- W naszej firmie bywa z tym różnie. Raczej mają pod górkę - bąknęła Paloma, zastanawiając się, czy powinna rozmawiać o pracy z osobą spoza kręgu. Firmowy trener by tego nie pochwalił. - To znaczy mamy świetny team. Świetnie się dogadujemy, także poza godzinami pracy.

- Zaprosiliście kogoś na wesele?

Paloma zaprzeczyła.

- Ale rozesłałam wszystkim maile -
dodała zaraz.

- Po co?

„Po co?“, „W jakim celu?“, „Dlaczego“ - sama lubiła zadawać takie pytania. Ale kiedy padło z ust Brzytwy, Paloma poczuła zakłopotanie. No właśnie: po co informowała o ślubie swoich biurowych nieznajomych? Żeby się podzielić radosną nowiną? Nie łudźmy się. W ich firmie ludzie nie dzielą się dobrowolnie niczym. Walczą nawet o świeże powietrze, oczywiście zachowując pozory dobrego wychowania. Więc po co?

- Wszyscy tak robią - odparła, wzruszając ramionami na znak, że

w sumie to błahostka. Szkoda rozwijać temat.

- Ach, wszyscy.

- Nie zrobiłam nic złego - burknęła Paloma, najeżona.

- Przecież wcale cię nie oceniam.

„Nie oceniam, nie krytykuję”, więc dlaczego czuje się przy Brzytwie jak własna matka, rozmyślała Paloma, częstując Ilonę wierzbową gałązką. A może nie tylko wtedy? Zaraz zaraz, przecież ostatni terapeuta przekonywał Palomę, że robi ogromne postępy. Pępowina przecięta, blizny prawie nie ma, oznajmił niczym chirurg, wyznaczając pożegnalną wizytę. Więc dlaczego tak reaguje na Brzytwę? Przecież sama chciała tych spotkań.

Jutro kolejne, tym razem w mieszkaniu Brzytwy. Palomę też to zdziwiło.

- U ciebie? Jak to?

- Ma być brzydko. Śnieżyce jakieś - wyjaśniła, odprowadzając zmęczoną Ilonę. - Nie będziemy wydziwiać ze spacerami. Posiedzimy w pokoju. Na futonie. Co to za mina?

- Bo tyle trzeba się namęczyć, żeby cię znaleźć, a teraz dajesz do siebie dostęp, ot tak?

- Nie do siebie, do mieszkania, które mogę zmienić w każdej chwili. Zresztą - zawiesiła głos. - Jak będzie już po wszystkim, nie zechcesz wrócić. Nikt nie chce.

*

Paloma szykowała się do wyjścia, kiedy wpadł Norbert. Prosto od dziadków z Podkarpacia. Wziął prysznic, poprosił, żeby zjedli razem śniadanie. Nawet sam pokroił pieczywo. Był tak miły, że odważyła się zapytać, co z wyjazdem.

- A co ty byś chciała? - spytał, wprowadzając ją w zdziwienie.

- W zasadzie bez znaczenia - bąknęła.

Wszędzie robi to samo. Ranki spędza na sali, ćwicząc pilates, po śniadaniu leżakuje ukryta pod parasolem z filtra 50+. Trochę pływa, ale tak by nie zniszczyć fryzury. Większość dnia poświęca lekturom nowych poradników. Na Rodos przeczytała po raz

pierwszy *Ścieżkę mistrzów*, w Turcji - *Łańcuch szczęścia*, a podczas rejsu Nilem *Towarzyski bezradnik*. Uważa, że to były najbardziej udane wakacje, nawet jeśli zbyt wiele nie zwiedziła.

- Nie wiem, może Costa Adeje? - podsunęła. - Trochę oklepane, za to klimat idealny. I nie ma tylu pijanych Anglików, co w Playa de las Americas.

Brzydkie budki z plastikowymi krzeselkami i widokiem na smutną, pokrytą ciemnym wulkanicznym piaskiem plażę. Betonowa podłoga, lepiące się obrusy z tandetnej ceraty, zbyt głośno puszczonego telewizora. Tłuste, zakolczykowane brzuchy angielskich dziewczyn, ich rechot

przypominający krzyki tamtejszych mew. Ciekawe, że lepiej zapamiętał nieistotne szczegóły niż wyprawę do krateru El Teide. Na szczęście porobił fotki. Ciągle je pstrykał, o co się sprzecjali z Bonsai. Ona nie robiła żadnych zdjęć. Mówiła, że ma archiwum w głowie.

- Albo tu - delikatnie szturchnęła się palcem w mostek.

- Przecież wszystko się z czasem zaciera. Ja przynajmniej mogę przejrzeć slajdy.

- I przeglądasz?

Tylko raz, tuż po powrocie z Karaibów. Chciał się pochwalić przed znajomymi z biura promocji. W odwecie zaprosili go na wielki

pokaz slajdów z ich wyprawy po Ekwadorze. Wtedy zrozumiał, że zdjęcia zbieramy tylko dla siebie.

- Albo dla potomnych - dodał.

- Żeby mogli się pośmiać z obciachowych sukienek babci Wandy albo dorobić Wielką Historię do wąsików pradziadka Stefana.

- Najważniejsze, że ja mogę je przejrzeć. W każdej chwili - podkreślił.

- To już coś - zabrzmiało to jak lekka kpina. - Mówię serio. Mieć wybór - super sprawa. Nawet jeśli to tylko złudzenie.

Złudzenie? Mógłby polemizować. Ale po co?

- W każdej chwili - powtórzył z uporem. -1 mogę sprawdzić, jak było.

Czy naprawdę? Kiedy w piątek przeglądał zdjęcia z Chorwacji i Turcji nie znalazł nic poza ładnymi widoczkami. A przecież tyle się tam wydarzyło.

- Po niedzieli sprawdzę oferty biur - obiecał Palomie, odkładając naczynia do zmywarki. - Teraz muszę skoczyć do firmy, bo wydzwanają od szóstej rano.

Powinna być zadowolona, wreszcie jakiś przełom, a jednak... Paloma miała wrażenie, że Norbert wycofał się na bezpieczne stanowisko, zbywając ją byle czym, jak natręta. Sprawdzą oferty? To przecież nic nie znaczy. Nic, zupełnie. A może niepotrzebnie panikuje. Może Norbert sprawdzi,

znajdzie super ofertę i pojedą? Czy nie lepiej myśleć w ten sposób, zamiast się zamartwiać. Zresztą za chwilę odwiedzi Brzytwę. Co potem? Będą wreszcie żyli spokojnie. Może nawet szczęśliwie, a na pewno inaczej niż teraz.

*

- Otwarte!

Paloma ostrożnie przekroczyła próg.

- Dzień dobry! - krzyknęła, oczekując, że w ten sposób zmotywuje Brzytwę do odegrania roli gospodyni.

- Wchodź, śmiało, śmiało - usłyszała, gdzieś z głębi pokoju. - Do końca korytarza i w prawo. Siedzę na

balkonie! No, nareszcie! – przywitała ją „gospodyni”, otulona w okropny szpitalny koc. – Myślałam, że nigdy tu nie dotrzesz.

– To mój pierwszy raz – zauważyła Paloma, nieco zirytowana.

– Racja, następne są zwykle łatwiejsze. Można jechać z automatu, nie? – zarechotała Brzytwa, opierając boscie stopy o barierkę balkonu. – Siadaj, co tak stoisz.

– Przyjemne miejsce – przyznała Paloma, usadowiwszy się w wiklinowym fotelu. – Zwłaszcza wiosną. Dużo drzew, cisza, spokój. Można by tu siedzieć godzinami.

– Tak właśnie robię.

– Tylko pozazdrościć.

- Zależy.
- Od czego?
- Od kontekstu.

Paloma przypomniała sobie nagle rodzinne zdjęcie zdobiące witrynę w babcinym salonie. Stara, wyblakła już fotka, na której utrwalono jej starszą siostrę Kamę w lnianej sukience, wystrojonych rodziców, eleganckich dziadków. I lato w pełnej krasie. Wszyscy roześmiani poprawiają rozwiane na wietrze świeżo umyte (rodzice) lub wyondulowane (babcia) włosy. Rodzinna sielanka z okazji rubinowych godów. W tym samym czasie ona walczyła w szpitalu o każdy oddech. Wszyscy z pewnością się o nią martwili, ale kiedy w ogródku babci

pojawił się zamówiony na tę ważną uroczystość fotograf, zrobili odpowiednie miny. „Jakie piękne zdjęcie”, mawiali goście.

- A ja go nigdy nie znosiłam - zakończyła opowieść.

Brzytwa wysłuchiwała w skupieniu, przymknęła oczy, nie odzywając się przez kilka minut.

- Twoja rodzina udawała przed obiektywem. Ja niczego nie gram, a jednak nie wiem...

- Czego nie wiesz?

- Czy można mi zazdrościć.

- Chyba wiesz, czy jesteś szczęśliwa, czy nie bardzo.

- Ach, całe to szczęście - Brzytwa wywróciła oczami. - Stanowczo

przereklamowana sprawa. Jak kawior, sztuczne cyce i francuski ruch oporu.

- Ale wszyscy go szukamy, prawda? A kiedy się trafi, wiemy, że to jest to!

- Ja nie wiem, jak ocenię ten dzień za miesiąc. Nie wiem nawet, czy będę go pamiętać. Księżniczka na balkonie swojej samotnej wieży, pomyślała nagle Paloma, obrzucając Brzytwę współczującym wzrokiem. Księżniczka otulona peleryną ze starego koca. Brakuje tylko plastikowego diademu.

- Chcecie pietruszkowej lemoniady, dziewczyny? - odezwał się nagle ktoś z sąsiedniego okna.

- Dawaj - ucieszyła się Brzytwa.

Chwilkę później na balkon wkroczył Beret, z ogromnym kotem przewieszonym przez jedno (bardzo muskułarne) ramię.

- Macie wspólny balkon? - zdziwiła się Paloma.

- Nie tylko - odparł Beret, podając jej napełnioną po brzegi szklanekę.

- Już nie fantazuj - poradziła mu Brzytwa. - Kiedyś to było jedno mieszkanie. Ktoś je rozdzielił i sprzedał.

- Tam taka ścianka - droczył się Beret. - Jakby jej nie było.

- Ale jest - podkreśliła Brzytwa.

- A kot?

- Z interwencji - wyjaśnił i nie pytany przeszedł do opowieści. -

Pojechałem na wezwanie do bójki domowej. Wchodzę, oboje małżonkowie trzeźwi, choć pijani z nienawiści. Zaraz się pozarzynają. Trzeba działać, myślę sobie, zwykłe pouczenie nie wystarczy. „Pan pojedzie z nami” - mówię surowym głosem, żeby widzieli, że to nie przelewki. Na co małżonka w ryk, że „niech zostanie, panie władzo, już będzie spokój. Zresztą nie jego wina”, dodaje zaraz, „to wszystko bez kota”. I wskazuje paluchem przerażoną łaciatą bidę z naderwanym uchem. „Znów zsikał się na buty, nie dziwne, że mężowi nerw puścił. Ale jak go potrząsał”, mówi dalej małżonka, „mnie się też zago-towało”. „Nie wiem, po coś go brała”,

wtrącił się małżonek. „Ciągle miauczy, czegoś się domaga. A to wody, a to jedzenia. I pożycie nam psuje”. Co miałem zrobić? Wziąłem sprawcę domowych awantur na komisariat. Ale przed karną wysyłką do azyłu, pomyślałem, że chuderlaka dokarmię. Niech ma parę radosnych dni, zanim trafi za kratki. I tak jakoś został – zakończył, głaskając z czułością grzbiet olbrzyma.

- Piękny – pochwaliła kota Paloma.

- Duży.

- Na kurczakach z ферmy tak się rozrósł.

- Zenek nie słuchaj. Masz znakomite proporcje – pocieszał kota Beret, jakby to było potrzebne.

- Pańcia cię nie lubi.

- Żadna pańcia, tylko Brzytwa - poprawiła. - Bardzo lubi, bo by miała w nosie, co wyczyniasz z Zenkiem.

- No co! No co! - zjeżył się Beret.

- Wciskasz mu to świństwo z hormonami, choć Zenek woli gotowany bób i kukurydzę.

- Przecież kot jest mięsożerny.

- Kot je mięso, geje noszą różowe koszulki, a Murzyni świetnie tańczą hiphopa.

O przepraszam, Afroamerykanie. Ale nadal roztańczeni.

Zapadła krępująca cisza. Paloma zaczęła się zastanawiać, po co właściwie tu przyszła. Jaki jest tego sens? A przecież, jak przekonywał Horst

Schwartz, każdy dzień, każde zdarzenie, nawet błahe czemuś służy. Więc czemu służy przyglądanie się głupiej sprzeczce między sąsiadami? Będzie musiała to przemyśleć któregoś wieczora. Jak już skończą obdarowywać się z Norbertem rozkoszami, bo w trakcie uczyty stanowczo nie wypada. I nie ma kiedy. Paloma musi pamiętać o tylu detalach. Kiedy wciągnąć brzuch i zsunąć pończochy, jak kusząco oblizać usta albo poprawić loki. Co wyeksponować, a co subtelnie przykryć rąbkiem satynowej pościeli. Ale potem, po wszystkim Paloma lubi sobie porozmyślać, także o sensie życia.

- Zgoda? - odezwał się wreszcie Beret, wysuwając przez okno ogromną łapę. Brzytwa przybiła bez słowa, swoją, niewiele mniejszą.

- I po deszczu - skwitowała, podnosząc się z krzesła. - To co? Zimno, wracamy na salony i bierzemy się do twojej sprawy? Beret, nie przeszkadzaj nam już.

- Nie będziemy - zapewnił, także w imieniu Zenka. - Doleję wam tylko lemoniady, dziewczyny, bo zrobiłem tego z pięć litrów. Matula dała mi pięć pęczków natki i ostrzegła, że jak zmarnuję choć jeden, będzie mnie straszyć po śmierci. Choć jej zdaniem to pewnie też marnowanie. Kombinować z lemoniadami, na

przedwiośniu. I to jeszcze tak fikuśnymi.

- Jakbym słyszała swoją siostrę - odezwała Brzytwa, domknąwszy drzwi balkonowe. - Siadaj.

Zaprosiła Palomę na jedyne krzesło. Sama grzmotnęła się na „futonie”, o ile można tak nazwać zdezelowany siennik. Wnętrze jak z akademika, tuż przed remontem, oceniła szybko Paloma, sącząc lemoniadę. Brzydkie, byle jakie meble (oprócz stolika zrobionego ze starej maszyny singera), zniszczona drewniana podłoga, odrapane przyszarzałe ściany. Od razu przypomniały jej się dawne marzenia o mieszkaniu w stylu zen. Kiedy mieszkała

u matki, wyobrażała sobie, że zrobi klar i pozbędzie się wszystkiego co zbędne. Ubrań, mebli, książek, listów, sprzętu AGD i wszystkich tych zabawek, którymi zapełnia się pustkę. Zostawiłaby tylko to co konieczne. I wreszcie odetchnęłaby pełną piersią. Ale czy mogłaby mieszkać jak Brzytwa? Wykluczone! U mnie panowałby większy porządek, zdecydowała, omiatając wzrokiem zagracone kąty. I nie byłoby tak... po prostu biednie.

- Ruszamy? - odezwała się wreszcie Brzytwa.

Paloma przytaknęła i nagle poczuła suchość w gardle. Jak przed spowiedzią. By nieco oswoić sytuację, zdecydowała się na temat zastępczy.

- Miły ten Beret.

- „Miły” nic dzisiaj nie znaczy - mruknęła Brzytwa. - Podobnie jak „fajny” i „sympatyczny”. Ale nie przeczę, że Beret ma sporo zalet.

- Wydaje się nieskomplikowany.

- Tu byś się zdziwiła.

- Ależ ja nie mam nic do prostych facetów - broniła się Paloma. - Kiedyś nawet z takim byłam.

Prosty kolo. To jest to, stwierdziła, obserwując facetów w osiedlowej siłowni. Tani w utrzymaniu, nieskomplikowany w obsłudze, bez pretensji do świata. Cieszą go zwykłe rzeczy: zimne piwo, wielkie bary (u siebie) albo piersi (u kobiety) i najgłupsze amerykańskie komedie. Bierze od

życia, tyle ile udźwignie. Nie dzieli włosa na czworo i nie robi sztuczek z kolorami. Białe jest białe, czarne - jak skrzydło kruk. Wzdycha po nocach wyłącznie wtedy, gdy przesadzi z salcesonem. No i latem daje dużo cienia. Tego właśnie mi potrzeba, uznała Paloma, z apetytem zerkając na prostego kola, pompującego kaptury tuż obok. Nie musiała długo zerkać; tuż po treningu poszli razem na kawę. Wieczorem wskoczyli do łóżka, a nazajutrz kolo oznajmił, że są parą. Lubię nazywać rzeczy po imieniu, dodał, czochrając ją za grzywkę. I choć właśnie wróciła od najdroższego fryzjera w mieście, nawet nie mrugnęła okiem. Tydzień później

zaprosił Palomę na grilla, a dalej potoczyło się jak z płatka. W ciągu wakacji prosty kolo sprowadził ich związek do trzech stosunków w tygodniu i dużej pizzy gratis. Spóźniał się na wszystkie spotkania, wymyślając niestworzone historie. Nie, nigdy się nie kłócili; kolo uciekał, jak tylko przyłapała go na kłamstwie. Albo robiła nieodpowiednią minę. Na domiar złego serwował jej bez końca te same głupawe miny, wytarte dowcipy, sprawdzone na pornosach pozycje, ten sam zestaw tanich komplementów i żalonych kłamstewek. Po trzech miesiącach wiedziała już, co kolo robi albo powie. I kiedy znowu wykręci jej ten sam durny numer, jak zwykle

zwalając winę na innych. Kiedy nie pojawił się na jej urodzinach, zmieniła numer telefonu. Oraz klub fitness.

- Teraz chodzę wyłącznie do ViP Centrum przy galerii - oznajmiła Paloma. - Nie wpuszczają tam byle młotków. No i oferują bogaty pakiet usług. Bo i siłownia - wyliczyła - i joga, i basen, a nawet trzy rodzaje sauny i znakomite masaże.

- Z laską gratis na zakończenie zabiegu. Idealny zestaw dla zestresowanych. Pod warunkiem, że masz VIP-karnet.

- Z laską to już przesada - oburzyła się Paloma. - Nic takiego nie ma tam miejsca!

- Widocznie bierzesz prysznic z zamkniętymi oczami. I uszami.

Brzytwa wstała rozglądając się po pokoju.

- Czegoś szukasz?

- Kluczy. Beret! - ryknęła tak, że Palomie zapiszczało w bębenkach. - Gdzie moje klucze?

- To te? - Paloma wskazała duży pęk między pudłami.

I ktoś taki ma mi pomóc, parsknęła, ale zaraz przypomniała sobie pierwszą wizytę u ekscentrycznej doktor Schadenfreude.

Zatęchłe mieszkanie w kamienicy niedaleko kina Helios. Ponury wąski korytarz (zapraszam do środka), maleńka kuchnia (nigdy nie gotuję)

i ciemny pokój oklejony brzydką żółtawą tapetą (to mój gabinet), a na środku podniszczony tapczanik (proszę spocząć). Paloma ostrożnie usiadła na samym brzeżku, dyskretnie rozglądając się na boki. I wtedy dostrzegła: stosy książek walające się dosłownie wszędzie. Na podłodze, na meblościance, pod stołem, obok zniszczonego tapczanu. I oczywiście na półkach, usianych tu i tam. Wśród poradników, kilku biografii amerykańskich gwiazd i paru starych książek kucharskich, Paloma wyłuskała mnóstwo romansideł. Wytworne historie Danielle Steel, ckliwe opowiadki Jadwigi Courths-Mahlerowej, pieprzne kawałki Judith

Krantz. I harlekiny. Setki harlekinów z przewagą harlekin desire.

- Czytam je w każdej wolnej chwili - oznajmiła doktor Schadenfreude, nie bez dumy.

Najwyraźniej ma dużo wolnego czasu, uznała Paloma, z niepokojem myśląc o czekającej ją sesji. Ale to właśnie doktor Schadenfreude odmieniła jej życie. Czy raczej zmotywowała do transformacji, pożyczając Największy cud.

- Wcześniej byłam chodzącą kupką nieszczęścia - zdradziła Brzytwie. - Spuchniętą od przesolonych frytek i własnych łez. Pewnej bezsennej nocy przeczytałam, że decyzja należy do

mnie. To ja wybieram, co będzie dalej. Więc wybrałam. Za pięć dwunasta.

Paloma zaczęła od zmiany pościeli. Następnie zmieniała pracę, przechodząc z koncertu X do koncertu XI, który zaoferował jej bardziej korzystne warunki. Paloma uczciła to nową fryzurą i wizytą w gabinecie SPA. Skąd wyfrunęła lekka niczym motyl (dzięki relaksacyjnemu masażowi stóp, łydek i karku). A potem poszło jak po sznurku. W ciągu następnych trzech lat dokonała w swoim życiu prawdziwej rewolucji. Zmieniła miasto, mieszkanie, dietę, rozrywki, styl ubierania, przyjaciół, piersi, a wreszcie mężczyzn. Niekoniecznie w tej kolejności.

- Bardzo bolało? - spytała Brzytwa.

- Tylko przez pierwsze dwa tygodnie.

A jaka radość potem! Bo i było czym się cieszyć. Proteza anatomiczna, zgrabne C, blizny dyskretnie ukryte w dole pachowym. Majster-szytk. Nic dziwnego, że Paloma głaskała piersi, ciągle nie mogąc uwierzyć, że należą do niej. Zapominała się nawet w miejscach publicznych, wpędzając w zakłopotanie osoby towarzyszące. I samą siebie. W końcu co innego gładzić z nudów kieliszek od szampana, a co innego miętosić własny cycek. Nawet tak wspaniale skonstruowany.

- Tylko przez dwa tygodnie - powtórzyła - ale było warto. Polecam.

- Pytałam o inne zmiany.

- Po zmianie pracy i zabiegu - woli tak określać operację - nagle wszystko okazało się takie łatwe. I było. Aż do wesela - westchnęła.

- Dlatego ja sobie darowałam. Zaraz po ślubie pojechaliśmy nad Połtawę.

Po ślubie? Paloma nigdy by nie pomyślała, że Brzytwa ma za sobą takie doświadczenia. Szczęśliwy traf czy długa walka uwieńczona sukcesem? Niestety nie wypada pytać.

- Dawno temu? - zaczęła ostrożnie.

- W prima aprilis. Łudziłam się, że nasze małżeństwo też będzie żartem. Ale nie było. Nigdy nie jest.

Umilkła.

- Ja brałam ślub w Walentynki - odezwała się po chwili Paloma.

- Będą problemy ze znalezieniem wolnego stolika.

- Zawsze rezerwuję kilka dni wcześniej.

- Sprytnie.

- Normalna procedura. Takie okazje wymagają przygotowania.

- Miałam na myśli wybór daty - sprostowała Brzytwa. - Nawet jak się rozstaniecie, on, twój mąż, nie wybierze się z nikim na walentynkową kolację. Za dużo skojarzeń.

- Wolałabym, żebyś używała słowa „mąż”. I dlaczego niby mielibyśmy się rozstawać?

- Nie bierzesz takiej opcji pod uwagę? Żadnego otwartego lufcika?

- Oczywiście, że biorę. Ale nie muszę cały czas o tym myśleć.

To jak z dietą. Jeśli postanawiasz zrzucić pięć kilo, nie kupujesz po kryjomu batonów. To znaczy ona nie kupuje. Taka Margo, na przykład, ma zakitrane w szufladzie z nocną bielizną co najmniej trzy mleczne czekolady pełne orzechów laskowych. Pewnie dlatego nie zrzuciła nawet trzydziestu deka. I ciągle jest sama (z niewielkimi przerwami).

- A ty nie jesteś - odezwała się Brzytwa, posyłając Palomie łobuzerski uśmiech.

Nie jest? To co robi w tej przygnębiającej kamienicy?

- Wcześniej było naprawdę w porządku - szepnęła Paloma.

- Zaczęło się psuć po otwarciu koperty? Puszka Pandory.

- Wtedy dostrzegłam pierwszy niepokojący sygnał. Potem pojawiły się następne. Trzy dni po weselu robiliśmy sobie ślubne zdjęcia. Na Zakrzówku.

- Najbardziej oblegane plenery w mieście - wtrąciła Brzytwa. - Nawet zimą można tam spotkać roznegliżowane panny młode.

Paloma zacisnęła usta. Sądziła, że jej fotografie będą wyjątkowe. Dlatego zgodziła się zejść bardzo stromą ścieżką, bo fotograf przekonywał, że kolor skał świetnie harmonizuje z jej karnacją.

- Staliśmy nad samą wodą, pozując do zdjęcia i nagle ktoś krzyknął: „Stary nie skacz. Życie bywa całkiem piękne. Nawet potem”. Odwróciliśmy głowy. Nurek. Pomachał do mojego męża i odpłynął.

- A on?

- Wieczorem wyjął swoje stare amatorskie płetwy i gapił się na nie jeszcze dłużej niż na zdjęcia z wakacji.

Za to dziś przed śniadaniem stało się coś przedziwnego. Norbert zszedł

w płetwach na dół do osiedlowego śmietnika. Tam je zjął, zostawił obok kosza i wrócił boso.

- Pozbywasz się płetw? - spytała.

- Koniec z amatorszczyzną. Chcę kupić porządny sprzęt. Bez tego nie ma mowy o postępach.

- Ale tak je lubiłeś - dziwiła się Paloma. - Przecież to w nich zaczęłeś się uczyć nurkowania, na Zakrzówku.

- Dopiero w Egipcie.

Ale na Zakrzówku wszystko się zaczęło.

Płynął właśnie rekreacyjną zabką na swoją ulubioną skałkę od ściany południowej. Poczul, że drętwieje mu bark, więc podkręcił tempo, nieco chaotycznie odpychając wodę rękami.

Nagle tuż obok wyrósł ogromny bąbel powietrza. I jeszcze jeden. Gruba ryba obżarta bobem, pomyślał Norbert, usiłując nabrać dystansu. Niestety, nadal miał towarzystwo, o czym świadczyły kolejne bąble. Bób już strawiła, uznał, a jeśli ma ochotę na konkret w postaci ludzkiego uda? Albo wątroby? Zdenerwowany przyśpieszył, robiąc potężny zamach ramionami. W ciągu następnej sekundy znalazł się pod wodą zwinięty w ciasną kulkę bólu. Cholerny skurcz! Krztusząc się, usiłował wypłynąć, jednocześnie rozciągając napięty mięsień. Co okazało się dosyć skomplikowane. Znów nabrał wody, nosem, nagle poczuł zimne macki na plecach. Coś chwyciło go

mocno przez bark i zaczęło holować. Oby do brzegu, pomyślał Norbert, nie spłacił jeszcze rat za RAVq. I wtedy dostrzegł ogon holującego. Długi, pokryty zielonkawymi łuskami. Nie należy do małej syrenki, uznał Norbert i z przerażenia wrzasnął tak głośno, jak chyba nigdy w życiu. Nawet podczas wyrywania mlecznego zęba na wakacjach przed zerówką. Przestał krzyczeć, dopiero gdy znalazł się przy brzegu. Na swojej ulubionej skałce. A potem długo, bardzo długo łapał oddech.

- W górach mielibyśmy już lawinę - mruknął obcy, wdrapując się na sąsiednią skałę. A potem zdjął maskę.

- Jesteś człowiekiem! - ucieszył się Norbert. - Przez chwilę myślałem, że porwał mnie ogromny jaszczur. Ten dziwny ogon i wypustki wzdłuż grzbietu.

- Japońska pianka. Kupiłam na Allegro i testuję.

- Mało nie umarłem ze strachu.

- Nigdy nie podpływam do ludzi. Ale wydawało mi się, że łapie cię skurcz, więc nie mogłam sobie odmówić. Dasz radę z powrotem?

Przytaknęła, więc założyła maskę i znikła pod wodą. Wynurzyła się jeszcze na chwilę, żeby mu z daleka pomachać. Pewnie stałaby się bohaterką sezonowych opowieści przy grillu

Miśków, gdyby nie przypadkowe spotkanie w Egipcie.

*

- I nadal śpi z zamkniętymi oczami - westchnęła. - Nawet nie próbuję już poruszać tematu.

- Nagraj go we śnie i puść mu film po śniadaniu. Może się ocknie - poradził Beret, gramoląc się przez balkon.

Niezły pomysł, ale kiedy Paloma wyobrazi sobie wspólną projekcję.... równie dobrze mogłaby wykrzyzczyć Norbertowi: „co przede mną ukrywasz?!” A tego nie chce. I nie potrafi.

- Nie lubię dociskać ludzi do ściany - wyjaśniła. - Wolę dać im możliwość wyboru.

- Czy był z kimś związany wcześniej? - dopytywał Beret.

- Miał w swoim życiu czas zabawy - przyznała Paloma. - Tuż po trzydziestych urodzinach rozstał się z wieloletnią narzeczoną. I musiał odreagować.

- Na innych - dokończyła Brzytwa.

Paloma uznała, że musi jednak wtrącić parę słów. W końcu chodzi o jej męża. Nie jest ideałem, ale nikogo nie skrzywdził. Nikogo.

- Nie obiecywał żadnej gruszek na wierzbie. Miały wybór, mogły same zdecydować, czy wchodzą w układ, czy

też wolą się wycofać. Na tym chyba polega równouprawnienie.

- Myślałam, że na równym dostępie do frykasów - odgryzła się Brzytwa.

- Wolałabym, żebyśmy się trzymali tematu.

- Więc po rozstaniu twój mąż znalazł sobie nagrodę pocieszenia? A może było ich kilka?

- Już ci mówiłam, że nie lubię tego słowa.

- Ile było tych nagród? - spytała, ignorując prośbę Palomy.

- A jakie to ma znaczenie? - zirytowała się Paloma. - Czy była jedna, cztery czy siedem tysięcy.

- Dla mnie żadne, ale dla ciebie...

- Ja też, że tak powiem, nie wylewałam za kołnierz - odparła Paloma. - Nie wiem, do czego zmierza ta jałowa dyskusja.

- Do prawdy. Po to tu chyba przyszłaś, nie?

Owszem, ale proces drażenia ma się odbyć na jej własnych warunkach. To Paloma wskaże miejsca „odwiertów”, o tym zdecydowała na samym początku. Niestety, sprawy idą nie tak, jak powinny. Zupełnie nie tak, westchnęła, wykonując cowieczorną porcję brzuszków. Przede wszystkim Paloma za bardzo się spina. Jakby brała udział w niezwykle trudnym konkursie. A przecież ma nad Brzytwą miążdzącą przewagę. Wyliczenie

wszystkich różnic trwałoby dłużej niż *We are the champions* Queenu. Dość powiedzieć, że dzieli je przepaść. Więc dlaczego Paloma tak się stresuje? Przez Norberta, syknęła, napinając mięśnie pośladków. Gdyby tylko podjął właściwą decyzję...niestety utknął w ślepej uliczce. Dlatego musi mu pomóc, póki nie jest za późno.

*

- Wołamy i wołamy, a ty nic, jak ściana! - oburzał się Beret.

Spotkali się przed chwilą na Rynku Podgórskim, jak ustaliła wczoraj Brzytwa. Paloma przyszła pięć minut przed czasem (dobre szkolne nawyki), usiadła na jedynej wolnej ławeczce

(resztę zajęli rezydenci o purpurowych nosach) i zatopiła się w lekturze przewodnika *Tydzień dla dwojga - najbardziej romantyczne miejsca Zjednoczonej Europy*.

- Zaczytałam się - wyjaśniła Beretowi, zrywając się z ławki. - A poza tym - zawahała się lekko speszona - naprawdę mam na imię Aneta. Mojej matce bardzo podobało się Paloma, od gołębicy, że niby taka łagodna.

- Łagodność nie jest chyba ich najmocniejszą stroną - odezwała się Brzytwa. - Ale trzeba przyznać, że twoja mama miała intuicję.

- I na intuicji się skończyło - wyjawiała Paloma, zastanawiając się, jaką cechę gołębi Brzytwa ma na

myśli? Wyjątkowe zdolności adaptacji w nieprzyjaznej przestrzeni miejskiej? Przyjemne niektórym uszom gruchanie? Zgrabna sylwetka? Elegancka kolorystyka ubrań? A może pazer... nie będzie myśleć w ten sposób. To tylko imię, którego nie dostała z powodu słabości matki.

- Ksiądz dobrodziej nie wyraził zgody? - domyślił się Beret. - W każdej rodzinie trafia się podobna historia.

- Może by się i zgodził, ale matka nawet nie próbowała. Dziadkowie przekonali ją do Anety. Sami nie cierpieli gołębi, bo „brud, smród i dziadostwo” - zacytowała słowa babci Dusi.

- Skąd Aneta?

- Dziadek uwielbiał Anette Vadim. Znał na pamięć wszystkie jej filmy. Młodzieńcze zauroczenie - Paloma nie kryła niechęci. Myśl, że dziadek mógł darzyć kogoś szczerą sympatią, może nawet podziwem, budziła jej niepokój.

- W mig przekonał matkę, żeby zrezygnowała z Palomy. Więc musiałam się męczyć jako Anetka przez ponad ćwierć wieku.

Dopiero po terapii u panny Schadenfreude postanowiła zmienić imię w urzędzie. Wybrała właśnie Palomę, żeby postawić się dziadkom. Pokazać im, że może decydować sama. Ale kiedy odebrała nowy dowód, babcię pokąsał dotkliwie rak żołądka. Zmarła miesiąc później, nie

dowiedziawszy się strasznej prawdy. Paloma mogła pokazać dowód dziadkowi, ale uznała, że to jak kopanie leżącego. Po śmieci żony dziadek bardzo się postarzał. Zupełnie stracił dawną krzepę. Sprzedał pole, ogród, a cegielnię przekazał chrześniakowi, jedynemu synowi starszego brata. „W końcu razem ją zakładalim” - wyjaśnił matce Palomy - „A ty nie dałabyś se rady. Baba i cyferki to kiepskie połączenie. No nie rycz, będziesz dostawać procenta. Zapisalim to w dokumencie, u notariusza, co słono kosztowało. Powinnaś mi dziękować, a nie chlipać w rękaw”. Baba i cyferki, prychnęła Paloma. Ciekawe, co by powiedział dziadek, widząc jej dyplom

z ekonomii. Tego też mu nie pokazała, nie czuła potrzeby.

- Mi starsi chcieli dać na pierwsze Winnetou. Ale proboszcz ich wyśmiał i teraz jestem Beret. Od świętego Bereta z lasów janowskich, patrona chłopów małorolnych i wiejskich murarzy.

- To może byś machnęła porządną ścianę - podchwyciła Brzytwa, zważo maszerując w stronę kamienicy. - Zamiast atrapy z desek i tataraku.

- Zastanawiam się nad tym już od Dnia Kobiet.

- Po Manifie dostał kocówę - wyjaśniła Palomie. - Bo znowu deptał mi po piętach, robiąc obciach.

- Kocówa to pryszcz - mruknął Beret. - Mam na myśli wieczór.

- Ach tak - ziewnęła Brzytwa. - Oświadczyńny.

- Odrzucone po raz setny.

Po raz setny? Nawet Wendy O'Neal uważa, że pięć razy pod rząd to lekka przesada. „Trafiłaś na psychopatę z Santa Monica, złotko, albo ktoś nie traktuje cię poważnie. Pomyśl o zmianie dzielnicy, zanim znajdą cię w podrabianej torbie Vuittona”.

- Czasem człowiek robi coś z automatu - zaczęła ostrożnie Paloma. Ludzie o tak imponującej muskulaturze mają nadzwyczaj kruche ego. - Powtarza coś wiele razy, nie traktując swoich słów poważnie.

- Coś o tym wiem - westchnął Beret, wygrzebując z plecaka ogromny pęk kluczy. - Moja matula wydzwania do mnie co dwa dni, narzekając, że jej nie odwiedzam. „Jestem samotna, zdana tylko na siebie, po co mi żyć dalej”. Pewnej środy wziąłem wolne i postanowiłem zrobić matuli niespodziankę. Myślicie, że się ucieszyła na mój widok - zawiesił głos - ja też nie wiem, bo mi nie otwarła. Dzwoniłem siedemnaście razy pod rząd, mało nie rozwaliłem domofonu. Wreszcie tyrknąłem na stacjonarny. „Ty, tutaj, o tej porze? Ale ja właśnie mam odmawiać koronkę do siostry Faustyny, potem będziemy z sąsiadką lepić pierogi. A o piątej mam

wieczorek w klubie seniora. Oczywiście możesz wejść, zapraszam, ale ostrzegam, że w lodówce puścisz ciusieńko. Sobie na obiad przyszykowałam schabowego, to wszystko". Wtedy zrozumiałem, że to takie gadanie dla gadania, puszczane jak z automatu. Matula sobie wszystko ułożyła. I dobrze jej samej. Dlatego, jeśli ja coś proponuję, to na poważnie. Niestety, nie wszyscy to rozumieją - dokończył i natychmiast znikł w swoim mieszkaniu.

Bidusia, pomyślała Paloma, patrząc na Brzytwę. Ciągłe łudzi się, że upoluje kogoś lepszego. Upoluje? Osoby jej pokroju nie potrafią nawet porządnie napiąć łuku. A jednak czasem

trafiają w środek tarczy, westchnęła. Nikt nam nie obiecywał, że będzie sprawiedliwie, ale to i tak najlepszy ze światów.

Przynajmniej, jeśli wierzyć Horstowi Schwartzerowi.

- Może pora zmienić zdanie? Nie robimy się coraz młodszy.

Ona, na przykład, trafiła idealnie. Choć, zdaniem Margo, nic by się nie stało, gdyby poczekała ze dwa lata.

- Dwie trójki to jest to - lubiła powtarzać. - Idealna pora na zaręczyny. Człowiek już posmakował świata, nie da sobie wcisnąć w dziób byle czego. A jednocześnie ciągle żyje na luzie, ignorując kalendarz. Ale nie można, Laska, przesadzać, nie można,

bo licznik bije i - Margo zawieszała głos, by nadać opowieści większy dramatyzm - nagle sobie uświadamiasz, że za chwilę minie ci data przydatności do spożycia. Więc ogłaszasz wielką akcję promocyjną. Wyprzedaże, konkursy, loterie fantowe. Połączone z festynami dla zainteresowanych.

Paloma знаła to z obserwacji kuzynek. Po przekroczeniu magicznej granicy (w ich wypadku wieku zwanego chrystusowym) zaczynały się nerwowo rozglądać, starannie upychając panikę po kieszeniach modnych spodni. Po czterdziestych urodzinach wpadły w apatię, twierdząc, że będzie co będzie. Pewnie dlatego do dziś mieszkają razem.

- Mówisz, jakbyś skończyła pięć
dych - zaśmiała się Brzytwa. - A prze-
cież masz dopiero, właśnie... ile lat?
Trzydzieści? Trzydzieści jeden?

Paloma przytaknęła.

- Nie róbże takiej miny. Wyglądasz
na sześć mniej. Jak większość ludzi
z twojej kasty. Dlatego automatycznie
dorzucam co najmniej piątkę. I zwykle
trafiam. Pomyliłam się tylko
z Beretem. Ma dopiero dwadzieścia
dziewięć. Uwierzyłabyś?

- Naprawdę? Wygląda na...

- Kończę trzydzieści pierwszego
czerwca - oznajmił Beret, zza ściany.
Nieco urażonym głosem.

- Nadmiar solarium - wyjaśniła Brzytwa, szeptem scenicznym. - Co robimy?

Paloma wzruszyła ramionami.

- Co uważasz. Ja się dostosuję.

- Pada, więc możemy... - Brzytwa umilkła, uderzając lekko palcem w dolną wargę. - Możemy posiedzieć w chacie i obejrzeć DVD. Mam tu ciekawą serię o rezerwatach północnej Ameryki.

Palcem stopy wcisnęła „play”, przez chwilę mozoliła się z guziczkami telewizorka. Wreszcie udało jej się trafić. Zaśnieżyło, zatrzeszczało, a potem pojawiły się znajome napisy.

- *Seks w wielkim mieście?* - nie dowierzała Paloma. - Ty to oglądasz?

- Najlepszy serial przyrodniczy o plemionach zamieszkujących wyspę Manhattan. Bronisław Malinowski byłby zachwycony ich obyczajami.

- Ale przecież bohaterowie noszą futra, a ty...

- To powszechne wśród ludów pierwotnych. Podobnie jak niezliczona ilość tabu i sztywne rytuały, także dotyczące seksu.

- Seksu? - Paloma ze zdumienia wybałuszyła oczy jak ryba. - Przecież tam każdy kopuluje z każdym. W dowolnie wybranej pozycji.

- Chyba pomyliło ci się z *Modą na sukces* - odezwał się Beret.

- Seksualne luzactwo to pozory - upierała się Brzytwa. - Bohaterki

dokonyują bardzo ścisłej selekcji partnerów. Na ogół jest to zamożny mieszkaniec tej samej wyspy. Biały, muskularny, z doskonałym uzębieniem i obrzezanym napletkiem.

- Miranda miała ciemnoskórego kochanka.

- Ile to trwało? Dwa odcinki?

- A facet ponoć był chodzącym ideałem - wtrącił Beret.

- Zresztą podkreśliłam, że na ogół. Zdarzają się wyjątki.

- W granicach błędu statystycznego.

- Dzięki, Beret. Tak jest. Wyjątki potwierdzające regułę, także dotyczącą rytuałów seksualnych. A więc, żeby doszło do stosunku,

kandydat musi przejść bardzo trudny test. Najpierw wywalczyć odpowiednie miejsce na spożycie posiłku, potem zamówić właściwy zestaw potraw. Wystarczy, że pomyli wino albo zapomni o napiwku - i koniec miłosnej pieśni.

- A nawet jak się uda, to nigdy nie ściągają staników - Beret nie krył rozczarowania.

Brzytwa nigdy ich nie zakłada. Nie ma na co. A Beret i tak za nią szaleje. Sto oświadczyn,

Palomie trafiło się w sumie dziewięć, wliczając deklaracje kolegi z biura reklamy (po szkoleniach w Bi- ałce Tatrzańskiej i trzech herbatach z bimbrem oznajmił, że chciałby mieć

taką żonę. Nazajutrz powtórzył propozycję, padając na kolana, rażony góralskim prądem). Niech będzie siedem, ale od siedmiu różnych mężczyzn, w tym ta najważniejsza propozycja: od Norberta. Nie chodzi o ilość, a o ten właściwy, jakby to ująć, strzał. Beret najwyraźniej nie umie trafić. Choć tak się stara.

- Biedny jest - zwróciła się do Brzytwy, wskazując ściankę działową.

- Biedny? Chciałabym choć w połowie być tak szczęśliwa jak Beret.

To znaczy, że nie jest? Przez mężczyznę czy z innego powodu? Niestety to zbyt intymne pytanie, by je zadać prawie nieznanemu osobie.

- Ale jest sam, wolałby pewnie...

- Wierz mi, spędzamy razem więcej czasu niż niejedna zakochana podobno parka z legalnymi papierami.

Czyżby to był przytyk do jej małżeństwa?

- Niektórzy tych papierów potrzebują - odparła Paloma, starając się ukryć rozdrażnienie. I urazę.

Nagle przyszło jej do głowy pytanie, czemu ona sama zapragnęła formalizacji. Żeby mieć coś pewnego? Wiedziała przecież, że żadne przysięgi nie chronią przed rozstaniem. Już skuteczniejsze jest poczucie winy, pomyślała, wspominając rozterki ojca. Gdyby nie dziadek, wahałby się kolejne lata. Więc po co był jej ten ślub?

Żeby choć na chwilę uwierzyć, że jest dla kogoś najważniejsza?

I najlepsza - przecież wygrała, pokonując inne, może ładniejsze kandydatki. A ponadto pojawiła się miłość. Nie ta mroczna, nie dająca się kontrolować siła, a rodzaj jasnej, czystej radości płynącej z przekonania, że to właściwa osoba.

- Jeśli potrzebują, zapraszam do urzędu. Droga wolna. Niemal dla wszystkich, pomijając parę milionów niewłaściwie zorientowanych.

Może tu tkwi przyczyna, zastanawiała się Paloma, przypominając sobie scenę z Laff. To by wiele tłumaczyło. I równie wiele rozwiązywało. Ale przecież nie spyta Brzytwy, czy

woli dziewczyny (choć bardzo chciałyby znać odpowiedź). Bezpośredniość rodem z talk-showów nie jest w jej stylu. Paloma woli obchodzić temat dookoła. Czasem bardzo szerokim łukiem.

- Skoro tak blisko jesteś z Beretem, mogłabyś przedstawić go rodzicom - zaczęła ostrożnie.

Brzytwa przytaknęła.

- Tylko po co? - odparła, majstrując przy telewizorze, bo znowu zaczęło śnieżyć.

- Jak znoszą twój styl życia?

- Ojciec chyba nie zauważył, że mnie nie ma. Piętro wyżej mieszka moja kopia. A może oryginał. Zależy jak patrzeć.

- A matka?

- Mogło być gorzej. Na szczęście uchodzi za feministkę, więc ogranicza pytania o męża. Etykietka zobowiązuje, nawet w domowych pieleszach.

- Uchodzi, ale nie jest? - drążyła Paloma.

- Trudno ocenić. To długa, bolesna dla niej historia, postaram się maksymalnie streścić - odparła Brzytwa lekko znudzonym tonem. - Otóż moja mama, z domu Matka jako pierwsza w gminie nie przyjęła nazwiska męża, Stefana Kutasa. Ba, zmusiła go, by zrezygnował z własnego. W ten sposób dawny Kutas stał się Matką.

Symboliczna przemiana – skwitowała, pod nosem.

- A co z feministkami?

- Tak naprawdę WGW – Wyzwolone Gospodynie Wiejskie. Od feministek stanowczo się odcinają, ale program w zasadzie ten sam. Więc zarząd WGW uznał Matkę za mega odważną i zaprosił do swojego koła. Ta, choć w domu wyszczekana jak jamnik szorstkowłosa, nie miała odwagi powiedzieć prawdy o Kutasie. Przyjęła zaproszenie. I tak się wczuła w rolę, że gra ją wszędzie do dziś. Bez jednej fałszywej nuty.

- A wydawałoby się, że trzeba być entuzjastą.

- Entuzjastą? - parsknęła Brzytwa.
- Wystarczy święte poczucie obowiązku. I odrobina zdolności aktorskich.

A jednak entuzjazm bardzo pomaga, upierała się Paloma, przypominając sobie chytry plan.

Wracali wtedy z targów w Kijowie. Jedyne ich wspólne wyjazd, z noclegiem niedaleko Horyńca, znalezionym przypadkiem, bo dziewczyny z logistyki znowu zapomniały zarezerwować hotel. Po trzech nieudanych próbach wynajęcia pokoju, trafili wreszcie do drewnianej chałupy na skraju wsi. Przywitało ich dwoje zaskoczonych, ale przyjacielskich staruszków, cztery zaspiane koty

i kilkaset zgłodniałych much. Wieczór spędzili przy samogonie, wspominając stare dobre czasy. To znaczy wspominali gospodarze, a Norbert słuchał. Uważnie jak chyba nigdy dotąd. Rano próbował zapłacić za nocleg, co spotkało się ze szczerym oburzeniem.

- Zjedli tyli co nic - obruszała się gospodyni (po drugim kubku samogonu babcia Jadwisia).

- My radzi, że ktoś zajrzał, bo nawet sąsiadom z naprzeciwka, pani, nie po drodze - zdradził gospodarz, od północy dziadek Henio.

- A dzieci? - zainteresowała się Paloma.

- Wszystkie trzy uciekli. Aż na antypody. Tam siedzą, pani, syte,

zadowolone, ani myślą wracać. Wnuki to i nawet polskiego nie znają. Nigdy tu nie byli. Zresztą po co? Dziwów mają dosyć, bo i kangury, pani, z torbami jak ruskie na targu i krokodyli z paszczą zembatą. Warto jechać tyli kilometry, żeby dwóch dziadków oglądać w starej chałupinie?

Po śniadaniu (chlib, mliko, miód gryczany i kozi twaróg) Paloma zainicjowała proces pożegnania. Poklepując się wzajemnie po ramionach, przez kwadrans obiecywali staruszkom, że kiedyś tu wrócą, a jakże. W przyszłym roku, na wiosnę (z bocianami), jak Bóg da. Paloma sądziła, że to „tłumik” (Miriam Barbitelli określa tak komunikaty mające złagodzić stres

rozstania. Działają niczym gąbka, która tłumi huk zamkniętych na zawsze drzwi). Nie kryła więc zdziwienia, kiedy miesiąc później Norbert zdradził, że z pomocą specjalisty przeczesał drzewo genealogiczne staruszków.

- Krzewinka raczej - przyznał - ale nie szukaliśmy konarów obwieszonych herbami.

- A czego? - spytała.

- Bocznej gałązki, na której mógłbym się zaczepić - zdradził, podekscytowany. - I znalazłem.

Specjalista od drzewek wykrył, że Irenka, siostra babci Jadwisi uciekła tuż po wojnie na ziemię odzyskane.

Przed małżeństwem, do którego zmuszał ją ojciec.

- Opowiadali o tym w nocy - przypomniła Paloma. - Siostra uciekła aż za Wrocław, tam urodziła nieślubne dziecko. A potem ślad po niej zaginął. Ani listu, ani kartki. Cisza.

- Wyemigrowała do Niemiec razem z córką. Wygląda na to, że całkowicie odcięła się od przeszłości. I to jest właśnie ta gałązka - oznajmił, zacieraając dłonie.

Po czym wyjawiał Palomie swój chytry plan. Otóż odwiedzi dziadków jako... cudownie odnaleziony wnuk Irenki. Oni zyskają członka rodziny, on wspaniałą przystań na lato (oraz bazę

wypadową do Lwowa). I każdy będzie happy.

- Zawsze brakowało mi kontaktu z dziadkami. Moi odeszli tak szybko. Zresztą byli... - długo szukał właściwego słowa - nic ciekawego.

- Nie możesz po prostu do nich jeździć, bez całej tej... - nie miała odwagi by użyć słowa „mistyfikacja”.

Przecież dopiero zaczęli się spotykać. Kilka wspólnie spędzonych weekendów nie upoważnia jej do wygłaszania umoralniających sądów. Na tym etapie znajomości mało który mężczyzna znosi krytykę, nawet okraszoną licznymi komplementami.

- Robię to dla nich - odparł. - Ludzie w ich wieku cenią więzy

rodzinne. Będą szczęśliwsi, niż gdyby odwiedzał ich obcy. No i szybciej się do siebie zbliżymy.

Zresztą nikt nikogo nie krzywdzi, przekonywała samą siebie Paloma, wzruszona, że Norbert tak się przed nią obnażył. To niemal równoznaczne z deklaracją: „myślę o tobie poważnie”. Norbert nikogo nie krzywdzi, powtórzyła. Chce uczciwej wymiany. Nocleg za bielenie izby. Posiłki za rąbanie drewna. Serdeczność za serdeczność. To wszystko. A może sprawa rozejdzie się po kościach jak inne? Norbert szybko się nudzi. Zaraz znajdzie sobie inne ekscytujące rozrywki i kto wie, kto wie...

*

Od tamtego czasu upłynęły ponad trzy lata. Norbert odwiedzał nowych dziadków częściej niż groby starych. Wracął z Horyńca równie uszczęśliwiony jak uczeń z zielonej szkoły. Wszystkim znajomym opowiadał ze szczegółami o urokach „wczasów pod gruszą”, wprowadzając w ich firmie nową modę. Nagle połowa jego kumpli zaczęła się przyznawać do dziadków z prowincji. Ale nikt nie przebił Norberta. Zawsze był kreatorem własnej legendy, nawet z wad robiąc intrygujące „znaki szczególne”. Nie popisывał się tylko przed rodzicami. Nie wiedzieli nic o nowej rodzinie. Ale czy

trzeba im się zwierzać ze wszystkiego? Paloma, na przykład, już od dawna nie mówi matce o niczym, co ważne. O ślubie powiadomiła ją dopiero, kiedy wszystko było dopięte na ostatni guzik. Matka i tak znalazła sobie powód do narzekania.

- Że też tatko nie dożył tej chwili - westchnęła, obrzuciwszy salę weselną stroskanym wzrokiem. - Co za szkoda. I strata dla wszystkich.

Paloma miała ochotę szarpnąć ją za ramiona i wykrzyczeć, co o tym myśli! „Jak możesz żałować kogoś, kto tak cię traktował? Lekceważył przy innych i bez przerwy poniżał, wypominając, ile mu zawdzięczasz. A teraz, kiedy wreszcie jesteś wolna i możesz żyć

naprawdę... tęsknisz do klatki? To absurd!" Ale czego oczekiwać od osoby, która wchodząc na przyjęcie, od razu szuka najbardziej wyszczerbionego talerza i pogiętych aluminiowych widelców. A kiedy trafia jej się porcelanowa miseczka albo srebrne sztucce, nie ukrywa przygnębienia. Przecież urodziła się po to, by używać najgorszych naczyń, siadać na kulawych stołkach i spać na niewygodnym, wilgotnym sienniku. Kopciuszek, o którym zapomniała dobra wróżka. Dlatego Paloma automatycznie sięga po to co najlepsze. To znaczy sięgała do niedawna. Doktor Dolores, druga terapeutka wyjaśniła Palomie, że dokonując wyborów przeciwnych

niż matka, nadal jest od niej uzależniona. Żeby wyrwać się z układu (toksycznego, przyznała terapeutka, nie kryjąc współczucia), trzeba wybrać samemu. Nie patrząc na nikogo. Teraz, po trzech latach prób i błędów Paloma wybiera to, co... najlepsze. Nie z powodu matki. Po prostu ceni jakość. Czasem jednak kupuje chiński bubel w Biedronce po to tylko, by sprawdzić, co czuje. I udowodnić samej sobie, że naprawdę jest wolna. Przynajmniej w kwestii zakupów.

- Naprawdę czujesz się uwolniona?
- spytała Brzytwa, zanurzywszy łapę w pudle ze śrubkami.

Wybrały się z rana do sklepu żelaznego. Przechadzając się wśród

półek pełnych nitów, gwoździ i akcesoriów rodem z niemieckiego filmu porno o wąsatych psychopatach, Brzytwa zdradziła, że potrzebuje parę kilo śrubek i porządny krowi łańcuch. Ze dwadzieścia metrów, dodała. Na pytanie Palomy, po co aż tyle, odparła: „Chcemy przykuć uwagę”. Zabrzmiało niczym żart, ale kto ją tam wie.

- A poza tym myślę powiesić kilka półek - wyznała zadowolona. - Ale to już po powrocie.

- Wybierasz się gdzieś?

- Dziś wieczorem.

- Dzisiaj? - przeraziła się Paloma. - Jak to dzisiaj? Przecież obiecałaś, że pojedziesz dopiero jutro po południu.

- Kierownik wycieczki zmienił zdanie. Ale spoko, mamy czas. Prawie siedem godzin.

Paloma jęknęła.

- Jakiś problem?

- Ogromny. Dziś o piątej mamy motywacyjną imprezę firmową. Zaplanowaną już w grudniu.

- „Firmowa impreza”. Brzmi jak sztuczne kwiatki. - Brzytwa umilkła, porównując ze sobą dwa różne łańcuchy. - Rozumiem, że twój urlop nie obejmuje wieczorów.

- Obejmuje, ale jako szefowa powinnam uczestniczyć w eventach. To scala zespół i zachęca do zwiększonego wysiłku.

- Myślałam, że po paru latach przymusowego imprezowania jesteście już nieźle zlepieni.

- Integracja grupy jest procesem - Paloma zacytowała firmowego trenera - wymaga ciągłej pracy.

- I silnej ręki, jak wyrabianie drożdżowego ciasta.

Paloma poczuła, że musi odeprzeć atak. Zgoda, jej praca nie jest idealna (a która bywa), ale nie można pozwolić, by ktoś z zewnątrz z niej szydził. Zanim Palomie udało się odbić piłeczkę, Brzytwa zmieniła temat.

- Słuchaj, jesteś przecież księgową.

- Szefową działu rozliczeń.

- Więc masz spory wpływ na wydatki firmy.

- Raczej na oszczędności - poprawiła.

- Dlatego zamiast wręczyć pracownikom pieniężne premie, wysyłacie ich na przymusowe imprezki, bo od tego nie płaci się podatku?

- W czasach kryzysu musimy zaciskać pasa.

- Ach rozumiem. Namiastka nagrody za prawdziwy wysiłek. Bo firma musi przetrwać. A pracownik? Niech się bawi, do upadłego.

Paloma usiłowała wyjaśnić, ale Brzytwa uniosła dłoń w geście, by jej nie przerywać.

- Wiesz, co śmieszy mnie najbardziej? Że troszcząc się o firmę, sama robisz sobie ziazi. Na ogół

krzywdzimy innych. Nieznajomych z południowej półkuli, brudne dzieci pracujące gdzieś w Azji, czarnuchów z plantacji kawy. A ty załatwiasz samą siebie. Gratulejszyn!

- Nie narzekam!

- Jasne! Jak mogłabyś odstawać od reszty.

- Od jakiej reszty?

Brzytwa sięgnęła do torby po jabłko, odgryzła spory kęs i zaczęła powoli przeżuwać. Jak koza Ilona.

- Kiedyś - zaczęła wreszcie - żyliśmy w klatkach, które narzucali nam inni. Teraz sami je sobie implantujemy od środka. Jak silikon. I jeszcze wmawiamy wszystkim dookoła, że tak

nam wygodnie. Prawdziwe oblicze pokolenia „jestem tego warta”.

Paloma poczuła się dotknięta. Nie po to przyznała się do zabiegu, by teraz wysłuchiwać kąśliwych uwag.

- Ja nie żałuję operacji - odparła zdecydowanym tonem. „Tobie też by się przydała, mogłabyś wreszcie nosić biustonosz”. - Teraz czuję się o wiele bardziej, bardziej...

- Nie myślałaś o tym - przerwała Brzytwa - żeby dołożyć jeszcze jednego cyca? Na plecach albo w okolicy splotu słonecznego.

- Po co?

- Na zapas. Jak lubisz.

- Lubię, ale nie przekraczam pewnych norm - uniosła się Paloma.

- Chodzi o statystyczne? No to muszę cię zmartwić, ale implanty nosi w tym kraju mniej niż pięć procent kobiet i mężczyzn.

- O normy normalne!

- A co to znaczy? Dwie piersi obok siebie czy mogą być po przekątnej? - kpiła Brzytwa. - W kształcie cebuli czy dojrzałego kabaczka?

Paloma uznała, że nie będzie odpowiadać. To poniżej jej poziomu. Zresztą jak mawiają afrykańscy mędrcy: nie kłóć się z błaznem. Obserwatorzy mogą was pomylić.

- Wiesz, czym są dla mnie normy? - podjęła znowu Brzytwa, z pełnymi ustami. - Narzucanie wzorców przez grupę trzymającą władzę. Tylko tyle.

Szkoda, że ich poglądy psują mi konsumpcję owsianki.

- Daleko jedziesz? - Paloma postanowiła zmienić temat.

- Do Włoch, jak się uda. Chcesz się zabrać?

- A mogę?

- Zapytaj swojego szefa, niech ci powie. - Brzytwa złośliwie się uśmiechnęła. - Ja, w każdym razie, zapraszam. Im więcej tym różniej. Tylko nie oczekuj autokaru klasy lux. Nie jedziemy na wczasy.

Cóż za odmiana, pomyślała Paloma. Z goryczą, bo nagle przypomniał jej się Norbert.

- A po powrocie? - naciskała.

Brzytwa powoli dokończyła jabłko. Razem z ogryzkiem. Zjadła nawet ogonek.

- Jestem do usług - odparła wreszcie.

- Kiedy?

- Możliwe że pojutrze. Albo w prima aprilis.

- Nie tak się umawialiśmy! - przypomniała Brzytwie wzburzona.

- Ostrzegłam, że mogę zawalić. Czynniki ludzkie.

Paloma zagryzła usta. Jeszcze chwilę i naprawdę urządzi scenę. Byłoby głupio. Już i tak ściągnęła uwagę sprzedawców, używając słowa „operacja”.

- Powiedz mi - odezwała się nagle Brzytwa, maszerując z żelastwem do kasy. - Czego tak naprawdę chcesz? Bo chyba nie chodzi o głupie dwa tygodnie w rajcu produkcji „Neckermann i spółka”? Więc o co?

Mogłaby wreszcie wypluć wszystko. Wyrzygać Brzytwie swoje żale z całego życia. Ale Paloma tak nie potrafi. Nigdy nie lubiła scen ani awantur. Zresztą od czego miałaby zacząć? Od lat spędzonych u boku skwaszonej matki? Palomie ciernie skóra na myśl, że skończy jak ona.

Najpierw studia wybrane przez dziadka. Rusycystyka, bo po niej łatwo o pracę w szkole, idealną dla

dziewczyny. „Taka nauczycielka to się nie narobi”, powtarzała babcia Dusia. „Wraca se o trzynastej, może się zająć domem. Ima dwa miesiące wolnego. Żyć nie umierać”. Po studiach ślub za namową dziadka, z kandydatem upatrzonym w jego cegielni. Kilka lat względnego spokoju w urządzonym przez dziadków mieszkaniu (babcia Dusia wybrała nawet kolor zasłonek prysznicowych), potem długie miesiące chowania głowy w piasek. Matka nie czuła obcych perfum na swetrze ojca, bo miała właśnie katar. Nie słyszała, jak szepcze przez telefon, bo w telewizji dawali „Koncert życzeń”. Kiedy ojciec pakował walizkę („znowu delegacja, kochanie”), sama

podawała mu wyprasowane na blachę śnieżnobiałe koszule. Kiedy dzwonił z innego miasta, że musi zostać dłużej, z bolesciwym uśmiechem zapewniała, że poczeka. A potem pochlipywała w łazience, zawzięcie szorując drogą wannę sprowadzaną aż z Kolonii. Wreszcie wszystko się wydało, całkiem przypadkiem. Na wieść o innej matka czmychnęła do sypialni, by przepłakać kolejne tygodnie. Złożyła pozew o rozwód dopiero pod naciskiem dziadka, który obawiał się o przyszłość cegielni. „Niby macie rozdzielnosc, ale z takim cwaniaczkiem nic nie wiadomo” - oznajmił, zapominając, że to on wybrał sobie zięcia. „Nic nie wiadomo” - powtórzył,

zapalając peweksowskie marlboro. – „Skoro dałaś mu się tak urządzać, cegielni też nie upilnujesz. Co z tego, że teraz moja? Ja żyć wiecznie nie będę” – mruknął, nieco tym faktem rozczarowany. „Więc rozwód zrobim, koniec i kropka.” Ojciec Palomy nie protestował. Miał już inny, weselszy dom, upragnionego syna i własne drzewko szczęścia. A w dłoni wizę do Niemiec. Nie turystyczną, tylko prawdziwą. Dzięki niej zaczął prawdziwe życie, z dala od rozsłochanej żony i marudnych córek. A matka? Dalej chlipie w pustym mieszkaniu, jeśli akurat nie jest zajęta odkurzaniem. Paloma nie chce tak zmarnować życia, dlatego właśnie odnalazła Brzytwę.

- Czego chcę? - odparła ostro, kiedy już wyszły ze sklepu. - Prawdy. Mam dosyć tego zawieszenia pomiędzy. Tylko nie mów mi, żebym porozmawiała szczerze z mężem! Bo gdybym mogła...

- Nie byłoby cię tutaj - dokończyła Brzytwa, schylając się po jakiś kamyk. - Zresztą cała ta szczerść na ogół służy po to, by dokopać komuś w złości. Ale prawda? Prawda to zupełnie co innego.

Dlatego Paloma postanowiła, że jednak nie będzie czekać. Jest gotowa na ostateczne rozwiązanie już dziś. Co oznacza, że musi odwołać swój udział w imprezie firmowej („sztuczne kwiatki”, też mi porównanie). Jak zwykle

posłuży się Margo, nikt tak jak ona nie potrafi zmyślać. Nawet jeśli przeszarżuje z dramaturgią, inni zdają się wierzyć w każdy detal (możliwe że dzięki językowi ciała, który Margo opanowała do perfekcji już w liceum). Nawet trener, przenikliwy niczym Poirot przymyka swoje sokole na ogół oko. Nie ma co czekać, uznała Paloma, sięgając po komórkę suto zdobioną kryształami od Svarowskiego (kupiona w promocji wraz z powieścią *Dia-mentowa bogini*). Trafiła idealnie, Margo siedziała w Lunchowisku, sama jak palec. I znudzona niczym rudy pers jej ciotki. Paloma wyjaśniła pokrótce, o co chodzi, prosząc o wsparcie.

- Wreszcie coś się dzieje - pisnęła uradowana Margo. - Jakaś akcja! Ratusz mi, Laska, życie. Więc podsumujmy - odchrząknęła - najpierw mam powiedzieć, że jesteś chora. Zapalenie krtani? Dlatego nie dzwonisz. Potem mam odwołać twój udział w imprezce. Zaraz, zaraz, a niby skąd to wszystko wiem, skoro ty nic nie mówisz, Laska?

- Wysłałam ci rano maila, o którym zupełnie zapomniałaś. Z powodu nadmiaru obowiązków.

- Kumam. Więc najpierw łapię się za głowę i mówię, jaka jestem roztrzęsiana! Zupełnie wyleciało mi z głowy, że wysłałaś mail. To przez młyn w pracy. Nowe zlecenia, stare

zaległości, słowem, urwanie głowy - ekscytowała się Margo. - Nic dziwnego, że zapomniałam o mailu Palomy. Choć taki ważny (tu szybko go streszczę). Na koniec dodam, że ubolewasz, bo to twój pierwszy dłuższy urlop od czternastu miesięcy. Nie będą ci tak bardzo zazdrościć wolnego.

- A zazdrościli? - przestraszyła się Paloma. Niby na warsztatach ciągle słyszy zapewnienia o sympatii, ale kto wie, co drzemie w człowieku zajmującym sąsiednie biurko. Wystarczy pikuś, żeby obudzić bestię drzemiącą pod pulowerkiem z angory.

- Padały różne teksty. Najwięcej z ust nadwornego trenera - zdradziła Margo ściszym głosem. - Że kryzys

nie sprzyja leżakowaniu. Że team musi podkreślić tempo. A ty jako szefowa powinnaś dawać dobry przykład. Choć sam dopiero co wrócił z Meksyku.

- Firmowa odmiana syndromu Kalego - wyjaśniła koleżance. - Jemu wolno, innym nie za bardzo.

Musi zatem przedłużyć urlop. Mogłaby załatwić chorobowe, ale tak będzie lepiej wyglądało. Szefowa księgowości zużywa wolne, by się porządnie wykurować.

- Poradzisz sobie? - upewniła się znowu.

- Ja sobie nie poradzę? Ja? - Margo zarżała. - Tak im, Laska, namotam, że jeszcze wyślą ci kwiaty z życzeniami powrotu do zdrowia. Na koszt firmy!

Rozłączyły się, kiedy Paloma podjeżdżała pod swoje strzeżone osiedle. Zapłaciła taksówkarzowi, jak zawsze prosząc o paragon (wrzuci się w koszty), i pobiegła w stronę apartamentowca. Na widok cherlawych krzewinek drżących na wietrze aż ścisnęło ją w gardle.

Dziwne, zawsze mijała je z pewną irytacją, że za gładkie, za zielone, zbyt równo przycięte. Ale teraz poczuła, że będzie jej brakowało każdej rośliny. Nawet trawnika, który wygląda jakby zrobiono go z poliestru. A ich mieszkanie? Urządzali je z Norbertem od Zaduszek. To znaczy najgrubszą pracę wykonał polecony przez Margo dekorator wnętrz (ten sam, który

urządzał salony kapryśnej prezen-
terce *Dzień dobry TVN*). Kosztował
sporo, ale zaprezentował wyjątkową
jakość usług. Znakomicie, orzekli zdu-
mieni, że nie mają nic do dodania. Pa-
loma postawiła tylko parę obrazków
na sekretarzyku z różanego drzewa
(głównie po to, by zaakcentować swoją
obecność), w łazience zaś efektowny
kosz na brudną bieliznę i japoński
parawan obok futonu w sypialni. Za
mało, powtarzała, próbując oswoić
obce na razie meble. A teraz, na myśl,
że miałyby to stracić... niby dlaczego,
rzuciła zadziornie. Przecież nic jeszcze
nie stracone. Po prostu doprowadzi do
ostatecznej konfrontacji. Wyjaśni
sobie z Brzytwą wszystko. A potem?

To zależy, szepnęła przesuając drzwi japońskiej garderoby (ozdobione rysunkami kwitnącej wiśni, które dekorator sprowadził aż z Jokohamy). W razie najgorszego nie będzie zmuszona długo się pakować. Zawsze lubiła mieć mało rzeczy, za to każdą wyjątkową. Żadnych masówek made in China. Nawet trampki pochodzą z designerskiego sklepu w Berlinie. „Drogiego towaru nie pakuje się w zwykły papier” powtórzyła za Wendy O'Neal, pieszcząc dłonią kaszmirowy płaszczyk-kimono od Yammamoto (outlet z poprzedniego sezonu, ale i tak kosztował połowę jej premii). Dwie walizki wystarczą, oceniła Paloma i natychmiast zbeształa samą siebie. Nie

może myśleć w ten sposób, to tylko przyciąga negatywną energię. Pakowania nie będzie, oświadczyła na głos, zapominając o przestrożach Yanskiego (Unikaj „nie“!). Ale w obliczu ostatecznej rozmowy niełatwo spamiętać wszystkie dobre rady. A już stosować się do każdej – nie sposób! Pakowania nie będzie, powtórzyła Paloma, maszerując do kuchni. Przed wyjściem zrobi sobie energetyzujący drink (według przepisu Jima Mo Fan Be), potem chwilę pomedytuje przy kadzidelkach z Kioto (kwiat białej śliwy: „harmonia i odwaga”), odczeka kwadrans, wypije krople z goryczki gorzkawej (wzmacnia optymizm i wiarę w szczęśliwy bieg wydarzeń).

I może jeszcze z posłonka (zmniejsza lęki i pozwala pokonać kryzys). A potem ruszy na spotkanie z przeznaczeniem.

*

Powoli wspinała się po wyślizganych przez czas i ludzi schodach. Na parterze minęła dwie kruche staruszki.

- Ja to już jestem przygotowana - zaskrzypiała ta bardziej przygięta ku ziemi. - Już się nażyłam, napatrzyłam, już mogę pójść.

- Ja bym jeszcze chciała wiedzieć - wtrąciła druga, w beżowym paltociku - co z Taylor Hayze. Żyje czy też naprawdę umarła.

- Po drugiej stronie wszystkiego się dowiemy.

- Też prawda. Co z Taylor i z Darlą także. A niektórych jak Sally Spectra albo Janosik to nawet spotkamy - rozmarzyła się druga. - Żeby tylko nie bolało. Bo reszta to mnie tyle obchodzi. - Drżącą dłonią pokazała figę.

- Ale słyszała pani, co mówią na mieście? - Pierwsza ściszyła głos, przechodząc w sceniczny szept. Jak osoby które chcą zdradzić światu wielką tajemnicę. - Że tu się wraca. I wszystko apiat' od nowa.

- Słyszałam - zmartwiła się druga. - Ale nawet nie chcę o tym myśleć. To by było najgorsze.

Czarnowidztwo, prychnęła Paloma, energicznie pukając do drzwi. Cisza, jak makiem zasiał.

A przecież kiedy się żegnały, Brzytwa obiecała, że poczeka do ósmej. „W razie gdybyś zmieniła zdanie”, rzuciła, z tym swoim uśmieszkiem. Najwyraźniej wyleciało jej z głowy jak... jak inne drobnostki. Może cała ta sprawa wydaje się Brzytwie nic nieznaczącym epizodem, usiłowała pocieszyć się Paloma. To by znaczyło, że i ona nie musi się martwić o przyszłość. Ale podobna argumentacja jakoś nie poprawiła jej humoru. Rozgoryczona zadzwoniła do sąsiednich drzwi. Beret otworzył z pewnym ociąganiem.

- Już wyjechała? - domyśliła się natychmiast.

- Dwie godziny przed czasem. Jestem rozbity na atomy - poskarżył się, zapraszając Palomę do środka.

Odmówiłaby, ale nie miała odwagi zostawiać go w takim stanie. Paul La Tane przekonywał, że to najlepszy sposób, by oczyścić własną aurę. Nie ma bardziej krystalicznej energii od współczucia okazywanego cierpiącym. Współczucia i emocjonalnego wsparcia. Wystarczy uśmiech, chwila uwagi, dobre słowo, przyjazny gest. To wraca, zapewniał Paul, z wielokrotnione. Skoro więc Paloma dysponuje wolnym czasem, dlaczego nie skorzystać z okazji, by odkurzyć własną aurę. Tak

dawno tego nie robiła, zajęta przygotowaniami do ślubu z Norbertem. Więc zrobi to teraz, a przy okazji zasięgnie informacji o Brzytwie.

- Kiedy wróci? Sam chciałbym wiedzieć - westchnął Beret, bezładnie kręcąc się po swojej wyszorowanej na wysoki połysk kuchni. - Lemoniady? Matula znowu mi nawiozła pietruchy jak siana. A potem narzeka, że jadam same korzonki.

- Liście chyba - poprawiła. - Nie rób sobie kłopotu z lemoniadą. Lepiej mi powiedz, co cię martwi - zachęciła, moszcząc się na fotelu.

- Kto - poprawił. - Oczywiście Brzytwa. Nie będę przez nią spał pół

nocy. A tak ją prosiłem, żeby odpuściła sobie tę eskapadę.

- Więc wiesz, dokąd pojechała.

- Wiedziałem, od samego początku.

- Znacząco postukał w ściankę działową. - Zastanawiam się, czy nie wymienić tego dziadostwa na porządny mur i się odciąć od Polki, raz na zawsze.

- Gdzie teraz jest?

- Gramoli się pewnie do TIR-a, razem z dwudziestką zapaleńców. Tylko patrzeć, kiedy ich namierzą kolesie z drogówki. A ci z zachodu bywają ostrzy - Beret przygryzł kubek, aż zgrzytnęło.

- Czemu do TIR-a?

- Chodzi o transporty koni rzeźnych. Tak zwane wycieczki do Włoch w jedną stronę. Pewnie słyszałaś.

Widziała, zupełnie niechcący, w telewizji. I wolałaby zapomnieć. Raz na zawsze.

- Barbarzyństwo - mruknęła.

- Dlatego przez kilka miesięcy zbieraliśmy podpisy pod petycją. Żeby koń przestał być zwierzęciem rzeźnym.

- Udało się?

Pokręcił głową.

- Lobby handlarzy i hodowców koni rzeźnych posmarowało komu trzeba. I ustawa nie przeszła.

- Mają aż takie wtyki?

- Zdziwiłabyś się, dokąd sięgają. I do kogo! - Beret znacząco spojrział w górę. - Ale jakiś koleś w Danii wpadł na pomysł, żeby ustawowo skrócić legalne przewozy do ośmiu godzin. To by zakończyło sprawę.

- Sprytnie - ucieszyła się Paloma.

- Tyle że ustawa znowu utknęła, jak poprzednie. Więc Brzytwa postanowiła nakręcić z kumplami film. Chcą się wytrząść w ciężarówce po to, żeby potrząsnąć sumieniami ludzi. Bez jedzenia, bez picia i bez siku. No chyba że potrafisz się wylać przy innych, na podłogę.

- Jakiś absurd! Nie prościej nakręcić filmu z koźmi?

- Myślisz, że nie próbowali? - irytował się Beret. - Że łatwo zamontować taką ukrytą kamerę? Jedź na targi końskie i sama se zobacz.

- To stamtąd przywiozła bliznę?

- Żeby jedną!

- Po co tak się naraża? Po co to robi?

- Zapytaj ją, jak wróci. Bo ja nie umiem.

*

Tylko kiedy to nastąpi, sierdziła się Paloma. Cholerna Brzytwa. Ucina sobie idiotyczne wycieczki, nie bacząc na nic. Godny ubolewania brak odpowiedzialności za dane komuś słowo. Nic dziwnego, że tacy ludzie wegetują poza mainstreamem. Skoro nie można

na nich liczyć... właśnie wtedy, gdy są najbardziej potrzebni. W małżeństwie Palomy nie dzieje się wprawdzie nic nowego. Pat albo stara bieda, jak nazywali podobny stan jej dziadkowie. „Niby tak sobie, ale chwalić Boga, bez niespodzianek. I prosić wszystkich świętych o jeszcze trochę starej biedy”. Niestety Paloma coraz gorzej ją znosi, mimo porannych afirmacji i mantry powtarzanej wieczorem pod prysznicem. Dlatego rano postanowiła, że powalczy sama, stosując techniki polecane przez wspaniałe małżeństwo Bayerów. Sztuczka numer osiem: „prosty wybór”. Jeżeli twój partner ma problem z podjęciem decyzji, daj mu wybór, zalecała Janice w *Łańcuchu*

szczęścia. Równie łatwy jak przygotowanie hot doga. „Prosty wybór” uratował nas przed niejedną Niepotrzebną Awanturą (NA), wyjawiała. Gordon natychmiast dodał, że są też ANS, czyli Absolutnie Niezbędne Sprzeczki, które działają niczym woda w samochodowej myjni marki Wendy (zabrzmiało jak kryptoreklama, ale Paloma nie będzie się czepiać). Są równie skuteczne. Dokładnie spłukują cały nagromadzony kurz, ożywiając koloryt związku. Ale NA mówimy „nie”, stosując choćby sztuczkę numer osiem.

Jak to wygląda w praktyce, pyta retorycznie Janice. Otóż Gordon ciągle odkłada decyzję o joggingu.

A powinien ćwiczyć, choćby na bieżni. Zwykła żona zameęczałaby go pretensjami, wpędzając w poczucie winy. A Janice? Zaprasza męża do centrum handlowego i w sklepie sportowym pyta: które „wolałbyś buty, honey? Adidasa czy Nike'a?”. „Mój mąż bardzo chce biegać i szuka właściwego sprzętu”, podekscytowana zdradza sprzedawcom (dodatkowy motywator dla Gordona). Nazajutrz Gordon wyrusza na swój pierwszy od dziesięciu lat trening. To działa! – zapewniają oboje. Więc dlaczego Paloma nie ma spróbować?

- Kochanie, co byś wolał – zagaiła, kiedy szykowali się rano

w przestronnej łazience, każde przed swoim lustrem. – Tunezję czy Egipt?

Sharm el Cośćam. Spotkali się na kursie nurkowania. Poznał Bonsai natychmiast, po japońskiej piance. Poczł się wtedy... trudno to precyzyjnie określić. Jakby w obcym, hotelowym pokoju natknął się na polską książkę. Jeszcze nie przeczytaną. Zaskoczony nie usiłował nawiązać bliższego kontaktu. Przyglądał się Bonsai z dystansu, wykonując wszystkie jej polecenia. Trzeciego dnia kursu zjawił się ktoś na zastępstwo. Norbert poczuł irytację. Nie powinni tak zmieniać instruktorów, mruknął do stojącego tuż obok turysty. Po obiedzie odpuścił sobie trening, wolał pokręcić

się między basenami, by namierzyć dziewczynę. Wreszcie się udało, prowadziła właśnie zajęcia aerobiku dla grupki Niemek, doprowadzając dwie z nich niemal do zawału. Umie podwyższyć ciśnienie, skwitował Norbert, śledząc dalsze poczynania instruktorki. Pożegnawszy się z Niemkami, ruszyła do drugiego basenu, by prowadzić krótki, lecz wyczerpujący kurs pływania delfinem. Po zajęciach przemaszerowała do „królestwa SPA”, by obłożyć gorącymi kamieniami kilku chętnych. Jeden z nich, z wyglądu Niemiec, niecierpliwił się już, zerkając na zegarek. Stały klient czy naiwniak, który nie wie, co sobie funduje, zastanawiał się

Norbert. I nagle, przez jedną krótką chwilę, poczuł, że chciałby być na jego miejscu. Nie umiałby wyjaśnić, dlaczego. Była zupełnie nie w jego typie. Zbyt chuda, zbyt kanciasta, wymalowana niczym drag queen. I te ruchy. Przypomina chłopaka, który nieudolnie udaje dziewczynę. Żadnego wdzięku, krzywił się Norbert. A jednak przyciąga wzrok. Jak iskra przeskakująca z polana na polano. Raz tu raz tam. Nawet kiedy stoi, ciągle jest w ruchu. Poprawia grzywkę, gładzi się po kolanie, sprawdza coś w torbie. I nigdy nie wiesz, co za chwilę zrobi. Zawsze niespodzianka. Może na tym polega cały sekret?

Ale najbardziej zaskoczyła Norberta następnej nocy, odstawiając po kolacji show, który na ogół fundują turystom lokalni transwestyci. Przy egipskim disco wykonała taniec brzucha, wprowadzając w ekscytację bawarskich emerytów. W połowie występu doszło do małego zgrzytu. Jeden z pijanych angielskich turystów (opcja all inclusive nie służy każdemu) krzyknął na całe gardło:

- Piękny taniec, słonko, ale podobno masz penisa!

- Marne dwanaście centymetrów - odparowała Bonsai, angielskim równie kanciastym jak jej kolana. - Nie warto nawet wspominać.

Odpowiedź skwitowano brawami i show trwał dalej w najlepsze. Po trzech bisach Bonsai zeszła wreszcie ze sceny, by zrobić miejsce innym komediantom. Boczna alejką przebiegła do budynku dla personelu tuż za restauracją. Kwadrans później pędziła z powrotem, pobrzękując tandetnymi wisiorami. Pewnie będzie animatorką na dyskotece, uznał Norbert, nabierając ochoty na tańce.

- Kobieta pracująca? - zagaił żartobliwym tonem, kiedy go mijala.

- Splacam dlugi - odparla, przystajac na chwile.

- Duze? - odwazyl sie zapytac.

- Cóż, wolność kosztuje - poslala mu krutki usmiech i pobiegla do klubu.

Dopiero dwa dni później, podczas krótkiego spaceru zdradziła mu parę szczegółów ze swojego obecnego życia. O poprzednim nie chciała opowiadać. Było minęło. Powrotów nie będzie.

- To jedna z trzech rzeczy, które zabrałam z tamtego świata. - Lekko klepnęła butle do nurkowania. - Ciężkie, ale pozwalają mi wypłynąć na powierzchnię.

- A reszta?

- Czeka w garażu koleżanki, aż wrócę do siebie.

- Nie masz tu nic poza sprzętem? - zdumiał się Norbert.

- Trzy stroje kąpielowe, dwie letnie sukienki, zapasowe sandały, jakiś

sweter i bagaż podręczny. Sprzęt do nurkowania waży prawie dwadzieścia kilo - dodała, jakby to wszystko wyjaśniało. - Nie chcę płacić w samolocie za zbędne kilogramy.

- Przynajmniej wybrałaś wolność - skwitował. - Też bym tak chciał... czasami.

- Nie wiem, czy to kwestia wyboru - rzuciła, dziwnie mrużąc oczy.

- Długi można spłacać w mniej przyjemnych okolicznościach niż te. - Szerokim gestem wskazał hotelowy ogród. - Dla wielu osób to namiastka raju. Odkładają miesiącami, by spędzić tu chociaż tydzień.

- Nigdy nie twierdziłam, że mi się nie podoba. Zwłaszcza że nie spędzę

tu wieczności - zawadiacko się uśmiechnęła. - Zastępuję koleżankę, która złamała obojczyk.

Chyba trzy koleżanki, pomyślał Norbert. I dwóch dziarskich kolegów.

- A na ogół?

- Zabawiam tych, którzy wolą życie na ziemi - zdradziła. Zaintrygowany poprosił o szczegóły. Skrzywiła się jak roztrzepany uczeń, który musi przepisać całe wypracowanie. Po raz trzeci.

- W sumie to nic wielkiego - zaczęła. - Po prostu wielu zamożnym turystom znudziły się hotelowe atrakcje. Chcą posmakować świata na zewnątrz, a jednocześnie brak im... powiedzmy motywacji, by spróbować

samemu. Zamiast kluczyć własnymi ścieżkami, wolą, by ktoś mądrzejszy, bardziej doświadczony, obyty, słowem bardziej pod każdym względem, wskazał im właściwy kierunek zwiedzania. Trudno się zresztą dziwić. Długie leżakowanie w pięciogwiazdkowym rajku rozleniwi nawet harcmistrza.

- To wyjazd grupowy? - dopytywał, zaciekawiony.

- Można wykupić opcję „one-to-one”. Co kosztuje niemało. O dziwo, cieszy się sporym zainteresowaniem. Niektórzy decydują się nawet na replay, czego zupełnie nie mogę zrozumieć- zażartowała.

- Więc jesteś przewodniczką...

- Po zwykłym świecie, bez efektów specjalnych rodem z TUI. A w przerwach uczę nurkowania. Przy okazji odpoczywam od zgiełku tego świata. Pod wodą człowiek może się wyciszyć jak nigdzie indziej.

- Zwyczajność, brzmi fascynująco - przyznał, wspominając, z jakim apetytem pochłaniał ruskie pierogi u dziadków z Horyńca. Niby toporne, zbyt obficie okraszone topionym masłem. Ale raz na ruski rok... wspaniała odmiana od wzorcowego sushi i wykwiintnej sałatki z rucolą.

- Sam bym chętnie spróbował.

- Zapraszam za miesiąc do Sousse.
Smacznego!

*

W czerwcu leciał już do Tunezji. Nie mógł się przecież wycofać, skoro sam wyraził zainteresowanie. Trzeciego dnia, po wizycie w lokalnej herbaciarni (dookoła wyłącznie autochtoni - z prawdziwymi wąsami - zaskoczeni, ale całkiem sympatyczni) wybrał się z Bonsai poza centrum, by nakarmić bezdomne koty. Norbert oczekiwał sielankowej scenki z kilkoma przymilnymi mruczkami podobnymi do tych, które wałęsają się leniwie po hotelowych ogrodach. Tymczasem otoczyła go chmara nastroszonych chuderlaków z zaropiałymi oczami. Wiele cierpiało na koci katar, kilka

straciło już wzrok. Czy przeżyją lato, zastanawiał się, podrzucając mięso najślabszym kociakom. I dlaczego nikt z tym, do licha, nic nie robi?

- W Polsce mamy przynajmniej fundacje i schroniska - złościł się, rozrywając na kawałki ostatnią bułkę.

- Wiesz, jaka jest śmiertelność schroniskowych kotów? Ponad trzydzieści procent. Mówimy o dobrych azylach, bo są jeszcze tak zwane umieralnie. Poczytaj sobie o Ligocie albo Olkuszu. Chętnie podrzucę ci linki, jak znajdziemy kafejkę. Albo dam namiary do kogoś, kto ci...

- Nie chcę słyszeć ani słowa więcej! - zdenerwował się Norbert.

Był już w schronisku. Raz, i wolałby zapomnieć. Choć, jak go zapewniano, był to niemal pięciogwiazdkowy hotel wśród innych azylów. Ładne boksy, nowe drewniane budy, oddany weterynarz i patronat niemieckiej fundacji. A jednak gdyby mógł, Norbert pozbyłby się tego wspomnienia jak wstrętnej, tłustej plamy.

- Nie rozumiem jednego - ciągnęła Bonsai, niewzruszona. - Najpierw chcecie zobaczyć, jak wygląda świat poza wymuskanymi salonami. A kiedy traficie na brudny kibel, jesteście wstrząśnięci i oburzeni. Może wygodniej było zostać na wersalce?

Nie sprzeczali się już więcej, nie było okazji. Nazajutrz Norbert odebrał

telefon, że musi skrócić urlop, bo szykują się redukcje. Przed wyjazdem zostawił na portierni kopertę dla

Bonsai. W środku dwieście euro ekstra. Za cenną lekcję, jak dopisał na pocztówce z wielbłądem. Był pewien, że więcej się nie spotkają. Nie miał ochoty na replay, tyle zwyczajności mu wystarczy. A jednak zaraz po powrocie do Krakowa zaczął szukać firmy, która zatrudniła Bonsai jako przewodniczkę. W listopadzie już wiedział, dokąd poleci zaraz po Walentynkach. Teneryfa.

- Kochanie, pytałam o coś - usłyszał nagle głos zniecierpliwionej Palomy.

- Ach tak, Tunezja.

- Albo Egipt. Co wolisz?

Nerwowo skubała szorstki brzeg betonowego blatu. Norbert wolałby mozaikę, dekorator oświadczył jednak, że mozaiki są passe już od dwóch sezonów. Teraz króluje beton. Modny, ale nadal niszowy, wyjaśnił, instruując robotników, gdzie mają położyć dodatkową warstwę.

- Żadne nie nadaje się na podróż poślubną - orzekł wreszcie, zdecydowanym tonem. - Klątwa faraona. Mało romantyczne doznanie - dodał, wcierając we włosy modelującą gumę sprowadzoną z eco-shopu w Londynie. Kosztuje tyle co trzy zwykłe, ale nie obciąża środowiska. Ani, co ważniejsze, włosów. - Zresztą Egipt jest oklepany. Wolałbym coś

wyjatkowego. Taka podróż wymaga wyjątkowej scenerii. W końcu trafia się tylko raz. Na ogół.

Na ogół? Zabrzmiało to jak groźba. A może Paloma jest przewrażliwiona? Tak bardzo się zafiksowała na tej podróży, że zupełnie straciła dystans. Zawsze jednak może go odzyskać, robiąc słynny krok w tył, pomysłu Wendy O'Neal. „Jeśli podeszłaś zbyt blisko, złotko, zrób krok w tył, zanim oślepniesz do reszty. Dzień, dwa przerwy i od razu przejrzyj na oczy. Tylko nie siedźbezczywnie, gapiąc się we wzory na tapecie. Zmień punkt widzenia!”

*

Co też Paloma usiłuje wprowadzić w życie już od szesnastu godzin. Czwartkowy wieczór spędziła w multikinie, nudząc się jak mops na amerykańskiej komedii. Po kolacji wyszła do sypialni, by poczytać nowy poradnik. A dzisiejszy ranek poświęciła rozciąganiu mięśni grzbietu. Jedząc z Norbertem śniadanie, ani razu nie wspomniała o wakacjach. Sukces? Pomyśli o tym, jak już odzyska właściwy dystans. Na razie woli się zrelaksować. Ma na to pół godziny, potem zamierza opuścić mieszkanie. Wprawdzie pogoda nie sprzyja spacerom, ale szkoda przesiedzieć cały dzień urlopu na kanapie w salonie. To takie

staroświeckie i świadczy o braku kreatywności. Poza tym, przypomniała sobie nagle, dziś przychodzi pani Ludmiła, która bardzo nie lubi, kiedy podczas sprzątania ktoś depta jej po piętach.

- Kontrol to u nas była za savieta - burczy, zawzięcie polerując hiszpańskie flizy.

Dlatego Paloma woli się ewakuować. Zresztą nawet Wendy O'Neal uważa, że własny salon to najgorsze miejsce na postój. Zwłaszcza kiedy jesteśmy na rozdrożu. „Ja od razu dostaję kręćka. I już nie wiem: rozwieść się czy iść na kolejną terapię małżeńską. Więc kiedy masz zgryza, złotko, po pierwsze rusz pośladki

z własnego tapczanu. Odłóż chipsy, zmień stanik na wonderbra i ruszaj w miasto. Kto wie, może spotkasz nowego księcia?” Na to Paloma nie liczy, woli się spotkać z Beretem. Po ostatniej rozmowie ma poczucie pewnego niedosytu. Chciała porozmawiać o Brzytwie, ale jakoś się nie udało. Może wyjdzie tym razem?

O dziwo, Beret nawet ucieszył się na jej widok. Od razu usadził Palomę w reprezentacyjnym fotelu, proponując coś do jedzenia.

- Mam bardzo dobre koksy - oznajmił, gmerając w lodówce. - Przesyłka od matuli. A poza tym puree z buraczków, przesoloną zapiekankę z fasoli autorstwa mojej babci, z mięsa

parówki sojowe. I trochę styropianu – wskazał wafle ryżowe. A do picia....

- Lemoniada pietruszkowa – zgadła, co nie było trudne. Teraz już zawsze będzie kojarzyć pietruszkę z Beretem.

- Zostało mi z wczoraj parę litrów. Reflektujesz?

Przytaknęła. Nie wypada znowu odmawiać. Nawet osobie, która chlubi się swoją świeżo nabytą na kursach asertywnością.

- Mogę odwdzińczyć się kefirem zero procent.

Właściwie kupiła sobie na kolację, żeby przyrządzić lekkostrawny koktajl z mrożonych truskawek. Ale dlaczego nie ma wypić kefiru z Beretem?

Dzielenie się jedzeniem sprzyja budowaniu więzi, zacytowała za Miriam Barbitelli, starając się nie myśleć, po co ma je budować z kimś, kto za tydzień, dwa będzie tylko wspomnieniem. Nawet nie wie, czy miłym.

- Dzięki - odmówił. - Nie jem nabi-
ału od zeszłego lata.

- Alergia?

- Wolę stare dobre określenie „weganizm”.

- Spożywasz tylko rośliny? - zdzi-
wiła się Paloma.

Zawsze wyobrażała sobie wegan
jako patykowatych chłopców o bladych
twarzach i ogromnych smutnych
oczach. Strzaskany w solarium klocek
z siłowni pasował raczej do

wielgachnego steku z naręczem tłustych frytek polanych tanim keczupem.

- Nie pamiętam, kiedy jadłem frytki - wyjawiał Beret. - A hamburgera bym nie wziął nawet do ręki, tak się brzydę.

- Ale kota karmisz filetami.

- Bo mnie weterynarz opitolił, że robię Zenkowi krzywdę. A jak człowiek chce dla kogoś najlepiej, słucha ekspertów.

Zamiast zaufać własnej intuicji, dokończyła niezadowolona. Tak właśnie, niezadowolona, bo przecież ona już dawno nie słucha samej siebie. Ale czy to źle kierować się radami bardziej oświeconych? Dzięki temu człowiek nie popełnia błędów

własnych. Tylko cudze, pomyślała Paeloma z rosnącą irytacją. Zaraz, zaraz! Musi to przeformułować. Po co używać słowa „błędy”? Kojarzą się z czymś przykrym, wstydliwym, może nawet z grzechem. Lepiej powiedzieć, że korzysta z cudzej wiedzy i doświadczenia.

- Nie widzę nic złego w szukaniu pomocy u specjalistów. Dlatego zatrudniłam Brzytwę.

Beret skwitował to krótkim śmiechem.

- Dużo ci z tego przyszło.

- Przynajmniej nie przepłaciłam - odparła ostro.

- Takie jak ty zawsze mówią, że cena nie gra roli - szydził Beret. Ale

widząc minę Palomy, natychmiast zmiękł. - Posłuchaj rady boleśnie doświadczonego, co dostał kosza sto jeden razy. Umiesz liczyć, licz na siebie.

- Dlaczego ona? - nie wytrzymała Paloma. - Co jest w niej takiego, że nie umiesz odpuścić?

- Bo nie będzie mnie zmuszać do jedzenia schaboszczaków jak inne kobiety. Nie wrzuci mi po kryjomu krowiego gnata do pomidorówki, choćby dlatego, że umie ugotować tylko ziemniaki. A i te zwykle przypala. Zniszczyła mi już cztery garnki.

- A naprawdę? - drążyła.

- Wszystko co powiem, zabrzmiało banalnie.

- Migasz się.

- Może i migam - zgodził się Beret, zupełnie nie stropiony. - A może nie lubię się odsłaniać?

- Przecież nie pytam o nic intymnego.

- To może ty mi zdradzisz, czemu wyszłaś za tego właśnie koleśia? Nie miałaś innych?

Oczywiście że miała. Cały pakiet. Sąsiad z dawnego osiedla w Hucie (zakochany po końce swoich owłosionych uszu), wspaniale umięśniony trener jogi (zaprosił ją na kurs tantry, ale była już zaręczona), kolega z działu reklamy (niepozorny, ale ma piękne zęby), nowy stomatolog Palomy, terapeutka prowadząca warsztaty

asertywności, pan Heniek z radio taxi i wreszcie Norbert.

- Najlepszy z możliwych.

- Postawiłaś na zwycięskiego konia.

Cóż za pospolite sformułowanie, prychnęła. To oczywiste, że wybiera się najbardziej atrakcyjną z ofert. A poza tym z Norbertem świetnie do siebie pasują. Są atrakcyjni (Paloma bardziej), zadbani, cenią podobne rytuały i rozrywki. Mają podobną wizję (wspólnej) przyszłości i co ważne, podobny background; dziadkowie Palomy byli właścicielami cegielni, dziadek Norberta założył pod Wrocławiem prosperującą piekarnię. Wychowani w dobrobycie mogli spocząć na laurach i przejąć rodzinne

interesy. A jednak każde z nich poszło własną drogą, kończąc z wyróżnieniem trudne studia. Paloma wybrała karierę w księgowości, Norbert został specjalistą od PR. Obecnie szefują w dwóch sympatyzujących spółkach, a po pracy cieszą się urokami nowego mieszkania na modnym, strzeżonym osiedlu. I budują lepszy, głębszy związek. Co na razie idzie nieco po grudzie, przyznała niechętnie, wspominając porażkę ze sztuczką numer osiem. Pewne rozwiązania nie sprawdzają się w polskich realiach, mruknęła. Ważne, żeby próbować dalej, nie oddając pola. Im bardziej zacięta walka, tym słodsze zwycięstwo, zacytowała za Yochana Ullu (która w ten sposób motywuje do

diety leniwe, angielskie gwiazdy). Tym słodsze, szepnęła Paloma, przechodząc do ofensywy. Po prawie dwóch dniach przerwy ma chyba prawo wrócić do gry.

W piątkowy wieczór, podczas degustacji sushi z łososiem, zastrzeliła Norberta pytaniem.

- A Goa?

- Jakiego gola? - nie zrozumiał. A może nie chciał. Natychmiast zbestała się za taką podejrzliwość.

- Wyspa. Prosiłeś o coś wyjątkowego - przypomniała, dekorując swoją porcję zielonym kleksem wasabi. - Więc znalazłam.

A ponadto Goa było na jednym ze zdjęć, w które Norbert wpatrywał się

najdłużej. Sprawdziła podpisy w albumie. Turcja, Portugalia, Egipt, Chorwacja, wreszcie kilka pocztówkowych ujęć złocistej plaży na Goa. Ale tego nie może mu wyjawić. Wprawdzie przez ostatnie dwa dni Paloma odzyskała dystans, ale nie chce go znowu stracić. To zbyt męczące i ryzykowne. Mogłaby wpaść w furię i wszcząć pierwszą ich awanturę. A Palomie zupełnie nie o to chodzi. Woli załatwiać problem pokojowo. Jak uważają australijscy szamani: czego nie załatwisz po dobroci, tego nie wywalczysz najszybszym nawet bumerangiem.

- Ach, Goa! Rajska wyspa.

Spędzili tam parę beztroskich dni, uciekając od dusznej atmosfery Puny. Zabawne, że właśnie w Indiach Norbert szukał oczyszczenia i spokoju. Wiedział, że czeka go szokujące spotkanie z nędzą, ale naiwnie wyobrażał sobie, że dzięki temu uwolni się od wszystkiego, co materialne. I może zacznie dobrze sypiać. Bo w Krakowie ma z tym ogromne problemy. Wypróbował już wszystkie najnowsze specyfiki. Skusił się nawet na te kontrowersyjne, ale musiał odstawić – pozostało tylko psychodeliczne wspomnienie. „Proszę wyjechać na kilka tygodni”, poradził Norbertowi terapeuta. „Odpocząć, trochę się wyciszyć. I kto wie, może sen się unormuje.”

Wyciszyć, dobre sobie. Już za lotniskiem przywitał Norberta przerażający hałas. Klaksony, byle jaka muzyka z aut, rozwrzeszczani sprzedawcy. Żeby zasnąć, Norbert wtykał w uszy gąbkowe stopery i nakrywał głowę grubym kocem. Ale i tak zrywał się co godzinę. Także z powodu upału. W mieszkaniu, które Bonsai wynajęła mu na cały miesiąc, nie było sprawnej klimatyzacji. Choć właściciel obiecywał, że „all is perfect and no problem, ma'am”. Zresztą oszukiwano go na każdym kroku. Co rusz ktoś zawyżał mu rachunek lub „zapominał” wydać resztę. A jedzenie? Norbert spodziewał się fuzji egzotycznych

smaków i zapachów, ale nie takiej ilości cukru!

- Nawet cola wydaje się cztery razy bardziej słodka niż ta robiona w Polsce - skarżył się Bonsai. - A placki smażone na starym oleju? Kulinarna katastrofa.

- Po co tu przyjechałeś?

Mógłby powiedzieć prawdę, ale nie chce, żeby Bonsai czuła się w najmniejszym stopniu zobowiązana. To przecież zwykła wycieczka po zwyczajnym świecie.

- Żeby się uwolnić - odparł wreszcie, patrząc jej prosto w oczy.

- Nadbagaż białego człowieka? - łobuzersko się uśmiechnęła.

- Czasem - westchnął - chciałbym żyć zupełnie inaczej... odciąć się od tego całego blichtru, pozbyć się wszystkich nowoczesnych zabawek.

- Na początek spróbuj przejechać trzydziestoletnim maluchem przez cały Kraków. Od Bronowic do Prokocimia, w porze szczytu. A potem wyrzucić służbowy telefon. I zobaczysz.

Po tygodniu pławienia się w błękitnym oceanie (nigdy w życiu nie pływał w tak ciepłej wodzie), wrócili do Puny, gdzie przypomnieli sobie zgiełk, hałas i smród. Tłusta, oblepiająca gardło mieszanina spalin, dymu z tanich papierosów, smażonych ryb, zjełczanego masła i palonej gumy. Kiedy po skończonych wakacjach

Norbert dotarł do swojego mieszkania przy ruchliwych Alejach, nie mógł uwierzyć, że tak tu czysto, rześko i cicho. Może na tym to polega, pomyślał, wciągając w płuca nocne (niemal balsamiczne) powietrze. Trzeba zejść do piekła, żeby na chwilę poczuć ulgę? Tej nocy znowu nie mógł zasnąć, po raz kolejny od powrotu z Egiptu. Przewracał się z boku na bok, przypominając sobie rozstanie.

Czekał właśnie na autokar, który zawiezie go pod samo lotnisko, Bonsai trajkotała coś wesoło. Nie słuchał wpatrzony w jej przykurzone sznurkowe sandały. I stopy. Jeszcze bardziej zapuszczone niż obuwie. Czy mógłby przedstawić kogoś z takimi

piętami na firmowym przyjęciu, irytował się Norbert. Najpierw trzeba by popracować nad wizerunkiem Bon-sai. Musiałby podkreślić to i owo. Dodać kolorów, zmienić opakowanie. Gdyby tylko wiedział, do jakiej szufladki ją przypasować. Że też w ogóle się nad tym zastanawia?

- Czy ty używasz pumeksu? - nie wytrzymał.

- Nie mieści mi się w bagażu podręcznym - odparowała, poważniejąc natychmiast. - Spasuj - rzuciła cichszym głosem. - To tylko wakacje, nic więcej.

Tylko wakacje, no właśnie. Prawdziwe życie jest zupełnie gdzie indziej. Czyli gdzie? Zdenerwowany

rozejrzał się po salonie, zahaczając wzrokiem o Palomę. Ach prawda, ciągle czeka na odpowiedź. Zmusił się do uśmiechu, upił odrobinę śliwkowego wina (znakomicie pasuje do sushi) i oznajmił.

- Goa jest zjawiskowe. Niemal zbyt idealne, ale... - przełknął ślinę. - Wolałbym coś, co będziemy odkrywać razem. Tylko ty i ja, żadnych wspomnień.

Na ogół mężczyźni zapraszali Palomę „do siebie”, częstując kawałkiem świata, który już posmakowali. Ale nie Norbert. Więc dlaczego wcale jej to nie cieszy?

- Będzie trudno. Zwiedziłeś tyle miejsc - odparła, nieco naburmuszona.

- Znajdziemy coś wyjątkowego. Na pewno - obiecał. - Rewelacyjne sushi. Nawet lepsze niż moje popisowe maki.

I po rozmowie. Powinna się cieszyć? Ale właściwie z czego? Że obiecał podjąć poszukiwania? Obiecał też, że po niedzieli sprawdzi oferty biur podróży. Kiedy go zagadnęła, odparł, że był już w dwóch, oferują wyłącznie Egipt. A tam wiadomo: klątwa faraona. Bez smecty i białego ryżu ani rusz. Może pójdziemy do innego biura, chciała zaproponować, ale przypomniały jej się ostrzeżenia Janice i Gordona Bayerów. „Nadmierna kontrola żony sprawia, że najbardziej męski facet czuje się psychicznie wykastrowany. By się dowartościować,

szuka innych kobiet. Tak było i w naszym związku” - przyznała Janice, nie bez skruchy. „Jeśli chcesz uniknąć zdrady, daj mu się wykazać”. „Nie dopytuj, nie kontroluj, nie sprawdzaj” - podchwycił Gordon. - „Niech sam pochwali się tym, co osiągnął. A ty trenuj w zaciszu oklaski, bo będą potrzebne!”. Więc Paloma postanowiła, że odpuści, w tym konkretnym przypadku, co nie znaczy, że w ogóle zrezygnuje z działania. Bezsilność niszczy bardziej niż nierówna walka. Może to tłumaczy wygłupy Brzytwy? Woli łudzić się, że coś robi, niż mieć świadomość, że niczego nie zmieni. Różnica między nimi polega na tym, że Brzytwa usiłuje uzdrowić cały świat,

Paloma zaś ogranicza się do własnego związku. Nie chce uszczęśliwiać innych, zresztą to bezcelowe. Jak bowiem uważa Ho Jii Chien, chiński socjolog i specjalista od feng shui, osiadły w Nowej Zelandii, ilość zła i dobra na ziemi jest taka sama. Nawet jeśli równowaga zostanie zaburzona, z czasem wszystko się stabilizuje. To jak z jin i yang. Jedno wypływa z drugiego. „Nie wierzysz?” – pytał Ho Jii Chien – „Przypomnij sobie ostatnie tsunami. Najpierw wielka katastrofa. Setki zabitych, zniszczone domy, zalane pola. Ale nie mija kilka dni i dochodzi do eksplozji dobra! Zewsząd płynie pomoc, ludzie dzielą się współczuciem i miseczkami ryżu.

W ciągu paru tygodni następuje pełna harmonia". Paloma mogłaby podać przykład z własnego ogródka. Czy raczej z klatki schodowej .

W szóstej klasie, przejęta pogadanką o znieczulicy, postanowiła znaleźć kogoś, komu mogłaby wreszcie pomóc. Matka? Choć bez przerwy popłakuje, nie przyjęłaby wsparcia nawet od świętej Zyty. Paloma nie musiała się długo rozglądać. Zbiegając rano po schodach natknęła się na sąsiadkę z trzeciego piętra. Samotną staruszkę, której nikt nie odwiedzał. To jest to, stwierdziła uradowana, obrzuciwszy czujnym wzrokiem jej siatki z zakupami.

- Bardzo ciężkie? - zagaiła, przystając.

- Ale dodźwigałam - odparła staruszka, nie bez dumy. I nieco zdziwiona. Większość sąsiadów traktowała ją niczym przedwojenny fotel. Zagraca przejście, ale szkoda go wyrzucić na śmietnik, póki jeszcze się trzyma.

- To ostatni raz. Będę robić zakupy za panią. Proszę wypisać mi listę potrzebnych produktów, jutro po szkole dostarczę wszystko - wyrecytowała Paloma, wprawiając staruszkę w stan kompletnego zdumienia.

Nic dziwnego, ich dotychczasowe kontakty kończyły się na zdawkowym „dobry, pani...nowska”. I nagle taka zmiana. Taka zmiana, Boże złoty,

dlaczego? Ale może warto spróbować, zanim się małej odwidzi. W tym wieku łatwo o słomiane zapały, stwierdziła staruszka, zupełnie nie doceniając, z kim ma do czynienia. Przez następne dwa miesiące nie zeszła nawet do piwnicy po ziemniaki. Nie było takiej potrzeby, dziewczynka wyręczała ją we wszystkim. Chodziła za staruszkę do warzywniaka, do piekarni, urzędów, w niedzielę zaś – do kościoła, by ją zastąpić na sumie (swoją mszę dla dzieci odbębniła tuż po Teleranku). Tuż przed świętami pani...nowska nagle zmarła. Odkryła ją Paloma (miała klucze do mieszkania sąsiadki) w wigilijny poranek. Gdy weszła, by zapytać, co z opłatkiem, pani...nowska

siedziała martwa w fotelu, z założonymi rękami i znudzoną miną. Widok nieboszczki nie przeraził Palomy (była już na wielu pożegnaniach zmarłych, towarzysząc babci, wielbiicielce podobnych ceremonii), ale bardzo przygnębił. „To przeze mnie”, powtarzała, płacząc ukryta za ogromną choinką. „Przeze mnie, zanudziła się na śmierć”. Były to najgorsze święta w jej życiu, nie licząc tych, które spędziła po rozstaniu z Patrykiem.

Z tego powodu Paloma już się pochopnie nie angażuje. Zresztą sam Ho Jii Chien przestrzega przed zabawami w superbohatera. „Zanim zaczniesz zbawiać świat, zastanów się,

czy na pewno czynisz dobro? Może tylko przesuwasz zło na inną półkulę?” Nieprzekonanym podrzucił ostatni argument: „Ci którzy uszczęśliwiają tłumy, rzadko uszczęśliwiają siebie. Dlatego zamiast myśleć o innych, zadbaj o własne szczęście, najlepiej zgodnie z zasadami feng shui”, radził mistrz, zachęcając do kupna swojego poradnika *Pięć złotych kaczek* (Paloma nabyła go przez Internet w zeszłym miesiącu i przeczyta, jak tylko skończy *Ścieżkę mistrzów 4*).

Zadbaj o własne szczęście, westchnęła, Bóg jeden wie, jak bardzo się stara. Zdaniem Bereta aż za bardzo.

- Jakbyś chciała pobić nowy rekord świata - oświadczył, kiedy w piątek

rozmawiali o szczęściu. - A tu trzeba wrzucić na luz. Inaczej kłapa na całej linii.

- Spróbuję - obiecała jak pływak, który stara się udobruchać zawiedzionego trenera.

- Czemu się tak wysilasz?

- Nie chcę zmarnować sobie życia - jęknęła. - Jak moja matka. Nie chcę przegrać jak ona!

- Skąd wiesz, że przegrywa.

- Przegrała - poprawiła Paloma, z naciskiem. - Teraz wygląda przez okno i w przerwach między serialami tęskni do własnej młodości.

- Tęsknota bywa piękna - uśmiechnął się, szybując myślami do kobiety z wielkim kokiem.

- A kiedy do niej dzwonię -
ciągnęła Paloma, ignorując
wynurzenia Bereta - i pytam, jak się
czuje, wzdycha i odpowiada: „jeszcze
żyję”. „Jeszcze żyję” - powtórzyła
z rozpaczą. - A nie ma nawet
sześćdziesiątki! Nie chcę tak! Rozu-
miesz, nie chcę!

- To już sporo - odezwał się Beret,
po chwili. - Wiedzieć, czego się nie
chce. A czego chcesz poza tym?

- Chcę wiedzieć, że moje życie mi-
ało sens. Że go nie zmarnowałam jak...
jak ona. - Celowo nie użyła słowa
„moja matka”. Beret mógłby
pomyśleć, że ma obsesję.

- Co ci takiego zrobiła? - A jednak
pomyślał, niech to szlag!

- Mnie nic, zupełnie - tłumaczyła się Paloma. - Po prostu dała się wplątać w całą tę pajęczynę powinności i poczucia winy. Wypada, nie wypada, znowu zrobiłaś źle, znowu nie tak. Jesteś do niczego! Działała jak robot sterowany ręką dziadków, a czasem męża. A kiedy wreszcie uwolniła się od wpływów rodziny, zwyczajnie zgasła. Wiesz, co jest najgorsze? Choć wiecznie udręczona, dziwi się, że nie poszłam jej drogą. Że śmiem walczyć o własne szczęście!

- Moja matula też wyraża zdziwienie - przyznał Beret, otrzepując dzinsy z sierści Zenka. - Kiedyś mnie to wkurzało, ale kumpel z komisariatu zdradził mi super patent. Kazał mi

zliczyć wszystkie dni, które razem spędzimy. Więc wzięłem papier, długopis i którejś nocki, podczas dyżuru wypisałem czarno na białym. Na ogół wpadam do matuli w pierwsze piątki miesiąca i siedzę do poniedziałku. Co daje na rok trzydzieści sześć dni. Matula liczy sześćdziesiąt trzy wiosny. Trochę szwankuje jej pompka. Jesteśmy sercowi - zdradził, stukając się w mostek - ale trzymam się wersji, że pojeździ dwadzieścia latek. Modele przedwojenne, choć trudne w obsłudze, działają dłużej i to na gorszym paliwie. - Usiłował się pocieszyć. - Wróćmy do rachunków. Więc trzydzieści sześć razy dwadzieścia daje w sumie siedemset dwadzieścia dni.

Co oznacza, że spędzę z matulą tylko dwa lata. Jak nie krócej. Kiedy złość mnie bierze na jej kwękanie, wyciągam z szuflady papier, zerkam na wyliczenia i od razu mi przechodzi. Jak ręką odjął.

Gdyby to było takie proste, ech. Niestety nie wszystko da się zredukować do paru wątych cyferek. Weźmy, choćby dziadka Palomy. Na pozór drobniutki, wycofany człowieczek. Gdyby nie ogromne wąsy, byłby zupełnie niewidoczny. Niczym ciało astralne, pomyślała. Mniejszy od niej, a zabierał tyle przestrzeni, nawet po śmierci. Do dziś, kiedy Paloma o nim myśli, wstrzymuje oddech. I nie ma znaczenia, że spotykali się tylko od

święta. Można zetknąć się z kimś raz na rok, a myśleć znacznie dłużej niż... zdenerwowana przełknęła ślinę. Zresztą argumentacja oparta na strachu nigdy nie wydawała się Palomie kusząca. „Ciesz się póki jest, bo zabraknie. Chwytaj, zostało tak mało. Goń króliczka, który wymyka się z klatki”. To zupełnie nie w jej stylu. Więc czemu tak zajadle... (niefortunne określenie, lepiej byłoby użyć słowa „wytrwale”) walczy o Norberta? To proste: chce być szczęśliwa. Nie tylko sama, ale w związku. Dbanie o relację to przecież oznaka dojrzałości. Zresztą wszyscy znani Palomie specjaliści przekonują, że o miłość trzeba dbać. Nawet jeśli na początku jej nie ma...

Odpowiednia pielęgnacja czyni cuda, twierdzą Gordonowie, przechodząc do listy najskuteczniejszych użyźniaczy „miłosnego ogrodu”. Na razie jednak Paloma skorzysta z porad Miriam Barbitelli, dotyczących skutecznej komunikacji małżeńskiej. Tym razem coś cięższego kalibru niż sztuczka numer osiem.

- Dzwonił szef administracji - zaczęła, przygotowując kieliszki do białego wina.

W sobotni wieczór jedzą romantyczną kolację przy świecach. Białe obrus, biała zastawa, białe świece, białe kwiaty. I białe wino. Biel przypomina o tej najważniejszej chwili, w której złożyli przysięgi. Poza tym

powtarzanie pewnych rytuałów wzmacnia więź z partnerem, uważa profesor Miriam.

- Muszę wykorzystać zaległy urlop - oświadczyła Paloma, odczekawszy chwilę (krótkie milczenie przyciąga uwagę lepiej niż podniesiony głos). - Margo również. Tak się zastanawiamy, czy nie wybrać się gdzieś razem.

Żadnych przytyków ani uwag w stylu: „skoro ty nie możesz się zdecydować”. Suche fakty mają większą siłę rażenia.

- Byłyśmy już w Turcji - ciągnęła spokojnym głosem. - Dwa lata temu, blisko Belek. Świetna wycieczka. Znakomite jedzenie, zadbane ogród,

plaża wpisana na listę Blue Flag. Może by to powtórzyć. Jak myślisz?

On też był w Turcji, niedaleko Konakli, ale poza psami niewiele pamięta.

Dokarmiali je zawsze po zachodzie słońca, smakołykami wyniesionymi z restauracyjnej sali. Nie żywili się teraz na mieście. Po eksperymentach z Tunezją i Puną Norbert wykupił opcję rozszerzoną o szczyptę luksusu. W praktyce oznaczało to noclegi w pięciogwiazdkowym hotelu, europejskie śniadania i obiadowokolacje (w formie stołu szwedzkiego czy raczej ośmiu stołów, zważywszy ilość i rodzaj potraw). Po deserze z baklavy, popitym tureckim winem, Bonsai znacząco

trącała swoją okropną torbę, pełną resztek z „pańskiego stołu”. Norbert w odpowiedzi uderzał dłońmi po kieszeniach swoich džinsów. I natychmiast podrywał się z miejsca. Cudownie jest wzbudzać radość i wdzięczność, myślał wtedy, dając od siebie tak niewiele (przy czym wolał nie precyzować, o czyją radość chodzi). Poza tym bardzo lubił psy. Kiedy jednak któryś trącał go nosem w udo, domagając się repety, robił się czujny.

- Nigdy nic nie wiadomo - tłumaczył Bonsai, niepytany. - A ty się nie boisz?

- Mam wprawę - odpowiadała, czochojąc za uszami „Reksia”

(niepokojący miks anatoliana z amstaffem) o gładkiej biszkoptowej sierści.

Raz wrócili do hotelu inną trasą, mijając na zapleczu klatkę pełną królików. Zatrzymało się przy niej wielu zagranicznych turystów. Niektórzy częstowali zwierzątka trawą, kilka kobiet cmokało, splatając w zachwycie upierścienione dłonie.

- Ciekawe, czy dostrzegają jakikolwiek związek między królikami a ich wieczornym menu - odezwała się Bonsai. - Patrz, od wczoraj znikło kilka łaciatych.

Nie skomentował (bo i jak? banalnym: „Taki jest świat?"). Nazajutrz zostawił Bonsai napiwek.

I odjechał do Stambułu. W następną podróż, do Portugalii, wybrał się dopiero po nowym roku.

- Świetny pomysł - odparł wreszcie. - Przynajmniej odpoczniesz.

Od czego, mogłaby zapytać Norberta, ale w porę się powstrzymała. Kłapa, znowu kłapa, ciągle brzęczało jej w głowie. Nie pomogło nawet cytowanie złotych myśli ze *Ścieżki mistrzów* 3 Jima Mo Fan Be. Dzielnie przebrnęła przez kolację, potem wymigując się migreną, znikła w sypialni. Norbert nie spytał nawet, czy jej podać tabletkę. Jak do tego doszło, zastanawiała się Paloma, rytmicznie ściskając gumową piłeczkę - wzmacnia dłonie i pozwala pozbyć się

napięcia, jak orzekł coach w jej poprzedniej firmie. (Pod choinkę wszyscy dostali piłeczki. Zamiast premii, by mieć większą motywację do treningów). Jak to się stało? Przecież kiedyś byli taką udaną parą. Udaną i zgodną. Nie łączyła ich wielka namiętność, ale dobrze wiedzieli, co czują. Po zaręczynach było niemal idealnie. Norbert tak się cieszył, że wszystko im się układa. A ona? Zastanawiała się czasem, co by było, gdyby tamtej wiosny nie poleciała do Rzymu.

Kwiecień 2005 roku. Wszystkie oczy świata zwrócone na Wieczne Miasto. Kto może, jedzie złożyć ostateczne pożegnanie. Paloma trochę się waha. Tuż przed oczekiwanym

awansiem nie wypada wyskakiwać z podobnymi ekstrawagancjami. Trzeciego rano nagle dzwoni telefon. Siostra, z którą nie widziały się od dekady. Padają słowa pojednania i prośba. „Przyjedź, musimy wreszcie pogadać”. Podczas szkoleń Paloma podejmuje spontaniczną decyzję. W jednej magicznej chwili prosi o trzy dni urlopu. Na sali robi się cicho, jak makiem zasiał. Prezes, czarna legenda firmy po raz pierwszy okazuje ludzką twarz: „Jedź, Anetko, pokłoń się i ode mnie”. W Balicach Paloma wskakuje na stopnie autobusu wiozącego pasażerów do samolotu. Przeciska się przez tłum i nagle olśnienie. Iluminacja. Mężczyzna. Wysoki. Przystojny.

Krótkie blond włosy ujarzmione modelującym żelem. A jak pachnie! Żaden cytrusowy banan z Sephory, tylko niszowiec dostępny jedynie w ekskluzywnych drogeriach. Paloma potrafi rozpoznać unikat w mig, sama nie nosi innych. Nagle męczyzna zerka na jej twarz, z wyraźnym zainteresowaniem. Staje tuż obok, lekko się uśmiechając. Paloma wysiada pierwsza. Kiedy niechcący muska rękaw jego kurtki, przeskakuje iskra. W samolocie nieznajomy zajmuje fotel w rzędzie tuż przy wyjściu awaryjnym (zawsze lubił rozprostować nogi). Paloma również, po przeciwnej stronie. Ciągle omiatają się wzrokiem, ale żadne nie zaczyna rozmowy. Czasem

nie potrzeba słów, by wiedzieć...
przeczuwać... Na lotnisku żegnają się
uśmiechami. Każde idzie w swoją
stronę. Wszystko przepadło, myśli
wtedy Paloma i natychmiast rusza na
spotkanie z siostrą (obiecały sobie
przez telefon, że będą czuwać razem).
Sto kroków od stacji metra Ottaviano
staje jak wbita w ziemię. Mężczyzna
z samolotu. On też jest zaskoczony!
Ale wyraźnie cieszy się na jej widok.
Wtedy odzywa się po raz pierwszy.
Spędzają ten szczególny czas we
trójkę, razem z jej siostrą. Są i łzy,
i dziwna magia, i cicha radość ze
spotkania. A dookoła morze wzruszo-
nych pielgrzymów.

*

Już wtedy czuli, że zdarzyło się między nimi coś szczególnego. Ale po powrocie z Wiecznego Miasta nie afiszowali się swoją znajomością; Norbert pracował w konkurencyjnej firmie. Podobne związki nie są mile widziane zwłaszcza jeśli dotyczą specjalistów, którzy dysponują danymi. By nie prowokować plotek, Norbert nigdy nie dzwonił do biura Palomy, nie pisał namiętnych maili na służbowe konto (właściwie rzadko pisał), nie wysyłał nawet frywolnych smsów, jak inni zakochani. Wpadał do mieszkania Palomy w niektóre weekendy, z butelką białego wina (oraz szczoteczką do

zębów i zapasową bielizną). Zostawał do niedzieli wieczór. W tygodniu prawie się nie widywali. Spotkania na mieście były zbyt ryzykowne. Zresztą oboje mieli tyle pracy. Ale każdy spędzony razem weekend uświadamiał im, jak bardzo do siebie pasują. Podobny gust, podobny smak (w kwestii potraw Paloma zdała się na sugestie Norberta), podobna przeszłość. I prognozy na przyszłość, czemu zatem nie spędzić jej razem, pomyślała kiedyś, szykując kolację. Uznała jednak, że nie będzie przyśpieszać biegu wydarzeń. Na razie są wolni, choć łączy ich szczególna więź.

Wczesną jesienią doszło do fuzji ich koncernów. Wtedy pojechali razem

w podróż służbową, na Ukrainę. W drodze powrotnej znaleźli nocleg u staruszków niedaleko Horyńca. Kiedy w listopadzie Norbert zwierzył się Palomie ze swojego planu „adopcyjnego”, poczuła się... wyróżniona. Będzie dobrze, pomyślała wtedy z nadzieją. Tydzień później Norbert dostał propozycję awansu, w innym oddziale i na drugim krańcu Krakowa. Na szczęście nie u konkurencji (myśl o ponownej konspiracji wydała się Palomie przykra), ale nowe stanowisko wiązało się z licznymi podróżami. Rosja, Hawaje, Egipt, Portugalia, Teryfa. Z tego powodu ich kontakty znowu się rozluźniły. Paloma poczuła się na tyle wolna, by rozglądać się za

innymi ofertami. Właśnie wtedy dostrzegła Fiotronia. Potem kilku innych kolegów. I nagle, ostatniej jesieni, Norbert jej się oświadczył.

Czy była zaskoczona? Raczej odetchnęła z ulgą, że już się wyjaśniło. Wreszcie wie, w co warto zainwestować. Czy na pewno? Całe szczęście, że nie sprzedała swojego mieszkania w Hucie. I że mają rozdzielność (to teraz bardzo modne). W razie rozstania ma gdzie wrócić, a jednak wcale tego nie chce. Wcale a wcale. Nie chodzi już o poniesione koszty, zawiedzioną nadzieję, ani nawet o czas, który mogłaby spożytkować inaczej. Po prostu Paloma nie wyobraża sobie nikogo na miejscu Norberta. Spotyka

w firmie mężczyzn bardziej efektywnych, dowcipniejszych, bardziej przystojnych albo finansowo zaradnych. Ale żaden nie ma wymaganych cech we właściwej proporcji. Żaden nie pasuje do Palomy tak jak jej mąż. Dlatego postanowiła walczyć dalej. Tym razem korzystając z bogatego doświadczenia Wendy O'Neal. „Postaw na język ciała” radzi Wendy w *Bezkrwawych łowach*. „Mężczyzna to wzrokowiec, nie lubi słuchać, nawet własnego szefa. Dlatego zamiast męczyć go szczebiotaniem, uruchom inne kanały porozumienia”. Język ciała, powtórzyła Paloma, ale w odpowiedniej oprawie. Satynowa pościel, czerwone świece, gorset

z winylu, siatkowe pończochy i podwiązki. Na wymuskanych stopach niebotyczne szpilki, koniecznie w kolorze dojrzałych poziomek. „Połowa Amerykanów fantazjuje o gorącym kociaku w czerwonych szpilkach” – przekonywała Wendy, zdradzając, że nawet pod prysznicem nie rezygnuje z wysokich obcasów. „Niebezpieczne? Czym byłby świat bez odrobiny ryzyka, złotko? Zresztą dziewczyna musi się czasem poświęcić.” Więc szpilki, wypróbowane na kilku ważnych randkach. Ale poza domem. Paloma jeszcze nie testowała ich w łóżku. A jeśli uszkodzi pościel? Nie czas żałować róż, odparła natychmiast, wygładzając satynowe prześcieradło.

W niedzielny wieczór zaatakowała zmysły Norberta, kiedy przeglądał pismo o modnych rezydencjach Zachodniej Europy. Nie dał się długo kusić. Przez następną godzinę wymienili się zdobytym w poprzednich związkach doświadczeniem i ułańską fantazją.

- Trzęsienie ziemi - pochwalił Norbert, już po wszystkim. - Myślałem, że mi pęknie serce.

Znakomicie, teraz idź za ciosem, podpowiadała Wendy.

- Moglibyśmy to powtórzyć - szepnęła Paloma, delikatnie sunąc obcasem po jego spoconym udzie. - W hotelowym pokoju. Albo na plaży.

- Byłoby miło - odparł, ziewając.
Minutę później już chrapał.

*

Nazajutrz Paloma usiłowała nawiązać do poprzedniego wieczora. Niestety Norbert był zajęty nawiązywaniem krawata (wymagany podczas poniedziałkowej odprawy z udziałem bossów wszystkich pionów). Cmoknęła ją w policzek, prosząc by nie czekała, po pracy chce zajrzeć do klubu fitness.

- Muszę się odprężyć na siłowni - wyjaśnił. I pobiegł, zanim zdążyła zaoferować bardziej atrakcyjne sposoby relaksowania. We dwoje.

Cóż, skoro nie udaje im się porozumieć w czterech ścianach własnego

domu, musi zmienić miejsce negocjacji, zdecydowała. Tak by poradzili Janice i Gordon Bayerowie. „W nowym, przyjemnym otoczeniu dojdziecie do porozumienia. Zwłaszcza jeśli zapomnisz bielizny”. Paloma chętnie by sprawdziła, ale marcowa pogoda nie sprzyja podobnym zabawom. Jeszcze nabawi się zapalenia pęcherza i nie ruszy się nigdzie przez następne dwa tygodnie. Postawi zatem na oszłamiające menu i prezent niespodziankę. Najpierw rezerwacja lokalu. Nowa Prowansja, zdecydowała, kręcąc się w poniedziałkowe przedpołudnie po Starym Podgórzu. Tam jeszcze nie byli. Miśkowie również, więc Paloma będzie mogła się pochwalić na

przyjęciu, zyskując parę sekund uwagi znajomych. „Nowa Prowansja? Ach, byliśmy niedawno”, rzuci od niechcenia, pogryzając razowe paluszki, „ceny przystępne, serwują kuchnię fusion. Polecam zwłaszcza znakomity krem ze szparagów”.

- Podajemy dopiero w czerwcu - oznajmiła kelnerka głosem zmrożonym bardziej niż szampan.

Może miała ciężki poniedziałek. Albo wyszła przed chwilą z komory kriogenicznej. Zresztą Paloma nie będzie się zastanawiać. To pierwszy krok, by pozwolić zepsuć sobie wieczór.

- A co by nam pani poleciła w marcu? - spytał Norbert, topiąc pierwsze lody.

- Wiosenny śmietniczek ze stokrotkami.

- Poprosimy dwa kosze... to znaczy miseczki.

Kelnerka zareagowała uśmiechem, jak za naciśnięciem guziczka. Ale oczy pozostały zimne.

- Mam coś dla ciebie - oznajmiła Paloma, kiedy już złożyli zamówienia.
- Proszę.

Wręczyła Norbertowi niewielkie puzderko. Otworzył. W środku za- bytkowy kompas. Paloma znalazła go na Kazimierzu, co kosztowało ją sporo trudu, zważywszy niechęć do sklepów

z używanymi rzeczami. Ale czasem warto się przełamać, po to by osiągnąć wytyczony cel.

- Po renowacji - zaznaczyła, zadowolona - Działa. Pokazując właściwy kierunek. - Tej uwagi nie potrafiła sobie odmówić.

- Śliczny - pochwalił. - Dzięki.

Przypomniał sobie urodzinową imprezę Alka, swojego kuzyna z Wałbrzycha. Choć „impreza” to chyba za dużo powiedziane. Alek zaprosił zaledwie trzy osoby: Norberta, przyjaciółkę Aśkę i Pawła. Usiedli w kawiarence przy Placu Solnym. Paweł wręczył Alkowi prezent. Kimono do tai chi.

- Strzał w dziesiątkę - pochwalił
Alek. - Dzięki.

Lekkie klepięcie po ramieniu i to
wszystko. Gejom nie wolno się
afiszować, bo to wzbudza obrzydzenie
czcigodnych obywateli. Za to jemu
z Palomą wolno niemal wszystko. Mo-
gą się publicznie tulić, całować, gryźć
w ucho, trzymać za dłonie. Więc
dlaczego siedzą naprzeciw siebie jak
dwa kołki?

- Kochanie, co się dzieje? - spytała
cicho.

Też chciałby wiedzieć. Przecież
wszystko idzie jak należy, zgodnie
z planem. Ma świetną pracę, stylowe
mieszkanie, zdobył dziewczynę,
o której piersiach fantazjuje połowa

kumpli z jego biura. Nikt nie zmuszał go do ślubu, nikt nie naciskał. Norbert sam zapragnął się ustatkować. Przecież nie można ciągle tkwić w rozroku. No tak, niektórzy wiedą podwójne życie. Żona tu, kochanka tam, tylko... nie wie, jak mógłby zdefiniować to, co było tam. Przecież nawet się nie pocałowali! A jednak czasem wolałby to, co mogłoby być od tego, co tu i teraz.

- Daj mi trochę czasu - odparł, bawiąc się lnianą serwetką.

- Martwię się - pisnęła Paloma, natychmiast żałując szczerości.

- Niepotrzebnie - usiłował ją pocieszyć. - Widzisz, kiedy człowiek zdobędzie najwyższy szczyt, zawsze

czuje się trochę... - umilkł.
„Rozczarowany” nie brzmi dobrze.
„Znużony” również.

A przecież jest zmęczony. Bardziej niż kiedykolwiek. Znużony wszystkim. Ich porannymi rozmowami w łazience, sobotnimi kolacjami przy białych świecach, sushi, których wygląd Paloma doprowadziła do perfekcji, jej krzepiącymi uwagami, grzecznym wypytywaniem o pracę, seksem z towarzyszeniem efektów specjalnych. Męczy go nawet ich salon. Na myśl, że spędzą w nim długie lata, Norbert ma ochotę wyskoczyć przez okno. A przecież sam tego chciał. Sam podjął decyzję, sam wybrał Palomę, rezygnując z innych możliwości. Po

cichu liczył też, że jego życie wreszcie się unormuje. Skończą się problemy z zasypianiem i wreszcie będzie jak należy. Na tym chyba polega dorosłość, dodał. Żeby dokonać właściwego wyboru.

- Syndrom zwycięzcy - szepnęła, odłożywszy sztucę.

- Zwycięzcy - przytaknął, blado się uśmiechając. - Nic, muszę sobie wytyczyć nowe cele.

Czy jest tam miejsce dla mnie, zastanawiała się, nie śmiąc zapytać. Dziwne, gdyby to Patryk porównał ją do górskiego szczytu, Paloma czułaby się po prostu zaszczyczona. Szczęśliwa aż do bólu. Ale w ustach Norberta porównanie zabrzmiało tak żałośnie.

Jakby wspiął się na stromą górę resztką sił i nie był w stanie cieszyć się nowym, wspaniałym widokiem. Niby siedzi tu, naprzeciwko własnej żony, a jednak ciągle patrzy w dół, wspominając... A może nadal czeka? Ciągle ma nadzieję? W tej samej chwili usłyszeli krótkie piknięcie smsu. Aż drgnęła.

- Pewnie Naczelny - mruknął Norbert, wyjmując z kieszeni służbowy telefon. - Nęka mnie już od wczorajszego zebrania.

Przez chwilę czytał, ściągając brwi (kształtne dzięki wizytom u pani Kasi, najlepszej kosmetyczki na osiedlu. Potrafiłaby zrobić porządek nawet z brwiami Breżniewa).

- Miałem rację - potwierdził. -
Chce, żebym zerknął na projekt.
Ruszamy z kampanią dopiero w maju,
ale on już przebiera nogami, zdzi-
wiony, że inni nie podążają za jego
nerwicami. Nic, trzeba skoczyć do
biura.

Westchnął ciężko. Zmęczenie czy
ulga, że już nie musi się z nią męczyć?

- Jedź autem, ja wrócę taksówką -
oznajmiła, siląc się na uśmiech.

Kiedy opuszczali Prowansję, rzucił
cicho.

- Wierz mi, naprawdę się staram.

Tylko czemu Paloma tego nie
dostrzega? Dlaczego czuje się tak
cholernie osamotniona? I to w miesiąc
miodowy, kiedy człowiek oczekiwałby

czegoś ekstra. A potem? Jak będzie wyglądać ich wspólne życie, pomyślała, ogarniając smutnym wzrokiem pustą kuchnię. Czy dalej będą się mijać? Ona tu, on tam. Na samą myśl zrobiło jej się zimno. Nie tak miało być. Przecież wszyscy przekonywali, że we dwójkę różnie się biegnie. Tymczasem Paloma ma wrażenie, jakby ciągnęli swój małżeński wózek w dwóch przeciwnych kierunkach. Czy jest sens tak się męczyć? Raczej starać, poprawiła natychmiast, przypominając sobie słowa Yochana Ullu. „Łatwe zdobycze są niczym fast food. Cieszą tylko w trakcie konsumpcji. Ledwo przełkniesz ostatni kęs, robi ci się niedobrze”. Właściwy

cytat we właściwej chwili, stwierdziła Paloma, zamykając kuchenną szafkę z surowego drewna. Chwila nieuwagi i jej żołądek płakałby z nadmiaru razowych paluszków z rozmarynem. Wprawdzie nie jest to typowy fast food (jeśli już to dla wyrafinowanych, Paloma woli określenie „elegancka przegryzka”). Ale nerwowa konsumpcja nadprogramowych kalorii grozi obciążeniem układu trawiennego i sumienia. Żadnego podjadania, zdecydowała, przecież przed chwilą z trudem wmusiła w siebie deser (szarlotka na razowym spodzie, ozdobiona zdźbłem cytrynowej trawy). Gorąca woda z imbirem wystarczy. Zresztą Paloma zaraz zapomni o jedzeniu,

kiedy skupi się na lekturze nowego poradnika Jima Mo Fan Be. Potem wykona obowiązkowy zestaw ćwiczeń na mięśnie brzucha. I będzie dobrze. Już jest, poprawiła. To znaczy pewne sprawy nie układają się jak powinny, ale czy inni ludzie są naprawdę tacy szczęśliwi? Paloma szczerze w to wątpi. Weźmy na przykład Dionizego Fiotronia. Po nawałnicy, która zniszczyła mu dom, musi odbudować wszystko od nowa. Albo Margo. Dwukrotnie rozwiedziona, kisi się w nowohuckiej kawalerce, czekając na księcia z trufelkami. Innym też coś doskwiera. A przy tym borykają się z biedą. O tak, miliony ludzi cierpią w znacznie mniej komfortowych warunkach, szepnęła,

narzucając na piżamkę efektowny pluszowy szlafrok (dostali z Norbertem identyczne w prezencie ślubnym od jego kuzynki). Nagle zaterkotał domofon. O tej porze, mruknęła, niechętnie człapiąc do drzwi. Margo. Coś podobnego! Może kiedyś wpadały do siebie bez ostrzeżenia (Paloma częściej), ale przecież sytuacja się zmieniła już od lutego. Paloma mieszka na odległym osiedlu, a ponadto, jest mężatką i jakby to ująć, nie prowadzi salonu otwartego. Niestety, Margo zawsze miała problem z rozeznaniem się, co wypada, a co należałoby sobie darować.

- Myślałam już, że nie otworzysz -
oznajmiła koleżanka z dołu, tupiąc ob-
casami na całą klatkę.

- Rzadko mamy gości o tej porze.

To znaczy przyjmują, razem
z Norbertem, zwłaszcza że homing
robi się modniejszy niż zwiedzanie
nocnych klubów i dyskotek. Ale taka
impreszka, choć wygląda
niezobowiązująco, wymaga jednak
przygotowań. I ustalenia terminu.
W ich środowisku nikt nie pozwala
sobie na „wpadanie”. Nikt, poza
Margo, specjalistką od spontanicznych
akcji.

- Miałam wpaść jutro, za dnia, żeby
cię nie straszyć, ale nie mogłam już
wytrzymać - wysapała, pokonawszy

ostatnie schodki. - Patrz co mam! Nie mówiłam, że dostaniesz? - Triumfalnie pomachała imponującym bukietem. - Trochę zwlekali, ale wreszcie szef wyjął węża z kieszeni. Kazał też dorzucić trufelki, ale wzięłam dla siebie. Za fatygę. Zresztą ty byś nie doceniła ich smaku. Jesteś sama? A gdzie połówka?

- Siedzi w biurze nad jakimś projektem. Chcą jesienią wprowadzić nową markę.

To znaczy w nowym kolorze, w nowym opakowaniu i z nową ceną. Która pokryje koszty nowej kampanii. Cała reszta bez zmian. Nawet Norbert, choć szczerze oddany firmie, żartował, że są mistrzami recyklingu. Po raz enty wciskać klientom ten sam towar?

Ale skoro ludzie są na tyle głupi, by kupić taką ściemę, ich problem. Za doświadczenie się płaci, dodawał potem. Trzy trzydzieści za paczuszkę nie większą od kąpielowej gąbki i o podobnej do gąbki wartości odżywczej.

- Dalej tak słabo sypia? - spytała znienacka Margo.

Paloma wzruszyła ramionami, wzdychając.

- A ta specjalistka od snu?

- Zafundowała sobie wakacje. Za to my z Norbertem ciągle nie możemy się wybrać - rzuciła rozgoryczona. - Choć przedstawiłam dziesiątki ofert.

- Osiołkowi w żłobie dano - skwitowała Margo, kręcąc się po

salonie. - Ależ biblioteczka! Zaimponowałabyś nawet pani Tosi.

Przykucnęła, przechylając w lewo głowę, by odczytać tytuły z dolnej półki. Paloma poczuła się, jakby ktoś obcy testował jej ulubioną szminkę, a miał na ustach zaczątek opryszczki. Skąd taka reakcja, przecież Margo niczego nie dotyka. Tylko omiata wzrokiem!

- Może herbaty? - zapytała, usiłując oderwać uwagę koleżanki od szafki z książkami.

- Chętnie, najlepiej z rumem, po drodze przemarzłam na kość. A podobno zaczęła się wiosna. Rany, masz jeszcze poradniki Wendy O'Neal? Ja swoje oddałam po drugim weselu.

Myślałam, że nie będą mi potrzebne. Ale ty byłaś zawsze bardziej przezorna – skwitowała, wyjmując *Bezkrwawe łowy*.

Bezczelność, denerwowała się Paloma. Mogłaby chociaż zapytać, czy jej wolno,

- Ale chyba nie musisz już korzystać – bąknęła, rozkładając na stole filiżanki.

- To i owo bym sobie przypomniała. Na wszelki wypadek. Choć z drugiej strony... – umilkła, analizując cztery ostatnie przygody. – Daję radę sama.

- Bez dwóch zdań – zapewniła Paloma.

Wprawdzie żaden ze związków Margo nie przetrwał nawet wakacji,

ale może na tym polega ich sukces? Zresztą Margo chyba nie ma ochoty na formalności, sam księżę wystarczy.

- Oczywiście ty trafiłaś lepiej, już za pierwszym razem - zauważyła Margo. Bez cienia zazdrości, raczej zdziwiona, że to w ogóle możliwe. - Od razu ślub konkordatowy i wspólne mieszkanie. Damian, mój ostatni, nie chciał wziąć cywilnego. Tylko sam kościelny, wyobrażasz sobie?

Paloma pokręciła głową. Musiał być bardzo zakochany i wierzący, pomyślała. Albo wręcz przeciwnie.

- No właśnie - ciągnęła Margo. - Mnie też zaskoczyło na początku. Zapomniałam, Laska, gdzie mam język. Ale jak już się znalazł, za ósemkami, to

go użyłam tak, że Damianowi w pięty poszło. Bo sama powiedz, po co mi ślub w kościele? W razie rozstania guzik daje. I to guzik podłego gatunku. Zresztą do takiej imprezy trzeba się przygotować jakoś, a ja nie pamiętam nawet, jak wygląda spowiedź.

- Zawsze można sobie przypomnieć - wtrąciła Paloma. Chcieć to móc, jak mawiali jej dziadkowie. Albo ostatni król Majów.

- Musiałabym mieć konkretny powód. Jakiś zakochany ortodoks albo czerniak w pełnym rozkwicie. - Margo szybko machnęła dłonią, odganiając złe myśli. - Udał ci się facet, jak mało komu. I to za pierwszym strzałem.

- Nie jest idealnie - mruknęła Paloma.

Chętnie wyjawiałaby więcej, ale czasem warto się powstrzymać. Człowiek chlapnie pod wpływem chwili, a potem godzinami myśli, jak to odkręcić. Co prawda Margo, skupiona na sobie, rzadko pamięta cudze sekrety, ale lepiej nie kusić losu. Kobiety w ich biurze tylko czyhają na podobne okazje. I nie chodzi jedynie o ploteczki przy porannej kawie.

- Nigdzie nie jest - podjęła Margo, upiwszy łyk herbaty z białym rumem. - Jednego, Laska, nie kumam, po co tak się napinasz z podróżą poślubną. Nie możesz jej olać?

- Mówisz jakby chodziło o zwykłe wczasy - oburzyła się Paloma.

- Byłam na dwóch i wierz mi, nie ma się czym podniecać. Cały czas musisz szczerzyć zęby i powtarzać sobie, że jesteś szczęśliwa. Taka szczęśliwa!

To akurat nie sprawia Palomie większych trudności. Ćwiczy codziennie po kilka godzin. I widzi już efekty. To znaczy widziałyby je, gdyby nie wydarzenia ostatnich dni. Czy raczej brak wydarzeń.

- Wracasz taka zmęczona - ciągnęła Margo - że masz dość na następne trzy dekady. A jednocześnie czujesz niedosyt.

A jednak Paloma chciałyby doświadczyć tego stanu sama. Nie

uczyć się na błędach bardziej doświadczonych, tylko poczuć na własnej skórze, jak to jest.

- Tym bardziej, Laska, odpuść - przekonywała Margo. - Nie męcz, nie draż, nie pytaj, niech Norbert sam się określi.

Może i racja. Zresztą ona wyczerpała już wszystkie możliwości. Naturalnie znalazłoby się parę interesujących miejsc na podróż poślubną, ale Paloma nie ma już pomysłów, jak przekonać Norberta do właściwej decyzji. Czuje, że znaleźli się oboje pod ścianą. I nie może dociskać bardziej, nie po tym, co jej powiedział w sobotę. Zatem czekanie, westchnęła, wspominając ciężkie chwile

w liceum. Matka snująca się po ciemnej jadalni, milczący ojciec, naburmuszony dziadek, babcia zatopiona w modlitwie o jedność rodziny. Teraz tak nie będzie, oznajmiła samej sobie, stojąc przed ogromnym lustrem w przedpokoju. Pokolenie Palomy zbyt ceni własny czas, by trwonić całe tygodnie na czekaniu. Samo określenie „czekać” oznacza dziś zupełnie co innego niż kiedyś. To jak ze szczęściem według definicji Schwartzera. Nie ma mowy o bierności albo leniuchowaniu. Trzeba działać, iść do przodu. „Odpuść, skupiając się na innych zadaniach”, radzi Schwartzer. Co Paloma usiłuje wprowadzić w czyn, temat podróży odkładając do swojej tajnej

szufladki. Niech tam dojrzeje aż do powrotu Brzytwy. A na razie – żadnego podszcypywania. Żadnych podchwytliwych pytań, kuszących ofert podawanych na tacy ani napomknięć o gorących igraszkach w ciepłym morzu.

Co nie znaczy, że Paloma będzie milczeć miesiącami, jak jej umęczona matka. Oczywiście, że ma zamiar konwersować. O tym, co ciekawego w pracy Norberta, o jego nowych projektach, o zakupie orbitreka (Miśkowie mają już od roku), o wymianie halogenów w łazience (nie pasują do betonowych blatów). I komentarze na temat bieżących wydarzeń, usłyszanych plotek, prognozy pogody. Albo seriali. Bo od wczoraj jedzą

posiłki w towarzystwie grającego telewizora.

- Durny serial - zauważył Norbert, szykując kolację. - Aż dziw, że ma taką oglądalność.

- Człowiek do wszystkiego się przyzwyczai - mruknęła, powtarzając słowa dziadka.

- Tu też nie lepiej - oświadczył, zmieniając program. - Ale przynajmniej można popatrzeć na plenery. Nawet fajny pies. Podobne fotografowałem na Riwierze Tureckiej.

Tego wolałby nie wspominać.

- A może sobie sprawimy? - spytała Paloma, sama zdziwiona własną propozycją. W ich sytuacji? A może to nie taki zły pomysł? Wspólne obowiązki

scaliły niejeden związek. Poza tym spełniłaby marzenie z dzieciństwa.

- Psa? - zdumiał się Norbert. Nigdy wcześniej nie wspomniała o zwierzętach w domu. Ani jednym słowem!

- Tylko mniejszego. Żeby nie było problemu z wyprowadzaniem. Duży musi się wybiegać, a Błonia leżą kawałek stąd. - Jak mawia Margo, trzy rzuty beretem plus porządny żabi skok.

- Miśkowie mają shitzu. Podobno niekłopotliwy. Mało szczeka. Obraża się czasem, jeśli ktoś mu zajmie ulubiony fotel w sypialni.

- Nasz nie musi być rodowodowy. Możemy wziąć nawet ze schroniska. Przy okazji wprowadziłbyś nową modę

wśród znajomych - podsunęła, wyjmując z przesuwanej szafy kółko hula hop ze specjalnymi wypustkami - „wersja magic silver, zwiększa efektywność ćwiczeń, a dzięki nanocząsteczkom srebra korzystnie oddziałuje na cały organizm”.

Brzmi kusząco, pomyślał Norbert, zwłaszcza że nigdy nie miał psa. To znaczy opiekował się jednym kudłatym Burkiem. W palmtreecie ciągle trzyma jego zdjęcie, które ściągnął ze strony schroniska. Zwierzak siedzi przy uroczej drewnianej budzie (element dekoracji mający zapewnić oglądającym przyjemne skojarzenia z bajkowym światem Reksia), prawie radośnie wyszczerzony w jesiennym słońcu.

Niczego sobie, bo na żywo – skrzyżowanie pekari z kakadu.

Ujął go od pierwszego wejrzenia, dlatego Norbert tak szybko zdecydował się na adopcję. Wirtualną, na inne nie był gotowy. Zresztą to i tak spory wyłom w jego planach. Spontaniczny zryw, na co Norbert rzadko sobie pozwala. Wybrał się wtedy z kuzynem Irkiem do azylu.

- Po kota dla matki – wyjaśnił Irek – Bidula nie może się pozbierać po rozwodzie już czwarty miesiąc, więc szukam jej pocieszyciela i godnego następcy.

Znaleźli ideał w trzecim boksie. Wąsaty, przymilny kastrat w białych skarpetkach. Rozmiar L.

- Wreszcie ktoś doceni optymalną dietę mamusi - cieszył się Irek. - A przy okazji porządnie wygrzeje fotel. No i mowy nie ma o zdradzie.

Kiedy wracali do biura, podpisać odpowiednie papiery, w boksie naprzeciwko wejścia Norbert dostrzegł nastroszone coś. Tak paskudne, że aż śmieszne, od razu przypadło mu do serca. W jednej chwili zdecydował, że stroszek (zwany oficjalnie Burkiem 117) zostanie jego podopiecznym, oczywiście wirtualnym, by zapobiec niepotrzebnym komplikacjom w razie wyjazdów.

Przez następne trzy lata Norbert dokonywał co miesiąc przelewu, dzięki któremu Burek otrzymywał suchą

karmę wiodących na rynku marek, pił z ładniejszej miseczki i mógł czasem wybiegać się na łąkach obok schroniska. Norbert nigdy nie zabrał go na spacer. Nie chciał, żeby pies się przyzwyczaił, a potem czekał ze wzrokiem przyklejonym do wyjściowej bramy. Już wystarczająco dostał po nosie. Miał przecież kiedyś normalny dom, jak mu zdradził dozorca.

- Przez osiem, panie, lat. I nagle go oddali. Z powodu oka - wyjaśnił, dmuchając Norbertowi w twarz dymem z tanich fajek. - Jak zaszło bielmem, oddali Burka, żeby dziecka nie straszył, tak mi wyjaśniła strapiona mamusia. No i krople też kosztują,

lepiej se kupić obrus w Biedronce. Przynajmniej miło popatrzeć.

A na pekari nie zawsze. Musi się znaleźć koneser. I nawet znalazł się chętny, ale kiedy dozorca próbował wyciągnąć Burka z klatki, pies zaczął tak wyć, tak rozpaczliwie piszczeć, że koneser stracił zapal i wybrał łaciatą przylepkę z sąsiedniego boksu. A potem nikt już się Burkowi nie trafił. Więc przemieszkał w schronisku całe siedem lat, aż wreszcie umarł we śnie. Tydzień potem Norbert dostał pocztówkę z informacją, że może sobie wybrać nowego podopiecznego. Ma Burek spokój, stwierdził, ale jakoś tak bez przekonania. Może przez to zdjęcie. Powinien był je skasować od

razu. Przecież zawsze świetnie sobie radził z przeszłością. Spalić listy, podrzeć zdjęcia, skasować maile, książki pożyczyć Irkowi (nigdy nie oddaje). Potem koniecznie zapisać się na capoeirę, zmęczone serce rzadziej reaguje bolesnym ścisaniem na myśl o tym, co minęło i już nie wróci. Więc i teraz nie powinno być problemu. Tylko co może wyrzucić? Pocztówkę ze schroniska? Wydruki z banku? Czego jeszcze mógłby się pozbyć? Wspomnienie? Ale jak wymazać coś, czego nie ma? Jak zapomnieć o spacerach, których nigdy nie odbyli, o łakociach, których Burek nigdy nie jadł z jego ręki, o głaskach, których nie dostał, o radosnym szczeknięciu, którym

nigdy go nie powitał? O szansie, której Norbert pozbawił ich obu?

Nagle pomyślał o Bonsai. Też chciałby wymazać, sam już nie wie, co bardziej: to co się wydarzyło czy to, czego nigdy nie będzie.

- Chyba nie jestem gotowy na psa - wykrztusił, odwracając się od żony plecami. - Żadne z nas nie jest, tyle się dzieje. Urządzanie domu, młyn w pracy. Ale kiedyś - przełknął ślinę - jak już się ułoży... wtedy pomyślimy.

*

W czwartek tuż po powrocie z biura Paloma postanowiła pospacerować po mieście. Nie, żeby odpocząć; pierwszy dzień pracy okazał się lżejszy niż oczekiwała. Prawdę

mówiąc, nie było nic do roboty. Żadnych zaległości ani błędów, które mogłaby wytknąć i poprawić. Zespół działał tak dobrze, że ona sama... stała się zbędna, przyszło Palomie do głowy. Nie wolno tak myśleć. Po prostu starają się, żeby jej nie nadwerężyć po chorobie. W ten subtelny sposób okazują troskę, może nawet przywiązanie, szepnęła przysiadając na ławeczce w Parku Krakowskim. Od poczyni chwilę, a potem powłóczy się tu i tam, nie zerkając na zegarek i nie myśląc o „stacji końcowej”. Ach, jak dawno nie była na podobnym spacerze. Od przeprowadzki do Krakowa Paloma wychodzi z domu w ściśle określonym celu. Do pracy, na

trening pilates, do urzędu, na terapię. Słowem: kupić coś albo załatwić. Nigdy ot tak, dla samej przyjemności wałęsania. A szkoda, bo to bardzo odprężające. Horst Schwartzer idzie dalej, nazywając spacer nowoczesną medytacją w przestrzeni miejskiej. „Dla wielu osób jedyny sposób, by się naprawdę zatrzymać. Brzmi paradoksalnie? Ważne, że działa. Kiedy nogi pracują, umysł może odpocząć. O ile mu pozwolisz”, przypominał Horst, namawiając by „medytować” przynajmniej trzy razy w tygodniu. Najważniejsze to nie ustalać konkretnej trasy. „Po prostu idź przed siebie, pozwalając odpocząć głowie”, wyszeptała Paloma za Horstem,

poddając się jego wskazówkom. „Kto wie dokąd trafisz.”

Godzinę później dzwoniła do drzwi pani Tosi.

- Co za miła niespodzianka! - przywitała ją bibliotekarka. - Wskakuj!

- Przepraszam za najście - tłumaczyła się Paloma. - Po prostu spacerowałam i nagle...

Sama nie wie, co się stało. Może podświadomie szukała kogoś, kto doświetli jej postać Brzytwy. Dzięki czemu Paloma ogarnie cały ten chaos. A poza tym, uświadomiła sobie nagle, właściwie nie miała do kogo iść. Wszyscy znajomi są zajęci pracą lub szeroko pojętym rozwojem własnym. Zresztą, żeby się spotkać, musiałyby

zadzwoń z odpowiednim wyprzedzeniem. Umówić się na wizytę, w pierwszym wolnym terminie. Jak do dentysty. Chociaż nawet dentysta przyjmie cię bez uprzedzenia, jeśli to pilna sprawa. Może gdyby miała przyjaciół... ale w jej życiu od dawna nie ma kogoś takiego. Nie było potrzeby. Ani czasu. Zbyt ją pochłaniały rozmaite zmiany: mieszkania, diety, wyglądu, partnerów, pracy. Zmienić przyjaciół już nie zdążyła. Starzy zostali we Wrocławiu, nowych zaś nie ma. Kiedyś Paloma wyobrażała sobie, że zaprzyjaźni się z Norbertem. Zresztą tuż po zaręczynach wszystko na to wskazywało. Spędzali długie godziny razem, rozmawiając o tym

i owym. O dziwo, całkiem szczerze. Taktownie nie pytała go o przeszłość, sam wspomniał, że były inne kobiety. Na ogół nic szczególnego. Większości nawet nie rozpoznałby na ulicy. „Zresztą tamto się nie liczy, skoro wybrałem”, oznajmił przejętej Palomie, kończąc temat. Po ślubie nadal rozmawiają, a jednak Paloma czuje, że to nie to. Jakby między nimi wyrosła szklana szyba. Prawda, jest jeszcze Margo, koleżanka „spod piątki”, idealna do zadań specjalnych. Ale zbyt łatwo nią sterować. Zbyt łatwo wykorzystać i oszukać. Jak dziecko, mruknęła. A przecież przyjaźń wymaga pewnej równości poziomów. I szeroko pojętego wkładu, dodała

Paloma, niechętnie przyznając, że od dawna jest stroną przyjmującą. Może w rewanżu za przysługi kupi jej książkę Wendy O'Neal. Wtedy nie będzie musiała pożyczać swojej.

- W sumie nie ważne, dlaczego tu jesteś - odparła pani Tosia. - Ważne, że trafiłaś. Szoruj, kochana, na tapczanik. Na ławie leżą ciastka i talerzyki. Obsłużysz się sama?

Paloma przytaknęła, sięgając natychmiast po nakolanniki.

- Zaraz zrobię herbatkę. Tylko muszę zadzwonić w sprawie konkursu - wyjawiała. - Krótka piłka, trzy ping-pongi i będziemy konwersować do woli. Chyba, że wolisz pomilczeć.

- W zasadzie wszystko mi jedno - przyznała Paloma. Kiedy wreszcie udało jej się dotrzeć do kanapy, poczuła nagle znużenie. Nie każdy lubi spacerować na czworakach.

- Daj mi siedem minut. Muszę się przypomnieć paru czytelniczkom. Obiecały, że wezmą udział w konkursie, a teraz zaczynają się wahać. I już marudzą, że nagroda nie taka, że odwykły od pisania i to wszystko takie trudne. Ludzie są dziś strasznie rozleniwieni. Wszystko przez te nibykonkursy w telewizji - mruknęła, sięgając po stylizowany telefon. - Wysyłasz sms i czekasz, aż cię wylosują. Śmiechu warte. Ale każdego można zmotywować - energicznie

wykręciła numer pierwszej „ochotniczki”.

Czy potrafiłaby zmotywować Norberta, zastanawiała się Paloma. Może niepotrzebnie zatem czeka na Brzytwę. Może w ogóle nie trzeba było jej szukać. Wystarczyłoby zatrudnić panią Tosię i po problemie.

- Gotowe - oznajmiła specjalistka od negocjacji, wielce z siebie zadowolona. - Jeszcze wciągną małżonków, będzie parytet. Choć raz!

- Tak krucho u was z mężczyznami?

- Kochana. Jakby nie pan Beret i chłopcy z Coco, mielibyśmy zupełny babiniec. Kierownika nie liczę, bo

podejrzewam, że jest maszyną. Masz jakieś wieści od naszej Polki?

W odpowiedzi Paloma zacisnęła wargi.

- Ja też się trochę martwię - przyznała pani Tosia, lekko westchnąwszy.

- A co dopiero jej chrzestny! Ten co się zagryza.

- Na pewno, ale nie z powodu wyjazdu, bo nic o tym nie wie - wyjawiała Pani Tosia. - Umarłby ze strachu. Ostatnio - przypomniała sobie, skubiąc ciasteczko - podczas rentgena płuc wyszło, że ma serce prawie na środku. Zgadnij, gdzie go teraz boli.

- Chrzestnego może chroni, ale innych... - Paloma z irytacją sapnęła. -

Nie można nawet zadzwonić, żeby sprawdzić, co się dzieje, bo przecież nasza Polka protestuje przeciw nowoczesnym wynalazkom. Równie to skuteczne jak rozpaczliwe popisy luddystów. - Ale nawet oni zrezygnowali z walki po kilku latach.

- Ty jej chyba nie lubisz - rzuciła pani Tosia, kokosząc się tuż obok. Zupełnie jak bernardyn jej kuzyna ze Śląska. Nawet podobnie ugniata koc przednimi... to znaczy rękami. - Powiedz szczerze.

- Skądże! - Paloma udała oburzoną takim niesłusznym podejrzeniem. - To, co czuję do Brzytwy jest znacznie bardziej skomplikowane.

- Mnie samą czasem irytuje - zdradziła bibliotekarka. - Weźmy, na przykład, jej mieszkanie. Mogłaby chociaż rozpakować pudła i wstawić jakiś przyjemny segment. Ja rozumiem, że po rozwodzie człowiek czuje się zniechęcony, ale żeby dla siebie się nie starać?

- Rozmawiała z nią pani?

- Zawsze zbywa mnie tym samym. Że nie wie, ile pomieszka. Że nie lubi zapuszczać korzeni. To samo z relacjami, kochana. Inni walczą do końca, nie przebierając w środkach, a Polka...

- pani Tosia westchnęła. - Mam wrażenie, że nawet nie podchodzi do płotu, żeby sprawdzić, co jest dalej.

- Brak odpowiedzialności za własne życie - mruknęła Paloma. - I za cudze także. Obiecuje coś, a potem ucina sobie wypad do Włoch z jakimiś. - długo szukała słowa, które wyrażałoby dezaprobatę, a jednocześnie nie było zbyt wulgarne.

- Też miałam z nimi jechać, ale szef ostrzegł, że jeśli nie pojawię się we wtorek, nie przedłuży mi umowy do końca roku. Bo na razie mam do lipca.

- Po co tak się męczyć? - nie wytrzymała Paloma. - Na co to komu?

- Bo kocham tę pracę.

Nikt w to chyba nie wątpi, mruknęła Paloma.

- Miałam na myśli tę beznadziejną wyprawę do Włoch. Albo ta cała

pikieta na Grodzkiej. Banda dzieciaków, która udaje, że zbawi świat.

- Amatorszczyzna - przyznała pani Tosia - ale tak się zawsze zaczyna. Od grupki zapaleńców, którzy chromolą kasę. To oni pchają świat do przodu. Gdybyś widziała, kochana, pierwsze Marsze Tolerancji. A teraz bierze w nich udział połowa miasta.

Podzielona kordonem policji, skwitowała Paloma, wracając w deszczu od pani Tosi. Ale frekwencja rzeczywiście imponująca. Nawet dziewczyny z jej biura wybierają się na Marsz w tym roku, co znaczy, że warto się tam pokazać. Znakomite miejsce na lans, powiedziałyby Margo.

A zaczęło się od grupki zapaleńców. Skąd taka zmiana, zastanawiała się Paloma, zręcznie lawirując pomiędzy kałużami. Co sprawia, że inni zaczynają się przyłączać? Bo mają interes. To nie współczucie rządzi światem, a chęć zysku lub obawa przed stratą, orzekła Paloma, przypominając sobie scenę z filmu *Głosy wolności*. Kiedy William Wilberforce, osiemnastowieczny społecznik pokazywał ówczesnym decydentom statki, w których przewożono niewolników z Afryki, zyskał jedynie szczyptę współczucia. Większość bogaczy odwróciła się plecami oburzona, że ktoś psuje im apetyt na słodkości. „Kogo obchodzi, jak powstaje cukier.

Skoro jest dostępny?" Tak jest i dzisiaj, pomyślała Paloma, ze smutkiem. Nie lubimy, żeby nam przypominać o śmietniku. Wolimy udawać, że go nie ma, dopóki nam nie przeszkadza. Chyba że wejdą nowe przepisy i lekceważenie śmietnika robi się nieopłacalne. Trzeba zmienić ustawę, stwierdziła Paloma, inaczej skończy się na pikietach. Owszem, za parę lat mają szansę stać się równie modne jak Marsze Tolerancji. Ale to za mało. Trzeba zmienić ustawę, powtórzyła, przyśpieszając kroku. Gdyby to zależało od Palomy, najpierw przepchnęłaby przepis o konieczności dokładnego znakowania odzieży. Każdy futrzany dodatek musiałby

posiadać informację, skąd pochodzi, z jakiego jest zwierzęcia i jak został (długo szukała neutralnego słowa)... pozyskany. Klient ma prawo wiedzieć, co wybiera, szepnęła. Żeby móc się wycofać. Potem następne posunięcie, wyższe podatki dla hodowców... ale dlaczego ona się w to angażuje? Nie po to przecież szukała Brzytwy, by się bawić w ratowanie świata, zwłaszcza że Ho Jii Chien przestrzegał... nagle z jej torby odezwało się subtelne kliknięcie. Sms, od Bereta. Umówili się w piątek, że da jej znać, jeśli czegoś się dowie. Zdenerwowana przeczytała wiadomość. „Wrocila. Przyłaz zaraz”. Natychmiast wcisnęła „trójkę”, radio taksy. Kwadrans później

pędziła po znajomych schodach. Jeszcze kilka takich rund i przestanie się trzymać kurczowo poręczy. Energetycznie zastukała. Beret otworzył tak szybko, jakby czatował na Palomę tuż przy drzwiach. Tak ją to zaskoczyło, że zupełnie nie wiedziała, od czego zacząć. Jak zagaić rozmowę po przywitaniu się?

- Dopiero teraz zauważyłam waszą klatkę schodową - rzuciła z głupia frant, zdejmując buty - pomalowana tylko do pierwszego piętra. A i to nierówno.

- Sąsiad z góry kandydował na radnego. Chciał się zaprezentować jako społecznik. Ale po wyborach mu

przeszło. Nie zapłacił nawet malarzowi.

- Gdzie Brzytwa? - Paloma ściszyła głos, jakby pytała o chorego.

- Siedzi u mnie - wskazał pokój. - Zobacz, w jakim jest stanie! Po prostu brak słów!

Teatralnie wymachiwał rękami. Niby zirytowany, a naprawdę szczęśliwy jak pies, do którego wróciła ukochana pani. A Paloma, co czuje na widok Brzytwy? Właściwie ulgę, że jednak wyszła z tego cało. I chyba lekką radość. Więc dlaczego znowu napina mięśnie brzucha?

- Jak było? - spytała swobodnym tonem, jakby rozstały się w najlepszej przyjaźni. - Podobno was aresztowali.

- Dopiero kiedy wracaliśmy ze Szczecina, zgarnęli nas pod Poznaniem.

- Mielście przecież jechać do Włoch.

- Zmiana trasy. Kierownik uznał, że bezpieczniej przeturlać się z Przemyśla do Szczecina i z powrotem. Na jedno wychodzi, a mniejsze ryzyko, że nas zatrzymają. No i prawie się udało - oznajmiła Brzytwa, zadowolona. - Poza tym, że czeka mnie kolegium. Ale mamy czternaście godzin nagrań.

Czternaście godzin? Kto to obejrzy? Nawet wielbiciele indyjskich bajek z trudem wytrzymują trzy bite godziny w komfortowym multikinie.

- W komisariacie też kręciłam - ciągnęła Brzytwa, nie bez dumy. - Do oporu, czyli przez siedem minut i dziesięć sekund. Potem zdążyłam tylko schować kartę pamięci.

- Ale kamerę będę musiał kupić nową - oburzał się Beret. - A tak sobie obiecywałem, że koniec z konsumpcjonizmem. No i masz.

- Bili was? - spytała Paloma, obrzucając wzrokiem posiniaczone ramiona Brzytwy. Wygląda nietęgo, oceniła, ale i tak lepiej niż konie, którym fundujemy podobne wycieczki. Na wspomnienie niektórych zdjęć z transportów od razu ma gęsią skórę.

- Takie tam przepychanki. Parę wyzwisk. „Świry, frajerzy, eko-

oszołomy”. Zestaw stosowany z braku innych argumentów. Bułka z masłem – podsumowała, wyciągając z koka źdźbło siana.

- Ktoś cię obraża, a ty nic? – uni-osła się Paloma.

- To tylko obcy ludzie. Gorzej, kiedy kopią najbliżsi.

- Co zrobicie z materiałem? – zainteresował się Beret. – Trzeba by go zmontować chyba?

Brzytwa przytaknęła.

- A potem?

- Spróbujemy nagłośnić, gdzie się da.

- Licząc na współczucie? – zirytowała się Paloma. – Dużo wam z tego przyjdzie.

You tube jest pełen makabrycznych filmików pokazujących podły los słabszych tego świata. I co? Świat ma to w dupie, jakby powiedział jej dziadek. Ma w dupie, bo nie ma w głowie.

- Po co to robicie? - Nie wytrzymała. - Żeby komuś pomóc czy zabawić się w superbohaterów i dochrapać się kiedyś pomnika?

- Niby za co? Że usiłuję żyć jak człowiek? Zresztą - Brzytwa podjęła po chwili - z tymi pomnikami to jakaś ściema. Rzadko się je stawia w podziękowaniu za zasługi. Raczej ze strachu.

- Albo z poczucia winy - wtrącił Beret.

- A ja mam dość cudzych wyrzutów, wystarczy mi przepychanek z własną siostrą. No dobra! - klasnęła w dłonie, żeby podkreślić, że temat wycieczki zamknięty. - Jak wam się żyło beze mnie? Bardzo tęskniliście?

- Jakoś sobie poradziłam.

- Nie wątpię, nie wątpię - ironizowała Brzytwa. - Rozumiem, że zadania odrobione.

Oczywiście, miała przecież sporo czasu, by wszystko gruntownie przemyśleć. Najtrudniej poszło z puszką. Rozwiązanie zagadki zajęło Palomie dwa wieczory. Czemu klienci mają wrzucać parę groszy, skoro mogliby przelać więcej na konto? - zastanawiała się, energicznie kręcąc

kółkiem hula hop. Może Brzytwa ma alergię na banki? Albo chce napędzić dodatkowych klientów Wesołemu Ogórkowi (puszka stoi tuż koło kasy, co zachęca do zamówienia). Przecież, jak wspomniała sama, właściciel jest jej znajomym z dzieciństwa. A może Brzytwa wymaga tak niewiele, bo sama działa na pół gwizdka... nagle Paloma zrozumiała. Zrobiło jej się tak bardzo wstyd, jak w siódmej klasie, gdy wychowawca przyłapał ją na podrabianiu podpisu ojca (rzadko bywał w domu, Paloma nie chciała, by to wyszło na jaw). Dodajmy, podpisu pod piątką! Nie chodzi wcale o konie, wyszeptała. Chodzi o to, ile jesteście skłonni poświęcić dla cudzej sprawy.

Brzytwa wie, ile kosztuje nasze zainteresowanie. Ale się myli, orzekła Paloma stanowczym tonem. Jeszcze dziś znajdzie odpowiednią fundację, wpłaci sporą sumę. I będzie mieć problem z głowy. Pieniądze też są ważne, przekonywała... no właśnie kogo? Przecież ona sama zna ich wartość, nie tylko z racji zawodu. Są ważne, powtórzyła, kręcąc kółkiem coraz szybciej i szybciej. Jeden walczy, drugi płaci.

- Ważne, że coś robi.

- Oczywiście - zgodziła się

Brzytwa.

Wybrały się na spacer z Iloną. Ostatni taki spacer, pomyślała Paloma, nie bez smutku. Ale przecież tak miało

być. Takie są zasady. Brzytwa nie jest jej koleżanką. Nigdy nie była.

- A z pikietą poszło jak po maśle - dodała szybko, chcąc strzepać przykre myśli.

Odpowiedź znalazła w ciągu kwadransa. Pikieta nie ma znaczenia, mogłyby szukać czterolistnej koniczyny. Paloma i tak znalazłaby właściwy sens. Bo chce go znaleźć. I znajdzie.

- Znakomicie. Piątka z plusem! - orzekła Brzytwa, poważniejąc. - Rozumiem, że w tej sytuacji nie jestem ci już potrzebna? Nawet jeśli przegrasz, zyskasz coś cennego.

Paloma spuściła głowę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

Przez chwilę głąskała szorstką sierść kozy.

- Chciałabym się jeszcze spotkać - bąknęła. - Nie chodzi tylko o formalne zakończenie sprawy.

- Jakaś pożegnalna impreza? Fajnie - ucieszyła się Brzytwa. - Byle nie w środę, bo mam koncert Dikandy.

Dikandy? Paloma nigdy nie słyszała tej nazwy, ale też nie za bardzo interesuje się zespołami. Muzyka jest jej potrzebna do rytmicznych ćwiczeń i czasem jak tło przy kolacji. Albo w sypialni dla stworzenia nastroju.

- Z zagranicy?

- Można tak to ująć, zważywszy ilość tras poza krajem. W Polsce

występują raz na pół roku może. A szkoda, bo to magiczny zespół.

Zanim Paloma spytała, gdzie tkwi magia, Brzytwa wyjaśniła.

- Nie śpiewają w żadnym konkretnym języku, a jednak... - cicho westchnęła. - Może to, co najważniejsze, wcale nie wymaga słów.

- Gdzie ten koncert? - ożywiła się Paloma. - Chętnie bym posłuchała.

- Plac Wolnica, zapraszamy.

- A bilet?

- Nie ma biletów ani bramek. Zainteresowani już się złożyli i przelali kasę na konto zespołu. Też możesz przelać, jeśli bardzo chcesz. Dziewczyny z Dikandy na pewno się nie obrażą.

- A reszta?

- Będzie bawić się za darmo. Jak w życiu, jedni płacą, inni niekoniecznie. Co cię tak dziwi?

- Że ktoś w ogóle zapłacił za bilet.

W jej firmie wszyscy zwlekaliby do ostatniej chwili, czekając na ruch kolegów. Po cichu liczyliby, że jakoś im się upiecze i wejdą za darmo. A przecież stać każdego z nich, więcej płacą za godzinę siłowni w modnym klubie fitness.

- Tak zwana solidarność - uśmiechnęła się Brzytwa. - Inaczej nie byłoby koncertu.

*

Strata dla wszystkich, zważywszy jak grają. Dlatego Paloma postanowiła,

że pójdzie, ostentacyjnie prosząc Brzytwę o numer konta. Wpłaciła za siebie, zastanawiając się, jak namówić Norberta. Niestety, nie przepada za takimi imprezami. Chyba że idą jego kumple, ale o tym zespole nigdy nie słyszeli, westchnęła rozmyślając, jak zmotywować męża. Przecież prawie nie spędzają razem czasu. On bierze nadgodziny, ona po pracy okupuje klub fitness albo zwiedza muzea. Nawet nie umiałaby go teraz poprosić, by jej towarzyszył. Ale może obyć się bez proszenia. Wystarczy trochę pokombinować. Ma czas do środy. Coś wymyśli, bez obaw.

W poniedziałek wieczorem już wiedziała.

- Idę kupić chleb, bo zabraknie na śniadanie - oznajmiła Norbertowi.

Po drodze do spożywczego znalazła automat (swoją komórkę zostawiła w domu, celowo). Parę minut zabrało Palomie przypomnienie sobie numeru koleżanki od zadań specjalnych. Zawsze wciskała „memory five” i gotowe. Wreszcie (nawet nie liczyła prób), udało jej się trafić.

- Słucham - rozległo się w słuchawce.

Niby głos Margo, ale pięć razy bardziej zmysłowy. Aż dziw, że to możliwe, pomyślała Paloma, przedstawiając się koleżance.

- Możesz rozmawiać?

- Wal, Laska, śmiało - odparła Margo, swoim zwykłym (ale nadal zmysłowym) głosem.

Paloma wyjaśniła krótko o co chodzi, bez wdawania się w detale.

- Więc mam zadzwonić do Norberta - upewniła się Margo - i powiedzieć, że nie mogę iść w środę na koncert?

- Dikandy, lepiej zapisz nazwę.

- Po co? Mam cztery ich płyty - pochwaliła się Palomie. - Wiem nawet, co znaczy nazwa, a poza tym... - umilkła, jakby speszona - też będę na koncercie. Wpłaciłam kasę tydzień temu.

Proszę, co za niespodzianka. A więc w jej firmie znalazłyby się ze dwie

chętnie, gotowe przelać forszę, bez oglądania się na innych, pomyślała Paloma.

- Zresztą nie idę sama - zdradziła Margo. - Pamiętasz tą małą blondynkę, co ci sprzedała fangę w nos? Spotykamy się od dziesięciu dni.

- Przecież jesteś, to znaczy zawsze byłaś, hetero - Paloma nie ukrywała zdumienia.

- A teraz mi się odwidziało. Skok w bok.

- Myślałam, że z tym się człowiek rodzi i... - znosi dzielnie jak stygmat, narażając się na szykany znajomych i cichą pogardę rodziny, zwykle najbliższej.

- Jeden się rodzi, drugi wybiera sam, nie czekając na aprobatę rządzących. Ale są i tacy, którym trzeba dyktować, do kogo mogą się przytulić. Inaczej będą zdezorientowani.

Paloma nie skomentowała, zaskoczona rewolucyjnością poglądów koleżanki. A przecież zna wiele kontrowersyjnych teorii. Tyle że na całym innym temacie.

- Wróćmy do akcji z Norbertem - przypomniała Margo. - Najpierw mam tyrknąć na twoją komórkę, tak? Ty nie odbierzesz, bo niby zapomniałaś. Spryciara - pochwaliła. - Więc dzwonię do Norberta, bo się trochę martwię. Zawsze przecież brałaś telefon.

- Ale wyskoczyłam tylko po chleb.

- Myślałam, że zabierasz komórkę nawet do kibla - odparła Margo, wprawiając koleżankę w pewne zakłopotanie. - No dobra, więc mówię, że się martwię, potem wyjaśniam, że nie mogę z tobą iść na koncert. A to taka mega impreza! Trzy minuty nawijki i gotowe - cieszyła się Margo. Gdyby mogła, biłaby sobie brawo.

- Jesteś boska!

- Ale za to trochę poflirtuję, co? Trening czyni mistrza. Zwłaszcza z odpowiednim partnerem.

Paloma łaskawie się zgodziła, kończąc rozmowę. Potem pobiegła kupić bochenek chleba na zakwasie (od dwóch lata nie jada innego). Chwilę pokręciła się po osiedlu,

wzbudzając nieufne zainteresowanie strażnika, wreszcie wolnym krokiem poczłapała na drugie piętro.

- Dzwoniła Margo - powiadomił ją Norbert, bawiąc się nowym tosterem. - Straszna z niej flirciara. Zapomniałem już, że ma taki zmysłowy głos.

Głos Palomy brzmiał podobnie, przed ślubem, przypomniał sobie. Dlatego Norbert tak lubił do niej dzwonić. Jej przeciągłe „halo, słucham” ożywiłoby nawet oziębłego Basila z *Hotelu Zacisze*. Ale parę dni po ślubie wszystko się... unormowało. Czar nie trwa wiecznie, pomyślał wtedy. Zresztą Paloma i tak się stara. O wiele bardziej niż ktokolwiek. Na przykład

nigdy się nie garbi i nosi w domu seksowne ubrania.

- Czego chciała? - Paloma postanowiła, że nie będzie komentować sztuczek koleżanki. Byłoby to nielojalne, zważywszy okoliczności.

- Nie może iść z tobą na koncert, bo zaprosił ją ktoś inny. Podobno super impreza. - Norbert zrobił minę: „nic mi nie wspomniałaś”.

- Super impreza i świetny zespół - potwierdziła, kręcąc się po salonie. - Niszowy, dają tylko jeden koncert, potem jadą do Niemiec.

- Może ja bym poszedł - zastanawiał się Norbert. Miałby o czym opowiadać w firmie. Temat wakacji już

się każdemu przejadł. - Nie byłabyś sama.

- Jak miło - cierpko się uśmiechnęła. - Weźmiesz aparat?

- Po co?

- Warto uwiecznić wyjątkowe chwile.

Nagle przypomniał sobie wieczorną rozmowę z babcią Jadwisią.

Skoczył do dziadków tylko na parę dni. Żeby odsapnąć od miasta. A przy okazji naprawić to i owo. Kiedy wymienił cieknący kran i przydźwigał węgiel z piwnicy, babcia Jadwisia spytała, czy chce obejrzeć rodzinne zdjęcia. Jak mógłby odmówić? Zadowolona wyjęła z kredensiku wytarte pudełko po wedlowskich czekoladkach. Ostrożnie

wysypała na stół stosik przyżółkłych zdjęć. Zdjętek raczej, niewiele większych od pudełka papierosów.

- Tu ja, mój Henryk, Irenka - twoja babcia, jeszcze za panny.

- Poznaję! - skłamał. - Mama miała jej zdjęcie.

- A tu - zawiesiła głos, przygryzając zwiędłe usta. - Ludwiś. Moja dawna sympatia - dodała szeptem, lekko się rumieniąc. - Grał pięknie na mandolinie. Ale nie miał ojcowizny, bo została po drugiej stronie. Koło Stanisławowa. Więc, żeby zarobić, pojechał Ludwiś aż na ziemię odzyskane, zahaczył się w jakimś kombinacie. Miał wrócić za pół roku, potem za rok... A tu życie. Pojawił się nowy

absztyfikant, Henryk i nie odpuszcza. Rodzice naciskają, że już pora. Ciotka powtarza, że kto wybrzydza, sam zostaje, na koszu. Jak ta Kaśka ze złotym warkoczem. Przed wojną najpiękniejsza na wsi, a teraz? Nawet wdowiec by jej nie chciał, z kulawą nogą.

- A Ludwiś?

- Słał listy, ale co kobiecie z takiego pisania. Więc poszłam za Henryka, na Wielkanoc. Było trochę łez, bo na początku wszystko jest nie tak, jak się za panny wydawało. Nawet wesele. Ale zaraz pojawiły się dzieci, robota, kłopoty różne. Tak szybko zleciało, że i nie było kiedy żałować.

- A teraz babcia nie żałuje? - spytał ostrożnie.

- Co to zmieni? - koślawym palcem lekko pogładziła zdjęcie. - Przynajmniej tyle zostało. I wspomnienia.

Norbert uświadomił sobie nagle, że on nie ma żadnego. Próbował nawet pstryknąć, ale Bonsai protestowała.

- Nie znoszę, kiedy ktoś we mnie celuje - wyjaśniła wreszcie. - A poza tym... wspomnienia są fajniejsze. Rosną razem z nami. Zresztą po co ci moje foty, stary? Oprawisz je w ramki?

Nie ma o tym mowy. Więc dlaczego tak mu brakuje choć jednego zdjęcia?

- Wezmę - obiecał, znużonym głosem. - Ale to tylko chwile. Nawet jeśli wyjątkowe, liczy się całe życie.

Dlatego Norbert dokonał takiego właśnie wyboru. Życie zamiast tanich błyskotek. Więc czemu czuje się tak... To tylko chwilowy spadek formy, orzekł, prostując plecy. Z czasem będzie lepiej, na pewno.

- Słuchaj - zauważył nagle. - Koncert jest w środę?

Skwapliwie przytaknęła.

- Prima Aprilis. Mam nadzieję, że będzie zabawnie.

PRIMA APRILIS

Zaparkowali dopiero przy Augustiańskiej. Nigdzie indziej nie było miejsca. Przeszli przez Krakowską, pasami. Na placu kłębił się tłum. Trzystu fanów, reszta przypadkowi entuzjaści darmowej zabawy.

- Możliwe, że spotkamy znajomych - upредиła Paloma. - Wspomnieli, że będą.

Rozejrzała się uważnie, usiłując namierzyć znajomy kok. Jest! Wydaje się jeszcze większy niż zwykle. A obok właścicielki koka stoi Beret, dziś umundurowany. Zdecydowanym ruchem chwyciła Norberta pod ramię, prowadząc w stronę Młynka.

- To właśnie moi znajomi - oznajmiła mężowi. - Polka zwana Brzytwą i policjant Beret.

Przez chwilę milczał, zaskoczony.

- Ty tutaj? - wykrztusił wreszcie.

- Znudziło mi się szydełkowanie, więc postanowiłam sprawdzić, co się

dzieje na mieście - odpowiedziała Brzytwa zblazowanym głosem.

Zawsze była zakręcona. Dlatego nazwał ją Bonsai. I trochę przez wzgląd na rękę.

- To wy się znacie? - Beret zwrócił się do Brzytwy, nie bez pewnej zazdrości.

- Spotkaliśmy się parę razy - wyjaśniła. - W podróży służbowej. To jest Norbert, podajże mu łapę, Berecie jeden.

- Beret jestem - mruknął anioł stróż. - dziś na służbie. Ale chwilę możemy się pokręcić. *Ajde jano!* Zatańczymy? - nie czekając na odpowiedź, pociągnął Brzytwę blisko sceny.

- Śliczna melodia - odezwała się Paloma.

- Stara serbska pieśń - wyjaśnił Norbert, przypominając sobie ostatnie spotkanie w Chorwacji.

Miał kilka dni wolnego w przerwach między szkoleniami, zadzwonił więc do firmy Bonsai, by spytać, czy jest dyspozycyjna. Trafił idealnie. Właśnie kończyła pracę na wyspie Hvar. Norbert zarezerwował hotel i po warsztatach w Ankarze ruszył na spotkanie z Bonsai. Za dnia smakował chorwacką codzienność, ubarwioną soczystymi komentarzami przewodniczki. Wieczorami odpoczywał w hotelu. W barze przy patio pracował wesoły chłopak. Dragan albo Visan,

w sumie bez znaczenia. Tuż przed północą zawsze wołał Bonsai, żeby przyszła po drinki. Na zapas.

- Będzie dobra zabawa - powtarzał, uderzając się kantem dłoni w bok szyi.

- Chyba pomylił nas z Anglikami - mruknął Norbert, kiedy Bonsai przynosiła kolejne kieliszki.

- Facet jest uczynny.

- Aż za bardzo - odparł z przekąsem. - Lepi się do każdego z grubszym portfelem.

- Ciekawe, gdzie noszę swój. Może w kroku? - zakpiła Bonsai.

W ostatni wieczór urządzono etno-party. Kiedy puszczone "Ajde Jano", Dragan poprosił Bonsai do tańca. Norbert został przy stole, pijąc

maraschino. Kieliszek za kieliszkiem. Po Jovano Jovanke" wrócili do stolika, zdyszani.

- Sprzedamy konia, dom, wszystko sprzedamy, ale będziemy się bawić - tłumaczył po angielsku. - Ajde Jano, chodź Janko. Jak szaleć, to szaleć.

- Wy to umiecie - mruknął Norbert, sięgając po kolejne maraschino. - Nie przeszkadza wam nawet, że to serbska pieśń.

- Wiesz, dlaczego? - spytał Dragan, wlawszy w gardło szklaneczkę śliwowicy. - Te drinki i tak dalej?

- Bo jesteś miły i bezinteresowny - kpił Norbert.

- Bo przypominasz Milicę - Dragan zwrócił się do Bonsai, zupełnie

lekceważąc zaczepki Norberta. - Moją siostrę. Miałaby teraz trzydzieści lat. Nie dożyła nawet osiemnastu. Zgwałcili ją, skopali i wrzucili do rowu za domem. Jak się ocknęła i zobaczyła, co z resztą naszych, podcięła sobie żyły. Rozkroiła wzdłuż aż po łokcie, żeby pobiec za innymi. Pytasz, czemu się bawię przy serbskiej piosence. Chcę zapomnieć. To jedyna droga. Inaczej znowu będziemy się zabijać. Wet za wet.

Powoli wstał od ich stolika, zaskutkował Bonsai, i chwiejnym krokiem odszedł. Norbert sądził, że usłyszy kazanie. W końcu zasłużył, jak nigdy dotąd.

- To mój ostatni wyjazd służbowy - oznajmiła Bonsai po długiej, długiej chwili milczenia. - Mam dość.

- Dlaczego? - spytał, natychmiast trzeźwiejąc.

- Bo to nieuczciwe. Oprowadzam turystów, którym wydaje się, że szukają prawdziwego świata, a w gruncie rzeczy chcą się tylko dowartościować. Traktują te wyjazdy jak jeszcze jeden modny gadżet, dzięki któremu mogą poczuć się lepsi niż reszta. Coś, czym można się pochwalić przed kumplami z firmy. Trofeum. A ja nienawidzę polowań. Jutro kończy się umowa i wyjeżdżam.

Wyjechał wcześniej, pierwszym promem, dziękując w liście za

wszystkie spotkania. W kopercie zostawił tym razem dziewięć stówek. W złotówkach, euro już nie miał. Poradzi sobie, powtarzał, zadowolony, że to on podjął decyzję. Zakończył tę znajomość bez szkody dla obu stron. Zresztą nigdy nie miała sensu. Gdyby dano mu alternatywne życie, równoległe do tego, które prowadzi. Wtedy może by zaryzykował. Ale ma tylko jedno. Czy to źle, że chce je przeżyć najlepiej, jak potrafi? Że chce być szczęśliwy? I będzie, musi się tylko postarać.

- Może skoczę po piwo? - odezwał się do żony. Skinęła, więc pomaszerował w stronę kolejki.

Dwa utwory później wrócił Beret z Brzytwą, nieco rozczochraną.

- Tośmy popląsali - oznajmił, oci-erając czoło szalikiem. - A gdzie twój chłop?

- Poszedł po piwo - wskazała dłonią stoisko z browarem. - Może wziąć i dla ciebie. Tylko mu powiedz, ile kufli.

- Niestety, w pracy nie piję. Właśnie - przypomniał sobie Beret, z pewną przykrością. - Będę musiał zrobić kóleczo. Albo dwa. Poradzicie sobie same?

Przytaknęły. Przez chwilę stały w milczeniu, słuchając kolejnej piosenki.

- Magiczne *Ederlezi* - odezwała się Paloma. - Piękny koncert. Dobrze, że tu przyszłam.

- Wiedziałaś - domyśliła się Brzytwa.

Wreszcie! Na to właśnie czekała. Jedno, jedyne słowo.

- Z początku nie byłam pewna.

W notesie Norberta znalazła tylko nazwę firmy, z której korzystał. Tam podano jej nazwisko przewodniczki, która jak się okazało, oprowadzała jej przyszłego męża w siedmiu różnych krajach. Z każdego przywiózł „puste” zdjęcia. Ale to trochę za mało, by wiedzieć na pewno.

- Dlatego zadawałaś mi tyle pytań? Żeby się upewnić?

Upewniła się dopiero dziś wieczorem. Kiedy Norbert witał się z Brzytwą, zrobił taką minę... taką minę. Wszystko trwało zaledwie ułamek sekundy, ale Palomie przypomniał się od razu tekst o emocjach, który czytała w pociągu. Te prawdziwe trwają o wiele krócej niż udawane.

- Chciałam też zrozumieć, dlaczego Norbert szukał...

- Freaka, który nie spełnia unijnych standardów? - parsknęła Brzytwa, natychmiast poważniejąc. - A nie przyszło ci do głowy, że czasem nie mamy wyboru? Że coś dzieje się samo?

- Przyszło - odparła Paloma. -
I może to jest najważniejszy powód,
dla którego cię zaangażowałam.

- Chętnie bym go poznała.

Paloma przygryzła usta, przypominając sobie słowa Miriam Barbitelli. Brak wyboru pozwala szybciej się otrząsnąć i pogodzić ze stratą. To Brzytwa musi zdecydować, inaczej w związku Palomy nic się nie zmieni.

- Chcę dać szansę - oświadczyła wreszcie.

- Komu?

- Możliwe, że tobie. Dlatego musisz porozmawiać z Norbertem i wyjaśnić.

- Co wyjaśnić?

- Że to były tylko zlecenia albo... -
Zabrakło jej odwagi, by dokończyć. -
Niech to się skończy raz na zawsze!

- Oczywiście że zlecenia - zaśmiała się Brzytwa. - Zwykłe wycieczki po zwykłym świecie. Myślałaś, że coś więcej?

- Więc mu powiedz prawdę. Tyle mi się chyba należy. - Nerwowo zwilżyła usta. - I jemu, niech się nie męczy.

Odwróciła się i poszła w stronę Bożego Ciała. Po co się żegnać? Cały ten wieczór jest jednym wielkim pożegnaniem. Kiedy przywlokła się z powrotem na plac, było już po koncercie. Norbert czekał na nią oparty o ścianę. Sam, nie licząc

rozchichotanych studentek i paru turystów uszczęśliwionych, że trafiła im się dodatkowa atrakcja. Będzie co opowiadać podczas imienin.

- Wracamy do domu? - spytała, ostrożnie dotykając jego mocnej dłoni.

- Oczywiście, kochanie.

© Copyright by Izabela Sowa, 2009

©

Copyright by Wydawnictwo Nowy Świat, 2009

Redakcja: Katarzyna Kowalska

ISBN 978-83-7386-369-9

Wydanie I Warszawa 2009

Wydawnictwo Nowy Świat

ul. Kopernika 30, 00-336

Warszawa

tel. (22) 826 25 43, faks (22) 826
25 47

internet: www.nowy-swiat.pl

blog: blog.nowy-swiat.pl

KLUB CZYTELNIKÓW: [klub.nowy-swi-
at.pl](http://klub.nowy-swiat.pl)

e-mail: [wydawnictwo@nowy-swi-
at.pl](mailto:wydawnictwo@nowy-swiat.pl)

